



HELENA ŚREULA

**FIGURKA Z DRZEWA TEKOWEGO**

CZYTELNIK

Znamięcie profesorskiej rodziny poraziło w blisko  
wszystkich; na sali sekcyjnej czekano już i z punktu  
rzuciło się na mnie laboranta. Znaliśmy się od lat,  
należała do zespołu zakładu medycyny sądowej. Zna-  
łam ją specjalistka, stara, brzydka, ofetowana.

- I odtąd prokuratura na tę bezprzykładną stras-  
nę... - ruszyło do ataku.

- Ubolewa - wkładałem fartuch.

- Godna podziwu pogoda ducha... Będę nas po-  
rywał, mordował, gwałcił...

- Później nie grał - wybił ją brutalnie z transu  
doktor i do mnie: - Czego szukamy, panie prokura-  
torze! - na jego gest sanitariusz usunął przesie-  
radle ze zwłok Franciszka Arpada.



HELENA SEKUŁA

Figurka  
z drzewa tekowego



Czytelnik - Warszawa 1976

Okładkę projektowała

JOLANTA MUSIAŁOWICZ-JANKOWSKA

„Czytelnik”, Warszawa 7976

Wydanie I

Nakład 100 290.

Ark, wyd.13,8, ark, druk. 10,5.

Papier druk, sat. 75 cm, kl. VII, 60 g.

Oddano do składania 7 X 1975 r.

Podpisano do druku 29 IV 1976 r.

Druk ukończono w maju 1976 r.

Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego” w W-wie.

Zam. wyd. 741: druk. 7249. J-127.

Cena zł 30,-.

Printed in Poland

Wieczorna mgła, gęsta jak zawiesina, szczelnie okrywa las, wysoki kolejowy nasyp i linię szyn. Z odległości kilku metrów nie widać już żółtawego odbłasku krzyży Świętego Andrzeja, sygnalizujących nie strzeżony przejazd, i wiodącej doń szutrowej drogi.

Maszynista ekspresu Paryż-Warszawa-Moskwa znużonym wzrokiem usiłuje przebić nieprzenikliwy, lepki mrok, który zda się przywarł do panoramicznych szyb lokomotywy; jeszcze tylko pięćdziesiąt kilometrów do stacji Warszawa Gdańska.

I nagle... w świetle reflektorów elektrowozu ciemny kształt na samym środku toru.

Samochód!... Dłoń odruchowo szarpie dźwignię pneumatycznego hamulca, zablokowane koła pociągu przestają się obracać, ale rozpędzone siłą sześciu tysięcy koni mechanicznych do szybkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę jeszcze suną po torze z wibrującym zgrzytem ścieranego metalu. I nic już nie może uratować wozu tarasującego przejazd. W oślepiającej jasności światła maszynista widzi z przeraźliwą dokładnością, jak bufory lokomotywy taranują małe pudełeczko samochodu. Auto przykręca się do góry kołami niczym dziecinną zabawkę, zderzaki dosięgają go znowu, ze

straszliwą siłą gniotą i masakrują blachy karoserii. Poskręca na kupa złomu przewala się przez tor, a potem koziołkuje w dół po stromym stoku nasypu.

W kabinie elektrowozu czarna tarcza manometru sygnalizuje automatyczne rozłączenie składu pociągu, maszynista uświadamia sobie, że wykoleił się ostatni wagon i jednocześnie widzi wyłaniające się z mgły reflektory lokomotywy pędzącej z przeciwna po sąsiednim torze.

Opóźniony pośpieszny do Katowic... — rejestruje przerażony i bezsilny. Nic więcej nie zdążył już pomyśleć, bo właśnie minął go w pełnym biegu elektrowóz tamtego pociągu.

Ogłuszający huk i chrzęst miażdżonego żelaza wznosi się nad torowiskami, rozdziera bębunki w uszach.

Wreszcie zatrzymuje się paryski ekspres, wyskakuje załoga elektrowozu, gramolą się oszołomieni pasażerowie. Przeróżające krzyki i jęki niosą się gdzieś z końca składu.

Ostatni wagon ekspresu — płatanina poprutyh blach — zwalony na bok tarasuje oba tory; wbity w niego, zgnieciony tępy pysek lokomotywy pośpiesznego, a nad nią spiętrzone, sprasowane wagony. Z rumowiska poprzez rozbite okna pełzną, przeciskają się skrwawieni, zszokowani ludzie.

Kolejarze śpieszą na ratunek, ale są bezsilni wobec tej masakry; nie sposób wydostać rannych, uwięzionych w zgruchotanych przedziałach.

Kierownik paryskiego ekspresu organizuje akcję ratunkową, rozdziela najpilniejsze zadania; konduktora śle do najbliższego posterunku dróżnika, tam jest telefon i dopiero stamtąd można zaalarmować pierwszą na szlaku stację kolejową, zawiadomić o katastrofie i wezwać pomoc.

Także bez chwili zwłoki musi wstrzymać ruch pociągów z

obu kierunków. Na kilkaset metrów od miejsca katastrofy wystawia posterunki. One sygnałami, znanymi wszystkim ludziom kolei, muszą zatrzymać zbliżające się pociągi. Reszta załogi podręcznymi latarniami próbuje oświetlić teren katastrofy.

— Proszeni są mężczyźni, silni mężczyźni... — kierownik pociągu formuje spośród podróżnych brygady, które z rozbitych wagonów wyciągają i wynoszą rannych.

Lekarzy nie trzeba wzywać; zgłosili się natychmiast do dyspozycji kierownika, jest ich pięciu: francuski kardiolog, rosyjski chirurg, dermatolog ze Szczecina, pediatra i anestezjolog z Warszawy. Pomaga im jedna pielęgniarka, także z warszawskiej kliniki, kilku wojskowych, dwaj milicjanci i marynarz z okrwawioną twarzą.

Pasażerska społeczność jest zdumiewająco zdyscyplinowana i ofiarna, po chwilowej panice i dezorientacji bez nakazu zbierają środki opatrunkowe, bo apteczki, jakimi dysponują drużyny konduktorskie obu pociągów, są kroplą w morzu wobec istniejących potrzeb. Ktoś zajmuje się dziećmi i osobami starszymi, inni przynoszą i rozkładają koce ze slipin-gów, aby na nich ułożyć rannych.

Maszynista ekspresu schodzi z grupką mężczyzn w dół nasypu tuż za rozjarzonymi ślepiami lokomotywy. W sprasowanej karoserii, mało przypominającej samochód, krwawy, dosłownie zgnieciony kształt; temu człowiekowi nie można już pomóc.

I wreszcie z jękiem syreny zajeżdża pierwsza karetka pogotowia, zaraz za nią pojawia się następna i następna; na drodze przy przejeździe parkuje ich cały sznur, i tych zwyczajnych, i specjalnych ambulansów przystosowanych do reanimacji.

Przybywa służba ratownicza kolei, dźwigi, brygady z palnikami do cięcia metalu; potężne reflektory oświetlają teren

katastrofy. Kierownictwo akcją ratunkową przejmują władze kolejowe węzła warszawskiego, zjawia się milicja i prokurator.

Dopiero po dwóch godzinach, uwolniony wreszcie od wykolejonego wagonu, paryski ekspres rusza w swoją drogę, zabiera ze sobą także ludzi z pociągu pośpiesznego, który tej nocy nie dotrze już do Katowic.

Na Dworcu Gdańskim w Warszawie megafony zapowiadają znaczne opóźnienie ekspresu z Paryża; tłumek podróżnych na peronie szemrze i narzeka, nikt jeszcze nie wie o katastrofie.

Marcel Kwidaszewski wraca z Paryża; tancerz znany na scenach baletowych świata jako Marcel Quid — jego rodowe nazwisko przekracza możliwości lingwistyczne przeciętnego cudzoziemca — uczeń Niżyńskiego z Les Ballets Russes, czuje znużenie i przyływ obezwładniającego i budzącego wstręt do życia zniechęcenia. Zna ten niepokojący i przykry stan, który ogarnia go zwykle wtedy, gdy jest bardzo zmęczony albo nierad z siebie. W takich chwilach dotkliwie zdaje sobie sprawę, że ma już trzydzieści osiem lat i wydaje mu się, że jego sława zaczyna przygasać.

To chyba te jatki tak mnie rozstroiły — myśli o krwawych scenach wśród rumowiska żelaza, z którego wraz z innymi wydobywał i wynosił rannych; nawet tam, w tym piekle, sprawdziły się i przydały jego gibkie, wytrzymałe mięśnie.

On, epikurejczyk, kochanek fortuny i esteta, pracował na równi ze wszystkimi, a było mu trudno, bo musiał opanować wrodzoną odrazę i paralizujący lęk, któremu ulega na widok krwi i okaleczonego ciała.

Ekspres zbliża się do Warszawy i dopiero teraz Marcel dostrzega brunatne zacieki na rudym welurze paryskiej kurtki,



na gorsie miękkiej koszuli, zauważa podarte spodnie, zniszczone pantofle. Z obrzydzeniem zmienia zaplamione ubranie, wciąż prześladowuje go wspomnienie ostrego zapachu krwi — samopoczucie sięga dna.

Neurastenia! Zmusza się, aby odwrócić myśli od wstrząsających wydarzeń, wspomina swe występy na francuskich scenach. Ależ tak, jest sławny, ma talent, jest w szczytowej formie. Potwierdzają to recenzje, w ogóle miał świetną prasę. A propozycja Bejarta? Dwuletni kontrakt do jego zespołu, do Baletu XX wieku. Bejart to współczesny Niżyński i Diagilew w jednej osobie. Jego zaproszenie to wysoka ranga dla tancerza.

Dlaczego nie przystałem od razu? Dlaczego zastrzegłem sobie czas do namysłu? No tak, Mały!

W ten sposób dochodzi do źródła swego niedobrego nastroju. Mój Boże, czy jestem potworem? Ta tragiczna katastrofa, martwi i okaleczeni ludzie, nagle osierocone dzieci, tyle nieszczęścia, a ja?... Ale przecież robiłem wszystko, co mogłem zrobić w takiej sytuacji, i nic nie pomoże tamtym, jeśli będzie odsuwał od siebie myśl o Małym... Z pewnością już nie czeka, bo gdzieżby miał czekać przez ponad dwie godziny? Na tym brudnym, odpychającym dworcu, gdzie na dobrą sprawę nie sposób otrzymać o tej porze szklanki gorącej herbaty... Może w ogóle nie przyszedł! Trzy tygodnie — dwadzieścia jeden dni, a dwadzieścia jeden dni to lata świetlne dla takiego chłopca.

Może jednak należało zostawić mu pieniądze i klucze od mieszkania? Omal tego nie zrobił, ale nie zrobił, i tak chyba jest lepiej. Mały nie powinien się domyślać, jak bardzo mu na nim zależy. Przed wyjazdem rozegrał to dobrze: pożegnał go lekko, nieobowiązująco, umówił się na przyszłość, a potem

posłał depezę, kiedy wraca...

To było niezłe pomyślane, tylko nie przewidział katastrofy i ponad dwóch godzin spóźnienia... Los.

Przecież nie mógł tak od razu Małemu zaufać, bo nic o nim nie wie, tyle tylko, co mu sam powiedział: skłócony z inteligentką rodziną uciekł z domu... Ale jakież znaczenie ma rodzina? W najlepszych nierzadko hodują się wałkonie i trutnie. Gdybyż tylko trutnie! A ten niedawny proces? Bandyta i morderca z twarzą archanioła... I nigdy nie wiadomo, czy to, ktoś bezinteresowny, czy pospolita dziwka...

Pociąg wtacza się na dworzec i Marcel, od dobrej chwili stojący przy drzwiach, od razu dostrzega chłopca. Ależ jest! Przyszedł, czekał te dwie nieszczęsne godziny w lepkim zimnie listopadowej nocy. Spaceruje po pustym peronie z rękoma głęboko wbitymi w kieszenie kurtki; wysmukła sylwetka, głowa w gęstych, długich kędziorach koloru ciemnego złota.

— Cieszę się, że cię widzę, Sander — serdecznie wita go Quid.

— Martwiłem się o ciebie, Marcel — chłopiec prześlizguje się wzrokiem po bagażach tancerza. — Nic ci się nie stało? — okazuje się, że wieść o katastrofie dotarła już na Dworzec Gdański.

— Nic — Quid skinął na numerowego.

— Daj, ja poniosę bagaż.

— Zostaw, nie jesteś tragarzem — nie zgadza się Marcel.

— Taryfa czeka — okazuje się, że kiedy zapowiedziano przybycie ekspresu, Sander natychmiast zablokował taksówkę.

O wszystkim ten Mały pomyślał — Quid uświadamia sobie, że wyjeżdżając zamknął w garażu swój świetny wóz,

a kluczyki zabrał ze sobą. Trochę mu teraz wstyd... A może tak objawia się starość? Nikomu nie ufa, każdego posądza o interesowność, ale sukces, sława i pieniądze działają jak magnes na różnych cwaniaków, niejednokrotnie się o tym przekonał, zbyt często był oszukiwany.

I już Konstancin; w ogrodzie zgrabny, licowany piaskowcem bungalow, ostatnia namiętność i duma tancerza. Jego własny dom.

Quida opuszcza zmęczenie i mija zły nastrój; wśród dobranych z pieczołowitą starannością pięknych sprzętów, obrazów i dywanów, w zaciszu tego lubianego miejsca powraca mu spokój i równowaga.

— To dla ciebie, chłopcze — otwiera jedną z waliz, wypełnioną po brzegi ubraniem, obuwiem, bielizną, z etykietami zagranicznych firm.

— To wszystko dla mnie?! — jąka olśniony chłopiec.

— Dla ciebie — promienieje Marcel, lecz nagle mrozi go pełen niepohamowanej chciwości błysk oczu małego; jest coś drapieżnego w nachyleniu jego ciała nad tą walizą wypchaną łałkami.

— To chyba dla mnie za dużo... — wydobywa wreszcie z siebie chłopiec —... iii... ja nie mogę tego przyjąć — nie brzmi to przekonująco.

— Przymierz — Marcel wyciąga pierwszy z brzegu ciuch.

Gdy powraca z kuchni, po wygarnięciu na ruchomy stół zawartości lodówki, Sander stoi już przed lustrem; ogromne zwierciadło w złotej ramie odbija jego sylwetkę opiętą jasnonkawowym zamsem. Obcisłe spodnie i bluza przybrane są pasmami efektownych, skórzanych frędzli.

— Meksykański szyk! — Sander okręca się w pirucecie,

odwraca do Quida ogłupiały ze szczęścia pyszczek. Jest coś zmysłowego w ruchu jego dłoni gładzącej miękką fakturę weluru.

— Co to jest? — Quid chwyta rękę Sandra; wokół krótko obciętych paznokci widać głęboko wrosnięte w skórę czarne obwódki.

— To... węgiel — Sander prędko chowa dłonie.

— Jaki węgiel? — nie rozumie Quid.

— Robiłem przy wagonach, akurat były z węglem... — niechętnie wyjaśnia naburmuszony nagle chłopiec. — Normalka, trzeba przecież jeść.

Quid wstydzi się swego niedawnego braku zaufania; Sander zarabia na życie rozładowując wagony i ma skrupuły, czy przyjąć prezent. Jest dumny i wrażliwy. Nie! To nie dziwka poszukująca atrakcyjnego opiekuna.

Odzywa się dzwonek u drzwi wejściowych; Marcel zdziwiony unosi brwi. Nie zamknął furtki od ogrodu?

— Umówiłeś się z kimś? — Sander jest zawiedziony.

— Ależ skąd! — zaprzecza Quid. — O tej porze?... — Poza chłopcem nikogo nie zawiadamiał o swoim powrocie, a gospodyni nigdy nie niepokoiłaby go o tej porze. — Nie ma mnie... — postanawia, ale przecież z okien widać światło. Dzwonek nadal alarmuje.

— Światło — Sander odgaduje jego myśli. — Otworzę i spławię... Dla kogo jesteś?

— Dla nikogo — Marcel rzuca się na fotel, nasłuchuje. Dywan w hallu tłumi kroki Małego, szcęk zamka — milknie dzwonek, gwałtowne trzaśnięcie drzwi, nagła cisza i —

— Mar-cel! — nienaturalny, bardziej pisk niż krzyk Sandra i głuchy łoskot.

Quid wypada do przedpokoju. Rozciągnięty na podłodze

nieruchomy Sander, w tle dwóch drabów. Maski z przejrzystej pończochy rozmazują rysy twarzy, w otworach szparki oczu wbite w tancerza. Facet w brązowej masce robi pół kroku do przodu, łapa uzbrojona w pistolet obciążona jest czarną bawełnianą rękawiczką, w słabym świetle ampli obaj wyglądają niesamowicie.

Quid zamiera na mgnienie potrzebne do ogarnięcia tego wzrokiem i... sprężyste, pochylone ciało tancerza z miejsca, bez rozbiegu odbija się od ziemi, w locie rozgina się gwałtownie, wyrzutem nogi wytrąca pistolet zaskoczonemu tak niezwykłym atakiem bandycie. Teraz obu dzieli od niego krok, ale Marcel jest szybszy. Błyskawiczny ruch i tancerz chwytą broń, w tym samym momencie pada strzał.

Człowiek w czarnej rękawicze z jękiem osuwa się na ziemię; Quid stoi z wycelowanym pistoletem, przed nim drugi bandyta z rękoma potulnie uniesionymi nad głową, a na jasnej kurtce leżącego wykwita powiększająca się, szkarłatna plama.

Zdrętwiały Quid z trudem rozwiera wargi, robi niecierpliwy, lecz wymowny ruch ręką.

— Zabieraj go i... wynoście się do diabła! — w tej chwili jego jedyną myślą jest, aby to krwawiące ciało zabrano mu sprzed oczu.

Bandyta, skulony, czujny, nie odrywając wzroku od rewolweru podbiega do kamrata i ze zdumiewającą zręcznością, nie reagując na jego jęki, dźwiga i przerzuca sobie przez ramię bezwładne ciało; przygięty pod tym ciężarem wycofuje się tyłem — przeciąg zatrzaskuje za nimi drzwi. Quid przykłęka nad leżącym bez czucia Sandrem.

Prędeż bym się nagłej śmierci spodziewał niż tego obciachu; no bo i skąd? Robota w sferach wyższych, rzecz można zniewieściałych, nakręcona jak szwajcarski zegarek, w wykonaniu prosta, i ta sympatyczna pewność, że wszystko pozostanie w rodzinie, i nawet echo nie dotrze do tak zwanych czynników oficjalnych. A tu, zamiast czystego szmalcu, gnat utracony, kto wie, czy nie na zawsze, dwadzieścia pięć procent mojej drużyny z gry wyłączone i diabli wiedzą na jak długo. I to przez kogo, dobry Jezu, przez zwyczajnego pedaka! Co to się teraz nie dzieje na świecie, czy kto kiedy słyszał, żeby pedał stawiał się jak facet ze szpany, a faceci ze szpany dawali nogę jak kije rybie, tfu!

W głowę zachodzę i nie rozumiem? jak się to mogło stać; niby wszystko było dopięte, a raptem taki szkaradny finał...

Kitaj przeciwnika zlekceważył, to fakt... No dobrze, ale przecież asekurował go Spokojny. A jednak pokpili sprawę chłopaki, asy, taka ich mać!

Czyżby Marta Arpadowa miała rację?

— Roman, nie każdy perwers jest mięczakiem... — ostrzegęła mnie. — Wbij to w głowy swoim sitwesom!

Nigdy nie mogłem dociec, dlaczego nazywała chłopaków, prawda, tylko w cztery oczy ze mną, moimi sitwesami. Mówiła to specjalnym tonem, który mnie zawsze drażnił; traktowała ich jak nację podlejszego gatunku. No pewno, zarówno Kitajec, jak i Spokojny, a także Wiewiórka nie wyróżniali się szczególną inteligencją, lecz mieli szereg innych zalet, niezbędnych przy robocie... Niezdrowo, jeśli w grupie są same atamany, bo każdy chce rządzić i kompania musi się rozlecieć. A to były poczciwe chłopaki, wiedzieli, że jestem

lepszego, to byli posłuszni, ufali mi ślepo i dobrze na tym wychodzili.

— Pedeki to odmienny gatunek, zupełnie inna rasa — odpowiedziałem Marcie; rzeczywiście byli dla mnie jak Eskimosi albo Pigmeje. Niepojęci! Budzili we mnie pomieszane uczucia. Melanż litości, pogardy, lekceważenia. No, i brzydzili mnie mocno, ale wtedy sobie tak dokładnie tego wszystkiego nie uświadamiałem.

— Są wśród nich także mężczyźni! — nie ustępowała Marta; ona w ogóle ma despotyczny charakter, uparta jest i lubi, żeby jej było na wierzchu. Nieraz doprowadzała mnie do pasji, jeśli wbiła sobie jakiś pogląd w głowę, to można go było wykorzenić tylko wraz z głową. Ale miała także swoje zalety. To była brzana z naszego klanu, kobieta naszej krwi, stworzona dla takich mężczyzn jak my. Inna rzecz, że właśnie ta kobieta zrobiła największego gnoja w moim życiu, ale wówczas, niestety, tego jeszcze nie wiedziałem.

— Szczególnie Sander, co? — roześmiałem się jej w nos.

— Sander to bardzo zła dziewczynka, której Bozia przez roztargnienie przykleiła siurek — znała na wylot każdego, kogo doraźnie trzymaliśmy na stajni. Na bieżącą potrzebę potrafiła wyłowić najatrakcyjniejszy towar w mieście, piękne ciało i brak głupich oporów.

— Ładne zwierzątko z brakami osobowości... — charakteryzowała Sandra. Marta miała słabość do uczonych terminów i wyszukanych słów. Na przykład nigdy nie powiedziała prośny czy nieprzyzwoity, tylko: obsceniczny!

Według jej teorii niektórzy ludzie rodzą się z takim fele-rem psychicznym, jak inni z zajęczą wargą czy rozszczepionym podniebieniem; ona ten mankament nazywała brakiem

uczuc wyższych i właśnie tego miał być pozbawiony Sander. Nie spierałem się z nią o takie coś, co nie da się ani zmierzyć, ani zważyć, ani przerachować na pieniądze.

I teraz wyszło na jej; przekonałem się o tym dotkliwie, a Kitajec nie tyle na własnej skórze, co na własnym brzuchu odczuł, że ten balerines to kawał zbója.

Czarna żółć mnie zalewa, jak o tym pomyślę, a ręka paskudnie świerzbi, aby się osobiście do tego perwersa zabrać. Gdyby on wiedział, komu takiego gnoja zrobił, toby dzień i noc Pana Boga na kolanach błagał, żeby się Kitajec wylizał. Pościłby i gorzały nie tykał, a i wszystkich świństw z chłopczkami zaprzestał na intencję bandziocha Kitajca.

Gdy byłem młody i durny, kiedy kochałem swoją sławę mołojca bardziej niż zdrowy rozsądek i gotów byłem na każdy numer, byle tylko zaimponować kumplom, przyłgnęło do mnie przezwisko: Łupacz! To mówiło samo za siebie. I chociaż od tamtych czasów zmądrzałem i zastarałem się, aby sława w niepamięć poszła, to jeszcze jednak krew mi w żyłach płynie, a nie rybi szlam, i stać mnie na bezinteresowne ryzyko, szczególnie gdy w grę wchodzi krzywda mojej gwardii.

Z natury jestem ostrożny i nic nie robię na chybcika, ale nie wystarczy rozważyć wszystkie za i przeciw, czy interes wart zachodu, czy nie; czytałem gdzieś, że delfiny mają takiego czuja, co pozwala im bezbłędnie orientować się w położeniu pływających przedmiotów czy inszych żyjątek. Tę ich zdumiewającą właściwość uczeni nazwali sonarem. Otóż ja mam taki sonar! Te moje poczciwe prymitywy powiadają, że mam nosa, co na jedno wychodzi. Ale w tym wypadku mój sonar wysiadł, bo nawet wtedy, gdy poszedł hyr po dworcu,



że zrobił się straszny karambol i paryski sznelcug spóźni się nie wiedzieć jak długo, spokojnie siedziałem za kółkiem.

— Czekamy, Romuś? — wywabił mnie z postoju Kitajec.

— Jakbym zmienił zdanie, tobym cię zawiadomił! — podkreśliłem go też zdrowo za to niepotrzebne szwendanie się. On już wtedy czuł się za pewnie, skoro wbrew regule na pogwarki mnie wywołał. Więc opieprzyłem Kitajca, ale raczej dla zasady niż w przewidywaniu kłopotów, bo pomyślałem: znacznie lepiej się składa. A nuż jeszcze ktoś wybrał się na witanie balerinesa, to na takim ziąbie nie wytrzyma i w nieskończoność nie będzie na dworcu pikietował.

Nawet wtedy, gdy czekałem na moich już w Konstancinie i minął czas przewidziany na załatwienie sprawy, to mój sonar także się nie odezwał; tymczasem, na wszelki wypadek, tylko rejestrację na wozie zmieniłem i pomyślałem, że wiodocześnie znaleźli coś nie planowanego a atrakcyjnego i stąd ta zwłoka. Istotnie znaleźli!

Kilka metrów ode mnie, już w młodniaku, w którym sterowałem, markując załatwienie potrzeby, z tej mgły gęstej jak naleśnikowe ciasto wylał wprost na mnie jęczący wielbłąd; tak wyglądali. Dopiero w moment potem rozpoznałem Wiewiórkę i Spokojnego, taszczących skuczącego Kitajca.

Rany, nie było czasu na pytania! Na tylnej kanapie na kolanach go sobie ułożyli, a mnie, nie do wiary, ręce na kierownicy dygotały. Dopiero jak wyprowadziłem wóz na prostą, opanowałem się. Gdy prowadzę auto, zawsze mi to na nerwy dobrze robi.

— Łupacz, wież mnie do szpitala, po kichach dostałem — sklamrze Kitajec, a mnie zimny pot oblewa; całkiem kiepsko

musi z nim być, skoro orient stracił i o szpitalu bredzi. Przecież to za jedno: do lazaretu czy wprost do mamra na Rakowiecką jego i nas wszystkich dostawić.

— Cichaj, Kitajec, wszystko będzie dobrze... — jak do dziecka mówię, a skarż mnie Bóg, jeśli wiem, co mam z nim robić. Rozumiem, bez eskulapa chłop mi, jak amen w pacierzku, skapieje, domowa medycyna tu na nic.

Kitajec już nic nie mówi, dyszy tylko spazmatycznie, wydaje mi się, że na karku to jego rybie tchnienie czuję, i coraz paskudniej mi się w środku robi, bo wiem, że nie mogę dać mu zdechnąć bez żadnej pomocy. Muszę go ratować bez względu na ryzyko, ale jak? No właśnie! Nie poświęcę przecież Wiewiórki i Spokojnego dla Kitajca, a i mnie wolność miła, do garowania nieśpieszno. Kurczę! Takie to są rozkosze władzy i aż wyć mi się chce, bo Kitajec to mój kumpel najlepszy, ostatni ze starej gwardii, jeszcze z młodości, z tej durnej, mołojeckiej.

— Coście tam nawarzyli? — już do Podkowy dojeżdżamy i dopiero pytam o to, od czego powinienem zacząć; ciareczki w potylicy czuję. Jak mi się nerwy huśtają, to zawsze mrowienie w tyle głowy czuję, a miały czego się huśtać, bo myślałem, że tam straszną rzeźnię oni po sobie zostawili.

— My nie — marnie Spokojny, ledwie przez gardło te dwa słowa wypycha. Myślałem, że mnie krew zaleje! Żeby jeden nędzny pedek kopem Kitajcowi kopyto wytrącił? Tego jeszcze nie było! Nie tylko szmalu żadnego nie wzięli, ale do tego spluwę utracili, a na dokładkę Kitajcowi balerines brzucho podziurawił.

Wątroba mi się ze złości przekręca, nawet w pysk strzelić żadnego nie mogę, bo muszę czym prędzej wieźć ich na metę, a jeszcze główkować, jak temu gamoniowi kałdun zakłajstrować.

— Żeby jeden trzech... — dusi mnie wściekłość i charczę prawie tak jak ranny Kitajec.

— Dwóch! — prostuje Wiewiórka; bo on, zanim do drzwi po strzale podbiegł, to Spokojny już g o t o w e g o Kitajca wytaszczył.

— Skoczył jak kangur, a glony ma jak perszeron, sekundy nie trwało, a mnie już pod lufą trzymał — wybraniał się Spokojny.

— Pod sufit, jak bies kicnął... — łapiąc powietrze wychrypiał Kitajec.

Jak powiedział o tym biesie, to przypomniałem sobie gadanie Marty. Bo Arpadowa, oprócz naukowych, jest także w pretensjach intelektualno-kulturalnych. Do teatru, do opery regularnie gania, szczególnie jak wreszcie na placu Teatralnym ten sarkofag rodzinny na glanc wyporzadzili. Nie powiem, sam też raz z nią poszedłem z ciekawości, zobaczyć, jak toto w środku wygląda... Ona naszego balerinesa, jeszcze wtedy taki sławny nie był, właśnie jako diabła widziała. I tak elegancko go nazwała: Mefisto...

— Kondycja jak u wyczynowca, sprężyna nie facet! — wychwalała go Marta; a ja słuchałem tych jej przemądrzałych zachwyków i nie słuchałem. Bo dla mnie coś takiego jak balerines to nie profesja, tylko charakter, a raczej jego brak. Co to za chłop, co półdupki babskimi rajstopami opnie i z uszminowaną gębą glonami pod muzyczkę fika? Żałosna ćwierćstota. I jak to się z cudzoziemska ochrzcił. Taki ledwo nogi z gnoju otrze, a czegoś się dochrapie, to zaraz mu swojskie

paczesiami śmierdzi.

I dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że to ja właśnie nie potraktowałem balerinesa poważnie i stąd ta cała bieda poszła! Lecz tak bezstronnie patrząc, niewąska kanalia z tego Quida!

Rozumiem, nikt nie chce za bezdurno rozstawać się ze swymi pieniędzmi i jak potrafi, tak ich broni. Zaatakował i wygrał, to jeszcze w porządku. Nie lubię przegrywać, jednak docenię przeciwnika. Ale żeby bezbronnemu brzuchem ołowiem faszrować? Z tym się nigdy nie pogodzę.

— Łupacz, dlaczego on nas wypuścił? — Spokojny jest tchórzem, przeciwnie: rzekłbym, to facet rozsądnie odważny. Znaczy nie desperat, ale twardziel. Lecz gest balerinesa jest dlań zupełnie niepojęty — metafizyka! A sprawy niezrozumiałe wpędzają Spokojnego w panikę.

— Trzeba było go zapytać, a teraz zamknij dziób! — do prawdy nie mogę już tego słuchać, przez całą drogę w kółko powtarza jedno i to samo.

Wreszcie mnie się przejaśnia i zaczynam rozumieć zamysł Quida; nie będzie meldował, mógł przecież zrobić to od ręki, miał facetów pod lufą, a on im tylko kota popędził i sza.

Ale może teraz, gdy odratował to małe ścierwo i zobaczył, że nic mu się nie stało, łamie się, co dalej robić... Żeby się tylko Paź Królowej nie gibnął!

Męska decyzja. Hamuję przy pierwszym mijanym automacie; chwała Bogu, jest sprawny. Małymi kłębkami z porwanej chusteczki wypycham policzki, to zmienia głos. Może to sobie, jeżeli zechce, nagrywać do upojenia.

Balerines odzywa się; natychmiast, jakby czekał na ten telefon.

— Halo, dżentelmeńska umowa! My nie zgłosimy o za-  
bójstwie, ty nie meldujesz o najściu, gra?

— On... nie żyje? — Quid mówi to ledwo dosłyszalnie i  
milknie; już jestem w domu. Na pewno nikogo nie zawiadomi  
— oddycham. Trzepnęła go moja informacja. Pewno, niejed-  
nego by rozłożyła na amen. Bo jak to? Jeszcze przed godziną  
porządny facet, a tu bach! Przedziurawił człowieka, morderca.

— Daj głos, zgoda?

— Zgoda — wykrztusił, ale rączo.

— I zwrócisz, coś zabrał. W tych dniach dam ci znać,  
kiedy... a miejsce: w Pyrach, „Pod Łozami”. To taki lokalik...  
tylko żadnych numerów, bo pożałujesz, żeś się urodził. Bę-  
dziemy kwita i więcej cię nie ruszymy, uczciwe słowo! Ale  
jeśli oszwabisz, zdmuchniemy ci Małego — nie czekam już  
na odpowiedź, odwieszam słuchawkę. Uff! Lżej mi teraz na  
duszy, zdaje się, za jednym zamachem zabezpieczyłem sobie  
tyły i oskrobałem Sandra z ewentualnych podejrzeń. A teraz  
już tylko Kitajec! Chłopaki nie rozumieją, po co i do kogo  
dzwoniłem, tracąc czas w takiej podbramkowej sytuacji, ale  
nie mam nastroju właśnie w tej chwili przed nimi się kiszko-  
wać.

— Ty się zastanów... — znów zaczął swoje Spokojny.  
Obiecałem mu po ryju, jeśli piśnie jeszcze chociaż słowo, i  
byłbym to zrobił, ale byliśmy już w Podkowie, wjechałem na  
nasze podwórko i należało przenieść Kitajca możliwie szybko  
i zęcnie, bo chociaż posesja liczyła półtora tysiąca metrów i  
była dobrze zadrzewiona, to jednak istnieli sąsiedzi.

Mówię: nasze podwórko, bo połowa domu należała do

Kitajca, a połowa do mnie, lecz stanowiło to własność niepodzielna, co wykładając na ludzki język znaczyło, że sprzedać tę nieruchomość można tylko przy obopólnej zgodzie. Ot, takie hipoteczne zabezpieczenie przed nieprzewidzianym.

Kitajec miał żonę, syna i córkę. Syn, gdy miał jeszcze mleko pod nosem, wyniósł się z domu i odtąd nie przyznawał się do ojca — taki wyrodek. Podobno studia nawet skończył i w stoczni jest inżynierem. Apostoł był z niego taki, że jak tylko jako tako stanął na nogi, to siostrę z domu rodzicielskiego wydłubał. Niech się w środowisku kryminogennym, tak się skunks uczenie wymądrzał, nie deprawuje. Nawet jej nic z domu nie pozwolił wziąć, że to niby z nieczystego źródła. Bałwan!

I cóż się dzieje? Gdy tylko dziewczynie włosy pod pachami urosły, wypięła się na braterskie wychowaniu, w kurwy jak w dym poszła i teraz z niej najpierwsza erotessa w Trójmieście; często w jeden wieczór więcej cekinów nastuka niż ten jej niekryminogeny braciulec w miesiąc jako wielki pan inżynier. Nie udały się dzieci Kitajcowi, od rodziców niby nic brać nie chcą i znać ich nie chcą. Tak, ale p o rodzicach?

Wystarczy, aby. Kitajca zabrakło, to mógłbym mieć jakich sąsiadów, że poły urzynać i uciekać albo interesy rzucić.

Takie to myśli hasały mi po skołatanej głowie, kiedyśmy już Kitajca z wozu zabierali.

— Do mnie niesiemy — zarządziłem, bo bałem się, że Kitajcowa, wyrwana ze snu takim widokiem, może się nie opanować i lament podniesie na całą Podkowę, a głos jej Bozia dała jak jerychońską trąbę.

Gdy szczęśliwie Kitajca na moim tapczanie położyliśmy,

byłem już spokojny i wiedziałem, co zrobię; ze mną zawsze tak. Jak tylko wyłoni się sytuacja niebezpieczna, a ta była wręcz rozpaczliwa, to przez moment mam tylko cykorię i żadnego pomysłu, jak z tego wybrnąć. Przeważnie wówczas przychodzą mi na myśl różne duperela, absolutnie nie związane z bieżącą potrzebą, a ja te duperela żuję jak koń obrok, nie odganiam ich, Boże broń, bo już z doświadczenia wiem, że tego mi trzeba do pokrzepienia, a równocześnie sama z siebie, jakby bez mojej wiedzy, dojrzewa we mnie właściwa decyzja.

— W barku jest spirytus — kazałem Wiewiórcę rozciąć na Kitajcu łąchy, brzuch mu zdezynfekować i tylko gazę higroskopijną przyłożyć; krwawić jakby przestał, ale wcale mnie to nie cieszyło, podejrzewałem, że krew mu się do środka sączy, a to chyba jeszcze gorzej.

— Ten balerines... — znów zaskuczał Spokojny jak ze-psuta płyta; musiałem strzelić go w trąbę, żeby wreszcie przestał. Co za natura parszywa, tu kumpel się kończy, a on ciągle o jednym, chociaż teraz to i tak bez znaczenia.

— Balerines nie zamelduje — wyjaśniłem pokrótce, co załatwiłem, aby ich uspokoić, bo teraz trzeba było ostro i po kozacku zadziałać.

— Wierzysz pedekowi? — zamruczał Spokojny. Zmłczałem, bo nie czas było rozwodzić się, dlaczego wierzę. Złapałem książkę telefoniczną.

— Sprowadzę ci, Kitajec, najlepszego specjalistę, jaki jest w tym mieście! — podtrzymałem go na duchu. Tylko otworzyłem spis i od razu trafiłem na jakiegoś profesora doktora medycyny, i jeszcze: chirurg przy nazwisku stoi! Tak mi się z fartem ta książka rozwarła.

— Pić — zaszemrał Kitajec, a ten baran Spokojny już mu z syfonu wodę do szklanki sika; odebrałem mu szklankę,

kazałem tylko wilgotną szmatką usta przetrzeć, bo tyle to wiedziałem, że jeśli ranne jest brzuch, to i tyk wody może być śmiertelny.

— Wiewiórka, jedziemy — teraz przyłożyłem się do kierownicy i posunąłem na całego. Z Kitajcem nie mogłem tak jechać, aby mu tych dziurawych flaków nie utrzęzło.

Willa na Żoliborzu, wokół pusto, ale ogrodzenie z żelaznych pik, frymuśnie odlewanych, wysokie prawie na dwa metry, a furtka automatem z głębi mieszkania otwierana. Podchodzę, na murku tabliczka, zgadza się: profesor doktor medycyny Borowicz.

— Kładź się, Wiewiórka — to spryciel, w lot pojął, co zamyślałem, więc rymnął na chodnik, pod parkanem się uwalił.

Dzwonek duszę, ręki z tasteru nie zdejmuję. Zaraz światło na werandzie zajaśniało.. A ja w cetno i lichy gram: otworzą furtkę od razu czy wpierv wyjdą zobaczyć do ogrodu. Nie otworzyli. Człapie się jakaś szmara, spod narzuconego byle jak płaszcza długa koszula się majta. Z dała parzygnata rozpoznaje. Z takimi co najgorzej, gatunek szkaradniejszy niż najzjadlejszy brytan.

Trącam nogą Wiewiórkę — ten rozpoczyna przedstawienie; charczy, świszczę, pojękuje, bardzo udatnie to odstawia, żadnej szarży, widocznie Kitaja się nasłuchał.

— Zaraz — garkotłuk łapie migiem sytuację, a widać przy profesorze humanizmu przyuczony, biegiem się cofa, automat zwalnia i apiać klusem do nas wraca. Tego byka Wiewiórkę nieść pomaga.

— Proszę tędy — drogę wskazuje.

Gabinet, kanapa skórzana jak gondola; gosposia poszła profesora budzić. Na jedno oko chyba sypia ten lekarski stan, bo ledwo ciemnymi brylami oczy przysłoniliśmy i dogodne



miejsca zajęliśmy, profesor do gabinetu wchodzi; ja, pół kroku od ściany, gnatem go w żebro zmacałem, Wiewiórka telefon obstawia.

— Nie mam pieniędzy — zaimponował mi, bo chociaż z pewnością włos mu się na łydkach jeżył, to nad głosem i nad twarzą panował.

— Proszę z nami — mówię, a Wiewiórka w jakiś sakwo-  
żaj wszystkie medykamenty i narzędzia, jak leci, z oszklonej szafy wygarnia.

— Powtarzam, nie mam pieniędzy! — cedzi konsyliarz i ani drgnie.

— Jeśli pan nie usłucha, będę zmuszony pana zabić — mówię zimno takim drańskim głosem i czuję, kurza stopa, że mógłbym to zrobić — a nie leży to w moim interesie, bo pilnie potrzebuję doktora!

— Ależ to porwanie!

— Nie spierajmy się o detale — ja na to. — Kumpel mój serdeczny korkuje! Profesorze, człowiek w niebezpieczeństwie, biedny, chory człowiek! — jakoś tak |wbrew swojej woli zasklamrzałem, bo czułem, jak mi się ziemia usuwa spod nóg. Cholernie nie chciałem zakosić tego doktora, bo przecież nic mi złego nie uczynił, a i potrzebny był jak samo zdrowie; o ratunek go błagałem i o to, aby mnie nie doprowadził do ostateczności.

Dziwna to nacja ci humaniści, ani w ząb nie potrafię ich pojąć, ale łaska Boga, że tacy też są. Chociaż luźną miał pod żebrem, to do dyskusji ze mną się zabierał, ale na słowo: człowiek, zareagował jak ułański koń na trąbkę. Spojrzał tylko na mnie tak jakoś, jakby do flaków chciał zajrzeć.

— Dobrze, jadę. Co się stało waszemu człowieko-  
wi?

— Postrzał w brzuch.

— Jestem neurochirurgiem — ze ściennej szafy, ale z innej niż ta, w której buszował Wiewiórka, wyjął jakieś wihajstry. — Czy przynajmniej rozumiesz, bęcwale, co to za specjalność? — przełknąłem tego bęcwała anim mrugnął. Jego prawo, on ludzkie życie, że tak po wiem, w rękach nosi.

— To coś z głową — tyle wiedziałem.

— Z głową, z głową — zamruczał z politowaniem.

— W książce telefonicznej nie ma specjalności, tylko tytuły — usprawiedliwiłem się; zupełnie nie wiem dlaczego, ale zaczęło mi zależeć, aby nie wypaść przed nim na prostaka. Śmieszne.

— Głowa delikatniejsza niż brzuch! Jak pan jest od głowy, to i z bandziochem pan sobie poradzi — wydalił z siebie takie kretynstwo Wiewiórka; towarzyski się, szwanc, zrobił, niech go kolka. Nie odezwałem się, tylko przyszpiliłem go oczyma, wstyd mi było za tego woła.

— Panie profesorze, czas — życie! — nagliłem.

— Potrzebuję narzędzi, instrumentariuszkę, anestezjologa, i w ogóle sali operacyjnej... — wybuchnął i widziałem, że coś waży w sobie.

— Proszę mówić, co potrzeba, a ja przywiozę! Oczywiście, z wyjątkiem sali operacyjnej.

— Porwie pan!

— Porwę, uprowadzę, włamię się do apteki — byłem rzeczywiście gotów na wszystko. — Tylko, na litość Boga, niech się pan pośpieszy.

I na to wlaź ten profesorski parzygnat. Rozwarła gębę, ale Wiewiórka zdążył jej buzię łapą przydusić, a łapę ma jak katowski czeladnik, więc babina tylko zagulgotała i, ścierwo,

ugryzła go w palec, aż do krwi. Nie było rady, musiałem ją także zabrać, jeśli nie chciałem mieć w trop za sobą łapaczy. — Ancug dla pana profesora — zażądał Wiewiórka.

— Co takiego? — nie rozumiała, czego on chce.

— No, okrycie zwierzchnie — połapał się i przetłumaczył na ludzki język Wiewiórka; wyszedł z nią po łachy. Bezcelne babsko to było i jak tylko zmonała, że my z profesorem jak z jajkiem, to nam na głowy potem włożyła. Sposobu na jędzę nie było.

Ujął mnie ten profesor jak mało kto, bo przecież wiedziałem, że całą duszą jest przeciw nam — a kiedy go puścimy, to zanim do domu wróci, wpierw na glinowo wstąpi i ze szczegółami nas obsmaruje — ale teraz dla ratowania człowieka własną córkę, rodzone dziecko z pościeli wyciągnął i ze sobą zabrał.

— Joasiu, potrzebuję instrumentariuszki. Nie bój się, moje dziecko — tak do niej przemówił, bo ją także zatkało, jak w swoim panieńskim pokoju moją fizys w ciemnych szklach zobaczyła. Piękna, młoda dziewczyna, a już medyczka jak i tatuś.

— Czy potrafię? — zmartwiła się.

— Nie mam wyboru — mruknął ojciec.

— Kto zostaje w domu? — pytam i po pokojach się z nimi oprowadzam; w tej sytuacji nie mogłem już nikogo z domowników zostawić.

— Nikt — okazało się, profesorowa jest za granicą, na jakimś stypendium czy sympozjum. W taki sposób miałem na karku trzy osoby do pilnowania. Co najmniej o dwie za dużo. A potem zgryz jak cholera, bo profesor kartkę na recepisie, z nadrukiem swoich tytułów, skrobnął, pieczętkę przyfastrygował i mnie do ocenowania dał. Tekst niby niewinny. Jakiejś siostrze Teresie każe narzędzia i lekarstwa wydać, a papierek

imiennie wystawiony na córkę.

— Przedadresuj, profesor, na okaziciela, kolegę pchnę albo sam się kopnę — mówię, a szczęśliwie już w wozie siedzimy i mam zamiar oczy im wiązać.

— Zostawimy Joannę przed kliniką, zanim pan obróci, ona już będzie gotowa — dyryguje profesor. — Czasu szkoda!

Zbrzydźli mnie; czort wie, córa może nie wytrzyma nerwowo i alarm podniesie. Z drugiej strony, chyba ojca nierozważą nie narazi. No tak, ale gliniarzy śpiewająco zdąży powiadomić, a oni za moim wozem jak ogary pójdą i mają nas w saku. Nawet dla bezpieczeństwa profesorskiej rodziny odczekają, zanim ich wypuszczę, a potem wybiorą nas po kolei jak, swoich.

Ot, co te inteligenciaki wydumali. Myśleli, że ich nie przejrzę. I już innymi oczyma na to humanistyczne poświęcenie własnej córki dla dobra człowieczeństwa patrzę.

— Szkoda śliny, jedziemy — niszcę ich naiwny plan.

— Na widok waszych twarzy siostra Teresa zadzwoni po radiowóz — rąbie ze złością to profesorskie dziecko, kiedy widzi, że z ich pomysłów nici.

— A bez mojej twarzy panna zadzwonisz po radiowóz — już się wściekłem. Mądrała, będzie mi tu na nosie grać, bo wie, jak ich potrzebujemy.

— Tak będzie, jak powiedziałem! Wiewiórka, załóż opaski i zbierz od nich zegarki — rozkazuję; a oni już się nie stawiali. Dali sobie bez protestu zawiązać oczy i oddali czasomierze. Niech nie mają do nich dostępu, muszą stracić poczucie czasu.

— A teraz trzymać się, bo jadę ostro — i rznę sto dwa-  
dzieścia, bo szczęśliwie wiatr się zerwał i mgła się podniosła;

wiraże poślizgiem biorę, więc w wozie trochę rzuca. Niech jaśnie państwo wiedzą, że nie z łatkiem do czynienia mają, a i o Kitaja niepokój jak rdza mnie zżera.

Gdy ich na chacie wygruziłem i szmaty z twarzy zdjąłem, oczy im w słup stanęły, tak się zdziwili. Co za ludzie, jak rany, tacy inteligentni, a wyobraźni brakuje. Wycenili nas z Wiewiórką na zbirów i chamów, więc spodziewali się, że do jakiejś zaplutej meliny ich wieziemy, no bo gdzie taki margines może żyć? I całkiem ich wytrąciło z toru to moje mieszkanie. Czyste, przestronne, urządzone luksusowo. Bo lubię komfort, pracuję i mam na niego. Z zewnątrz to nawet tynku nie dawałem i dom wygląda skromnie, bo po co ma bez potrzeby w oczy kłuć. Ale w środku to już zadbałem, żeby było prima sort; poczuli się niemal dotknięci tym wnętrzem, pewnie uważali, że tylko oni mają monopol na porządne meble, perskie dywany, obrazy i adamaszkowe zasłony. A taki jak ja to powinien na drewnianych narach i słomą wypchanych siennikach sypiać, w zapluskwionej norze z kulawym krzesłem i polepą zamiast podłogi.

Śmiać mi się chciało, niech pojmą, że jestem człowiekiem podobnym do nich, tylko inny fach nas żywi i być może mój życiowy spryt wyrównuje ich akademie.

— Konieczna transfuzja — zasępił się profesor obejrzawszy Kitajca.

— Mam grupę zerową, podgrupę AB... — i jeszcze podałem mu grupę i odczynnik krwi Kitajca.

— Skąd to pan tak dokładnie wie? — prześwidrował mnie oczyma profesor, jakby chciał mi mózg przeświecić.

— Nie pański interes, wiem! — zezłościłem się, bo jak na jeńca on był stanowczo za pewny siebie i za ciekawy; nie mogłem mu przecież powiedzieć, że jako kierowcy mamy to

raz na zawsze zapisane w dokumentach.

— Dobrze — mruknął, wbijając w Kitajca jakiś zastrzyk — proszę jechać po narzędzia — okazało się, nie był to tylko czysty wybieg, rzeczywiście jakieś przybory były im jeszcze potrzebne.

— Wiewiórka z gosposią do kuchni, Spokojny na usługi profesora... I tylko nie radzę zbliżać się do okien ani stosować innych kawałów, bo moi chłopcy na żartach się nie znają — ostrzegłem, a dziewczynie kazałem założyć okulary rajdowe, zaś szyby w nich na czarno zamazałem. Pod kliniką kazałem jej to zdjąć.

— Jeśli panna tam w środku choćby okiem bez potrzeby mrugniesz, jak Bóg na niebie, rozpieprzę szpital... Może mnie i złapią wtedy, ale przedtem z panny i z paru jeszcze ludzi flaki zdążę wypuścić... — gaję i czuję, jak mi skrzydełka u nosa marzną, i wiem, że jestem gotów to zrobić, a ona z punktu wyczuła, że nie bluffuję; spojrzała tylko na mnie tak, jakby do bebechów chciała sięgnąć, przybladła i ta jej smągła twarz się ściągnęła, a usta jak kreseczka.

— Chodźmy — powiedziała tylko i dumnie, jak królowa, tę czarną głowę niesie, z góry na mnie spogląda, jakbym był jakąś lizką kudławcem, a nie mężczyzną; kurza stopa! Gdyby taka mnie chciała! Pieniądzy bym dla niej nastukał jak lodu, może nawet i interesy zwinął? I jak humanista żył.

Jeszcze niestary jestem, czterdzieści siedem lat to sam wiek dla mężczyzny, tłuszczu na mnie nie ma, tylko same mięśnie, włosy jeszcze gęste jak szczotka i ani jednego siwego.

Takie głupie myśli po głowie mi się telepią; wiadomo jest,

kobietę ze swego stanu trzeba brać. Taka toby tylko człowiekiem pomiatała, nie pasujemy do jednego zaprzęgu i największe pieniądze tego nie zmieniają. Dwa różne brzegi i żaden most ich nie połączy, a żal!

Pstrąg na osoby w moich latach już nie wapniaki, nie zgredy, tylko gacki, niby nietoperze, mówi.

— Dlaczego gacki? — zaciekało mnie.

— Ślepe, głuche, wszystkiego się czepia i we włosy się wkręca — roześmiała się. Z Pstrąga wyjątkowo piękna dziewczucha i znacznie ładniejsza od profesorówny, tylko o wiele młodsza. Ta jak nic dwudziestu pięciu dobija, a tamtej siedemnaście lat! Tylko że z Pstrąga starsza dziwka niż z tej doktorka.

Ale Arpadowa powiada, że Małej niczego nie brakuje, czyli te wszystkie uczucia wyższe w należyтым porządku. A zwichrowana jest niemal od maleńkości tylko dlatego, bo miała trudne dzieciństwo i brakowało jej wzorców. I jeszcze teraz, gdyby znalazł się ktoś, kto byłby dla Pstrąga autorytetem, jak nic przerobiłby dziewczynę, czyli zredukował.

Ja osobiście wolę Pstrągą taką, jaka jest, bo po przeróbce straciłaby dla mnie wszelką rynkową wartość. Nie, nie mam najmniejszego zamiaru zmieniać Pstrągą. Ale Marta twierdzi, że Pstrąg to inteligentna dziewczyna, ma swoją osobowość i nie znosi wędzidła, więc trzeba z nią bardzo ostrożnie, i tę jej indywidualność szanować. Jak by tam nie było, jedno wiem, w żadną bliższą komitywę z Małą nie wejść, i nie dlatego, że indywidualność, tylko srajd!

Zgadzam się z Martą, Pstrąg nie jest taką sobie zwyczajną zdziurą, nawet mam słabość do tej małej; cóż, od małego patafiana toto znam, ledwo od ziemi odrosła, już mnie na lizaki

naciągała — spryciara! Ale dla niej byłem i jestem człowiekiem, a dla tej?

Profesorska córunia traktowała mnie jak robaka, trochę jadowitego, ale przy tym cholernie obrzydliwego; byle od niego dalej i aby przypadkiem go nie dotknąć. Nie przyjmowała do wiadomości faktu, że jest zupełnie na mojej łasce. Ciekaw jestem, co by się stało z jej królewską postawą i miażdżącą pogardą, gdybym ją oddał na uciechę moim chłopakom. Z upodobaniem bawiłem się tą myślą, wiedząc, że tego nigdy nie zrobię. I nie tylko dlatego, że jej stary po takim numerze nie byłby zdolny do ratowania Kitajca, również nie dlatego, że to byłaby głupia i niepotrzebna komplikacja, ale... psianoga, imponowała mi ta doktorka, właśnie że taka harda.

A tymczasem profesor przygotowywał się do operacji i dyrygował nami, jakby był u siebie w szpitalu. Potulnie spełnialiśmy wszystkie jego zarządzenia, ale on z niczego nie był zadowolony; niepokój go zjadał, a chociaż tego nie mówił, czułem, z Kitajcem nie jest zbyt dobrze. Za długo czekał na ten ratunek.

Według jego woli do salonu na parterze przynieśliśmy kuchenny stół i zamontowałem samochodowy reflektor, a potem nie odstępowałem go ani na chwilę. Gdy krajał Kitajca, usunąłem wszystkich, tak jak żądał, ale na moją obecność nie tylko nie margnął, lecz i funkcję mi przy operacji wyznaczył.

Najpierw kazał, abym założył świeżą koszulę i gacie, potem mi kitel w oryginalnym klinicznym opakowaniu rzucił i musiałem go włożyć; ta jego córka tampon mi zawiązała na twarzy, a profesor polecił, bym trzymał reflektor w taki sposób, aby oświetlał tylko tę część brzucha, którą nazywał polem operacyjnym.



To trwało trzy godziny! Trzy godziny, łatwo powiedzieć, ale zdzierzyć w tych oparach krwi, bebechów i medykamentów. T r z y godziny od momentu, gdy gołego Kitajca, jak go matka urodziła, przywiązaliśmy do stołu, a dziewczyna dała mu narkozę. Profesor w tym czasie kończył szorować ręce, a tarł je tak, jakby chciał skórę z nich zedrzeć, potem jeszcze moczył w spirytusie, a potem niósł je przed sobą, jakby trzymał w nich hostię, a Wiewiórka przed nim tylko drzwi otwierał.

No i zaczęło się; twarżel jestem, ale chwilami robiło mi się słabo i mroczki skakały przed oczyma, a ramiona martwiały od tego cholernego reflektora.

— Światło! — wściekał się profesor, a mnie było strasznie tyso i czułem się jak skarcony gówniarz, co najprostszą robotę spartaczy. Gorliwie naprostowywałem ten sakramentki fanar i starałem się, aby nie drżały mi ręce. Mimo woli podziwiałem ich spokój, opanowanie i absolutną pewność siebie. Jak gdyby na całym świecie istniały tylko bebechy Kitajca, tętno Kitajca, ciśnienie Kitajca i oni dwoje — czarodzieje, mogący zatrzymać lub wypuścić życie. Czułem się przy nich nędzny, malutki i zupełnie nieważny; to nie jest przyjemnie dla mężczyzny, który dotychczas coś znaczył.

— Klipsy! — doktor chlasnął jednym cięciem brzuch mego kamrata; rozciągnięte, nieruchome i jakieś takie żółtoblade ciało sprawiało wrażenie martwego. Profesor przeciągnął po krwawiących brzegach narzędziem podłączonym do kontaktu, na uparte go przypominającym maleńką lutownicę, i rozszedł się swąd przypalonego ścierwa. Ustało krwawienie; ta mała, ta Joanna, wkładała w wyciągniętą rękę profesora maleńkie kleszczyki, a on odciągał i zaciskał nimi ranę. Ukazała się warstwa złotawego tłuszczu, zupełnie jak u gęsi, gdy jej się

rozetnie kuper.

Żołądek obił mi się o zęby, bałem się, że nie zdzierzę i zaraz bluznę pawiem.

Profesor nawet nie spojrział na mnie, a wiedział, że trzewia stają mi dęba, ale ryknął tylko: — Światło! — takim głosem, aż mi wszystko w środku z powrotem obsunęło się do normy, wtedy wsparł mnie jeszcze wielopiętrową wiązką kwiatów polskich; zamurowało mnie z podziwu.

— Przyjrzyj się, kiju sachajdaczny, jak ciężko jest reperować to, co zepsujesz w człowieku! — tak mnie reedukował. — Może w przyszłości się zastanowisz, zanim zastawisz człowieka kopytem.

— Ależ to nie ja... — tłumaczyłem się przed nim jak gnojek, tak mnie rozmiękczyła ta rzeźnia.

— ...perforacja jelita... — profesor gmerał już w brzuchu Kitajca.

— ...tętno słabnie... — jak przez ścianę z waty dotarł do mnie głos Joanny; sterczałem jak słup telegraficzny, a w głowie huczała tylko jedna myśl: Kitajec korkuje i cały mój desperacki wysiłek na nic.

— ...adrenalina, glukoza... — rozkazywał profesor i jego spokój podzielał także i na mnie, a dziewczyna przytomnie wbijała szpilę za szpilą w żyłę w zgięciu przedramienia Kitajca i nawet dłoń jej nie drgnęła.

— Tętno wzrasta! — meldowała potem głosem jak srebrny dzwonek.

— Klamra! — zażądał profesor i zaraz wrzask: — Klamra! — i mat piętrowy a misterny; zbaraniałem! Oklął własną córkę, bo zawahała się przez moment.

Nabierałem do niego nie chcianej sympatii i nie dlatego,

że umiał takie wiąchy posyłać, chociaż dla mnie to było nie-  
zwyczajne u tak wykształconego człowieka; respekt budził jego  
stosunek do roboty, przy której nie ma swata ani brata i nie  
ma rodzzonego dziecka. I nie czułem się już takim nędznym,  
rozdeptanym przez ich wielkość robakiem, bo przecież tej  
dumnej pannie sobaczył tak samo jak i mnie, skoro się w  
czymś gібnęła, żadnej różnicy między nami nie robiąc. Ja-  
śniej mi się na duszy zrobiło i jeszcze dlatego, bo nabrałem  
nadziei, że on wyciągnie Kitajca z impasu, a moje ryzyko nie  
pójdzie na marne.

— Powinien się wylizać, zanim dojrzeje do stryczka! —  
profesor założył opatrunek, szmyrgnął rękawice i skinął na  
mnie, abym zgasił fanar; klapnął na fotel, jak gdyby życie z  
niego wyciekło, jak gdyby tę swoją energię oddał w całości  
Kitajcowi. Pojąłem wtedy, Co to za katorżnicze rzemiosło i  
jaką cenę ten człowiek płaci mimo pozornego spokoju i opa-  
nowania. Siedział teraz z poszarzałą twarzą, wyraźnie zazna-  
czały się bruzdy, na czole i wokół ust, wyglądał na starego  
człowieka.

— Przenieście go na łóżko — ocknął się jak ze snu i po-  
tarł palcami oczy. — Wołaj tych swoich obwiesiów, czego  
sterczysz? — huknął na mnie. Wstał, przeciągnął się. —  
Znajdzie się filiżanka kawy?

— Wszystko, co pan profesor każe! — jak przed lordem  
otworzyłem przed nim drzwi.

— Ale ci doktor sobaczył! — cieszył się Spokojny, roz-  
cierając nos. Skunks jeden, podsłuchiwał pod drzwiami.

Ta profesorska gospodyni miała tresurę; w drugim pokoju  
czekał już elegancko nakryty stolik i termos z gorącą kawą.  
Moja kuchnia nie miała już dla niej żadnych tajemnic, wy-  
szperała nawet mój reprezentacyjny serwis — autentyczny  
Rosenthal — i przyniosła d w i e filiżanki.

— Dla pana profesora i Joasi — zapowiedziała z ważną miną, abym nie miał wątpliwości; nikt więcej, jej zdaniem, nie był godzien usiąść razem z jej państwem do stołu.

Sytuacja była osobliwa, bo ta kuchta traktowała mnie w moim własnym domu, będąc na mojej łasce i niełasce, jak kozi bobek, a ja zmordowany tym wszystkim, co przeszedłem tego dnia, i spuchnięty z szacunku dla profesora, nie śmiałem ustawić bezczelnego koczkodana.

Ale profesor się znalazł; tylko popatrzył na nią bez jednego słowa, a ta natychmiast zmiękła.

— Podaję, już podaję... — zakłapała z wdziękiem starego krokodyla; zaraz też przyniosła trzecią filiżankę. Weszła wtedy Joasia, już bez kitla, z miną udzielnej księżnej, i usiadła w pobliżu ojca. Ja nie istniałem, byłem powietrzem.

— Koniaku? — nie czekając na odpowiedź, otworzyłem ścienny barek, szykowne urządzenie, i nie śpiesząc się wybrałem butelkę „Napoleona”, zamarudziłem trochę, niech nie wygląda, że się przed nimi puszę, lecz wystarczająco, aby mogli dojrzeć jego dobrze wypełnioną zawartość.

Na to znowu wparował ten profesorski parzygnat i zdjął z tacy przekąski. Co bym nie powiedział o jej szkaradnym charakterze, to jednak ta jędza umiała podać niczym oberkelner w „Europeju”, puszczone z czarną ikrą ustawiła w salaterce na lodzie, wkoło ćwiartki cytryny, a obok, zawinięte w serwetkę, gorące jeszcze, ładnie przyrumienione grzanki i oddzielnie masło podziabane w baranka. Szyk!

— Prosit! — napełniłem dwie kryształowe czareczki, sobie nie postawiłem nawet kieliszka, bo nie chciałem narazić się na kolejny afront, na który nie wiem, jak bym zareagował.

Dziewczyna była zdolna do wszystkiego, aby mnie tylko skopać i upokorzyć.

I znów w ich oczach spostrzegłem ten błysk zdumienia, co na początku, gdy zobaczyli wnętrze mego domu. Niepojęte było dla nich, że mogę mieć koniak, jadać na porcelanie i pijać z kryształu; widocznie dotychczas mieli wątpliwości, czy taki jak ja umie posługiwać się widelcem i nożem.

Profesor był jednak subtelny facet, potrafił zajrzeć nie tylko w bebechy, ale i w duszę człowieka, i znów potraktował mnie jak równy równego; był także wystarczająco przenikliwy, aby wiedzieć, że niedobrze jest przeciągnąć strunę. No więc z punktu zrozumiał przyczynę mojej wstrzemięźliwości, uśmiechnął się tylko i sam, jak gdyby on był tu gospodarzem, przyniósł z barku jeszcze jeden kieliszek i nalał do niego koniaku.

— Abyśmy! — przepił do mnie.

Mała nie rzekła ani słowa, ale zachnęła się, jakby ją, kto batem smagnął; nie w smak jej poszedł gest ojca i myślałem przez chwilę, że zaraz strąci zastawę albo zrobi jaki inny skandal. Ale nie, na takie zagrania ona widać była zbyt dobrze wychowana. Opanowała się i z tą królewską miną umoczyła dzióbek w kieliszku.

— Jak długo zamierza pan nas więzić? — profesor jadł z apetytem, pociągał koniak i zachowywał się tak jak gdyby był w gościnie u najlepszych przyjaciół.

— Aż kumpel wydobrzeje.

— To, długa sprawa... — profesor widział konieczność fachowej opieki, dopóki stan Kitajca się nie poprawi. Powiedział, że i tak miał szczęście w nieszczęściu, bo kula poszła

ukosem, w bebeczach nie utkwiała, i dzięki temu uszkodziła tylko jakiś mniej ważny flak. A jeszcze i to wyszło mu na dobre, że nie był najedzony i miał puste kiszki. No i kondycję Kitajec także miał niewąską, i dlatego nie wykorkował z upływu krwi, chociaż trwało półtorej godziny, zanim profesor dostał go w swoje ręce; prowizoryczny opatrunek, jaki mu założyłem, także w tym wszystkim był nie bez znaczenia.

— Zajrzę do niego — wycofała się Joanna, pofalował za nią Wiewiórka.

— Nie może pan nas tak długo trzymać.

— Mogę, przekona się pan, profesorze!

— Zrobiłem, co do mnie należało.

— Powiedziało się A, trzeba powiedzieć i B. Wypuszczę was wówczas, gdy przestanie mu grozić niebezpieczeństwo i gdy na tyle się przyuczę, aby go później samemu pielęgnować.

— Będą nas szukać.

— Pan profesor napisze coś do kliniki, jakąś zgrabną komętę, a ja to doręczę.

— Nie napiszę!

— To się obejdzie — nie nalegałem, bo wyczułem, że on do tego nie da się zmusić; nie rozumiałem jego śmiesznego uporu, który w zasadzie nic w sytuacji nie zmieniał, ale przecież za tę odmowę nie tknąłbym ani jej, ani jego, a straszyć ich też nie chciałem. Z zasady nigdy nie grozę, jeśli groźby nie zamierzam spełnić.

On także już mnie zmacał dokładnie i wiedział, że prawdziwe niebezpieczeństwo spotka ich tylko wówczas, gdyby zechcieli uciekać.

— Będę potrzebował lekarstwa... — temat wydostania się

od nas uznał za wyczerpany; wydarł z receptysu wypełniony już blankiet.

— Zrobi się — wziąłem nożyczki i nie śpiesząc się starannie obciąłem nadruk z jego nazwiskiem i tytułami, a także pieczętkę i podpis.

— Co pan robi? — obruszył się. — Takiej recepty nikt nie zrealizuje!

— Pana zmartwienie, profesorze? — Najpierw muszę się przekonać, co żeś tu naskrobał, konsyliarzu, pomyślałem, bo na łacinie ani w ząb się nie rozumiem.

— Potrzebuję leków!

— Dziecinny wybieg, panie profesorze... Recepta z pana podpisem to wizytówka. Jak tylko się pan nie pokaże o właściwym czasie, to ta pielęgniarka z kliniki doniesie, że pan o dziwnej porze córkę po narzędzia przysyłał, a ci od szukania, także nie palcem robieni, skojarzą, z czym to się może łączyć... Chciał mnie pan zażyć, profesorze, ładnie to tak?

Nic nie odrzekł, zignorował mnie zupełnie, ale przez skórę czułem, że to nie jest jego ostatni nabój, coś jeszcze profesor zakombinował, nic, tylko ten łaćński tekst jakieś paskudztwo kryje.

Ciężko jest człowiekowi bez wykształcenia, gdy się z uczonym zada. No bo proszę, skrobnie taki tylko kilka zawiąsów, a ja pojęcia nie mam, czy to na zdrowie Kitajca, czy na pohybel dla mnie. I jakbym bombę w rękach trzymał, nie wiedząc, zabezpieczona czy nie?

Z drugiej strony, jeśli to jakieś miszkulancje niezbędne Kitajcowi, to moim psim obowiązkiem jest je dostarczyć, nie mam prawa koncepcji profesorowi mieszać.

Takie mi myśli jak z taśmy lecą, a cały czas ślipiam w tę profesorską abrakadabrę, a ponieważ pamięć mam jak kliszę fotograficzną, to zamknąwszy oczy już mógłbym bez żadnego

błędu każdą literkę odrysować, chociaż kulfonami eskulap pisze.

I nagle jakby Duch Święty na mnie zstąpił; nie, nie nauczyłem się raptem łaciny i do końca nie dowiedziałem się szczegółowo, co on tam jeszcze napisał, zresztą kilka słów było, ale tu nie o słowa chodzi, lecz o cyfry!

Już nie wiem, z jakiej fałdki pamięci rzymskie cyfry mi się wydobyły, a tu stoi między innymi jak byk: MCM-CXLVIII — olśniło mnie!

O, skubany konsyliarz, przebiegle to sobie wykoncypował, ani słowa. Bo on tymi rzymskimi hieroglifami numer rejestracyjny mego wozu naskrobał! W połączeniu z nadrukiem jego nazwiska i pieczętką, które obciąłem, regularny sygnał SOS na świat chciał nadać, a mnie za gołębia pocztowego zamiarował użyć.

— Spryciel z pana, profesorze — powiadam; nie doniósł filizanki do ust, wpół drogi rękę zatrzymał, nic nie mówi, popatrują tylko na mnie oczki niewinne i nierozumiejące, jak u dziecka. Brak inteligencji odstawia.

— Bez pudła numer rejestracyjny wozu pan profesor zapamiętał — i drę tę receptę na drobne kawałeczki, powolutku i z satysfakcją w popielniczce podpałam.

Taki byłem rad z siebie, że nawet mnie ten jego podstęp nie wzburzył. Cóż! Nie składał mi przysięgi na wierność, o lojalności także nie zapewniał.

— I tak stryczek cię nie minie! — twarz mu się skurczyła, był wściekły. Za ciasno mu się zrobiło w tym futerale faceta z wyższej sfery. Szalał jak normalny śmiertelnik, taki jak ja czy nawet Wiewiórka.

— Nie profesor będziesz mi go zakładał — zauważyłem spokojnie; ale nie chcąc go do reszty rozgoryczać nie powiedziałem mu, że rejestracja, którą zauważył, nie ma



najmniejszego znaczenia i byłaby śladem donikąd. Ten numer został bowiem wymyślony przeze mnie i użyty raz jeden tylko na okazję balerinesa.

Profesor wysypywał swoją porażkę, a ja myślałem jeszcze, skąd w nich tyle zjadłości, skąd ta zaciętość na mnie i to obsesyjne pragnienie, aby mnie zagnać do klatki? Cóż o mnie wiedzieli poza tym, że z desperacką konsekwencją ratuję rannego kumpla?

Spanie im wszystkim uszykowałem w pokoju, gdzie leżał Kitajec; musiałem ich nadal solidnie pilnować, przeto usunąłem wszystko, co mogłoby naprowadzić na ślad, że znajdując się w Leśnej Podkowie. Zaś telefon po prostu zamknąłem w szafie. Aparat mam przenośny, jedno gniazdko jest na dole, drugie na mansardzie.

Najbardziej absorbowało nas oddzielne obstawianie profesora i jego kobiet, szczególnie teraz, gdy byliśmy cholernie zmęczeni.

Kazałem chłopakom iść spać, pierwszą wartę objąłem sam, bo byłem potężnie podrajcowany tą całą piekielną zabawą i zupełnie wybity ze snu. Zresztą, ile zostało godzin na ten sen? Właściwie był już wczesny ranek, tylko w tej listopadowej bryi — bo siąpił teraz śnieg z deszczem — nie było go jeszcze widać.

Część pościeli wzięłem od Kitajcowej, bo i tak wreszcie musiałem do niej iść. Trzeba było ją zawiadomić, co i jak, bo chociaż nic dokładnie nie wiedziała, to jednak domyślała się przecie, że jej mężczyzna poszedł na skok.

— Stało się coś? — zapytała, gdy tylko wszedłem.

— Stało... — oględnie powiedziałem jej całą prawdę.

— Co mam robić? — to była stara, mądra ksiuta, prawdziwa towarzyszka naszego człowieka; nie dostała spazmów ani hysterii, nie złorzeczyła ani nie płakała. Na co dzień

potrafiła się wydrzeć przy łađa jakiej okazji, natomiast w dużej biedzie umiała zachować zimną krew.

Dzięki pościelowym posiłkom Kitajcowej profesorska rodzina spała na piernatach i pod puchami, a ja dałem im swoje najlepsze i jeszcze nie używane piżamy.

— Proszę podać kolor i rozmiar, to kupię pani coś odpowiedniego — zaproponowałem Joannie; przyrzekłem sobie być elegancki bez względu na to, jak oni będą się do mnie odnosić, miałem już swoje zwycięstwo i to nakarmiło moją ambicję.

— Dziękuję — mruknęła i odwróciła się do mnie plecami; czekaj, gówniarno, przytargam ci takie nocno-poranne szmatki, że oko zbieleje. Wyślę Arpadową, a ona już wybierze coś ekstra w komisie lub w Modzie Polskiej.

Profesor zażyczył sobie na rano przybory do golenia, gazety i papierosy. Papierosy otrzymał natychmiast, bo zawsze mam ich solidny zapas. Z dużą przyjemnością otworzyłem przed nim drugą część barku, gdzie leżały Caporale, Gauloisy, Pall-Male, Astory i w ogóle produkty tytoniowe z całego świata.

O siódmej obudziła się gospoia, więc podniosłem na nogi Wiewiórkę, aby przejął wartę w salonie, a sam wyszedłem za nią do kuchni.

— Czego pani potrzeba, aby nas wyżywić?

— W a s ? — i zaraz mnie pouczyła, że nas to ona żywić nie będzie.

— Będziesz, siostró krokodyła, będziesz! — powiedziałem bez złości, bo już mnie trochę śmieszyła.

— A... — zabułgotała jak czajnik na płycie. — A... t a - k i e g o ! — wrzasnęła odzyskawszy wreszcie głos, rozwścieczona tym powinowactwem z krokodyłem, robiąc znany a nieprzyzwoity gest.

Zastrzeliła mnie, no bo skąd to do renomowanej gospozi z takiego wytwornego domu.

— Jak pani nie wstyd tak się zachowywać — podpuściłem ją.

— Tfu!... pośród takich obwiesiów to człowiek do cna zepsieje! — zamamrotała zmieszana i dowiedziałem się, że to paskudny wpływ Spokojnego, którym pomiatała, gdy profesor zajęty był operacją, on natomiast jak umiał, tak się odgryzał.

Nie spierałem się z nią o gotowanie dla nas, bo i tak musiałem wziąć do pomocy Kitajców, jeśli nie mieliśmy pozdychać z niewyspania. Jeszcze jedna twarz! Ale brzana Kitajca, szpakami karmiona, aż pożałowałem, że mnie to nie przyszło na myśl. Ona nadziała na głowę grzywiastą perukę, a głębę obwiązała, jakby miała fluksję, figurę także sobie odmieniła, była teraz gruba i brzuchata — istne czupiradło — chociaż w rzeczywistości miała sylwetkę szczupłą i nawet zgrabną.

Musiałem iść sam po pisma, bo ani Wiewiórka, ani Spokojny nie mieszkali w Podkowie i nader rzadko u mnie bywali, więc nie chciałem, aby kręcili się po osadzie, w której niemal wszyscy z widzenia się znają. Ja byłem tutejszy, nie rzucałem się w oczy.

Kupiłem jak zwykle „Życie” i „Trybunę” oraz zamówione przez profesora tygodniki, bo akurat była sobota.

— Straszna katastrofa kolejowa, panie Walasiak! — kioskarz-emeryt znał mnie z nazwiska; stuknął paznokciem w wielkie litery tytułu na pierwszej stronie.

— Szyny pękły? — wypadało podtrzymać rozmowę.

— Wszystko przez samochód, panie Walasiak! — wiedział, że mam wózek, więc powiedział to tonem przestrogi: uważaj, bracie!

— Co pan powiesz? — zdziwiłem się, jakbym dopiero od niego usłyszał o tym karambolu, i przystanąłem, aby przeczytać komunikat.

WARSZAWA PAP — W CZORAJ W GODZINACH WIECZORNICH DOSZŁO DO TRAGICZNEJ KATASTROFY KOLEJOWEJ NA NIE STRZEŻONYM PRZEJEŹDZIE W POBLIŻU... OSTATNI WAGON EKSPRESU PARYŻ-WARSZAWA-MOSKWA WYPADŁ Z SZYN TARASUJĄC SĄSIEDNI TOR, NA KTÓRY WJECHAŁ ZDAŻAJĄCY Z PRZECIWNEGO KIERUNKU OPÓŹNIONY POCIĄG POŚPIESZNY RELACJI WARSZAWA-KATOWICE. W NASTĘPSTWIE SPIĘTRZENIA SIĘ WAGONÓW KILKA Z NICH ZOSTAŁO ROZBITYCH. SĄ LICZNE OFIARY W LUDZIACH.

JAK INFORMUJE NAS PRZEDSTAWICIEL KOLEI WĘZŁA WARSZAWSKIEGO, NA MIEJSCE TRAGICZNEGO WYPADKU PRZYBYŁA SPECJALNA KOMISJA. PRZYPUSZCZA SIĘ, ŻE BEZPOŚREDNIĄ PRZYCYNĄ KATASTROFY BYŁO ZDERZENIE PARYSKIEGO EKSPRESU Z SAMOCHODEM OSOBOWYM, KTÓRY Z POWODU SILNEJ MGŁY MASZYNISTA ZA PÓŹNO DOSTRZEĞŁ NA PRZEJEŹDZIE... KIEROWCA SAMOCHODU FRANCISZEK ARPAD PONIÓŚŁ ŚMIERĆ NA MIEJSCU...

— Panie prokuratorze, czy dopuszcza się możliwość odkształcenia szyn?

— Jeszcze nie wypowiedzieli się biegli.

— To dodajcie im gazu!

— Kolego Bielski, czy są już wyniki badań maszynisty?... — właśnie go badają — to ich przyśpieszcie!... Towarzyszu Bielski, kierownictwo interesuje się... — Doktorze Bielski, Prokuratura Generalna chce wiedzieć... — Karol, masz już jakieś konkrety?

Z miejsca katastrofy wróciłem nad ranem, wpadłem do domu, aby się umyć i ogolić; telefony dosięęły mnie już w

mieszkań, a teraz, gdy dotarłem do prokuratury, trwa nieustające rondo wygrywane przez trzy aparaty.

Zwierzchnicy chcą wiedzieć, wysokie czynniki zapytują, koledzy podsuwają koncepcje, prasa czeka na informacje, wszyscy pragną konkretów, a ja dodaję gazu, przyśpieszam, podkręcam, uspokajam, odpowiadam na pytania i sam je zadaję.

Wertuję kolejowe przepisy, przy ich pomocy tropię przyczyny, ale wszyscy chcą wiedzieć przede wszystkim, kto jest odpowiedzialny, bo ktoś musi za tę katastrofę ponieść konsekwencje; jak gdyby jedyną rzeczą, mogącą uspokoić opinię społeczną, był komunikat o aresztowaniu, pociągnięciu do odpowiedzialności, usunięciu ze stanowiska.

Więc z pomocą przepisów poszukuję także odpowiedzialnych; za stan szyn odpowiada służba drogowa, zaś za techniczny stan taboru służba wagonowa, natomiast elektrowóz i maszyniści to już dział trakcji, poza tym istnieje jeszcze służba ruchu, ich sprawą jest, aby każdy pociąg jechał po właściwym torze i we właściwym kierunku, w ściśle określonym czasie.

Po dwóch dniach wiem o kolei bardzo dużo; mamy supernowoczesne elektrowozy i wysoko zautomatyzowaną służbę ruchu, lecz wystarczy, aby ukręcił się c z o p osi, a wagon się wykoleja.

Ostatnie słowo techniki — komputery zawiadują przeładniami, zwrotnicami, nastawiają ramiona semaforów — sąsiaduje z epoką dylizansów. Pociągom, mknącym ze średnią dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, brakuje jakiegokolwiek łączności z mijanym w tym tempie światem; aby zawiadomić o katastrofie, konduktor musiał biec dwa kilometry do dróżnika, bo dopiero tam mógł osiągnąć najbliższy aparat telefoniczny.

Mój pokój przypomina poczekalnię na ruchliwym dworcu,

a ja sam płytę z nagraniem pytań i odpowiedzi. Brakuje mi czasu, także już i miejsca na to, aby uporządkować spostrzeżenia i zastanowić się nad materiałem, jaki dotychczas zdążyłem zgromadzić.

Do diabła! Muszę mieć wreszcie trochę spokoju; nie bawiąc się w zbytnie uprzejmości po prostu wyrzuciłem wszystkich bez wyjątku z mego gabinetu, wyłączyłem telefony poza wewnętrznym, a na miejsce sekretarki, zupełnie zagubionej wśród tego rozgardiaszu, posadziłem energicznego aplikanta.

— Jestem tylko dla naszego szefa! — i nareszcie zapanowała cisza.

Opracowałem pytania dla ekspertów — to najpilniejsze: uzyskać jednoznaczne odpowiedzi co do przyczyn katastrofy, a potem szukać winnych.

Ale właśnie taka kolejność wydawała się niektórym kunktatorstwem. Domagano się — już, natychmiast — odpowiedzi, kto zawinił, i podsuwano mi gotową, pierwszą z brzegu ofiarę: maszynistę ekspresu.

— Przymknijemy maszynistę, poda się w prasie, opinia się uspokoi. A potem, po zamknięciu śledztwa, wypuścimy go, jeśli rzeczywiście nic się nie da przypasować — radził pułkownik, kierujący grupą dochodzeniową milicji, skądinąd zupełnie sympatyczny i niegłupi facet.

— To ma być ten kozioł...

— Zaraz kozioł, on z pewnością nie jest bez winy.

— Nie podpiszę tego aresztu — oczywiście mogłem wydać sankcję i miałbym tak zwany święty spokój. I nikt by mi marnego słowa nie powiedział, jeśli by nawet trzeba go było potem zwolnić. Przeciwnie, to świadczyłoby, że prokurator działa energicznie; nie będę energiczny za taką cenę.

— Rozumiem pańskie racje, panie prokuratorze — przyznał pułkownik — ale mnie także cisną, i ja także potrzebuję

trochę oddechu, aby spokojnie popracować nad tą sprawą... Przykładowo ukarać, pokazowy proces! — przedrzeźniał kogoś, kto go dręczył tymi żądaniem.

Nie pozwoliłem tknąć maszynisty, niech najpierw wypowiedzą się o nim specjaliści. O jego sprawności psychofizycznej, jaki wpływ miały warunki atmosferyczne, które obiektywnie biorąc były ciężkie, czy ktoś inny na jego miejscu, sprawniejszy, z lepszym refleksem, w tych konkretnych okolicznościach wcześniej dojrzałby samochód na przejeździe? Czy nie zachował szybkości bezpiecznej przy panującej mgłę i ograniczonej widoczności?

Ale cóż to jest szybkość bezpieczna? — pojęcie nieprecyzyjne i dwuznaczne.

Z jakich przyczyn wypadł z szyn ostatni wagon? Odkształcenie metalu, a może wada klocków hamulcowych blokujących koła?

Kiedy oglądałem tę kupę poskręcane go złomu, wydawało mi się rzeczą zupełnie niemożliwą odróżnienie defektów, istniejących przed katastrofą, od tych, jakie powstały w wyniku zderzenia. Okazało się jednak, że żadne z tych pytań nie pozostanie bez odpowiedzi; udzieli ją laboratoria hutnicze i instytuty naukowe, do których został przesłany materiał badawczy.

Specjaliści podejrzewali ukręcenie czopa osi. Ktoś nie dostrzegł i nie wymienił na czas, zawiodła kontrola techniczna i niesprawny wagon dopuszczono do ruchu; a do tego tragiczny zbieg okoliczności.

Gdyby nie samochód na torze i gdyby nie spóźnienie pociągu do Katowic, oba pociągi nie spotkałyby się w tym właśnie fatalnym punkcie, na nie strzeżonym przejeździe.

Więc kto jest odpowiedzialny za to, że pociąg pośpieszny wyruszył ze stacji macierzystej już z trzydziestominutowym opóźnieniem? Jeden człowiek, dziesięciu?

A samochód? Przecież kierowca musiał widzieć znaki na drodze, powinien zatem zachować szczególną ostrożność, stwierdzono również, że maszynista zbliżając się do przejazdu, jeszcze zanim mógł dostrzec wóz, dawał sygnały.

Awaria motoru, nieudolność kierowcy, może nadużycie alkoholu; zasnął, za późno dojrzał we mgle światła lokomotywy, nie usłyszał odgłosu zbliżającego się pociągu?

Wobec rozmiarów i tragicznych skutków katastrofy zbladł dramat zabitego człowieka; zajrzałem do samochodu tuż przed odjazdem stamtąd, traktowałem jego wypadek jako marginalny fragment wielkiego śledztwa.

— Zwłok jeszcze nie zabrano, panie prokuratorze — zameldował skwapliwie milicjant pełniący wartę przy rozbitym wozie. Nie było w tym nic dziwnego, pierwszeństwo mieli ci, którym można było jeszcze pomóc.

— Służba kryminalistyczna zajmie się nim po zakończeniu czynności przy katastrofie — miał wielką chęć na rozmowę. Stał tu samotny, w listopadowej siąpi, bo zaczęło padać, z perspektywą, że zmieni go ktoś nad ranem albo uwolni brygada dochodzeniowa, gdy upora się z pracą przy wagonach; marzył i zapewne mu się nudziło, wolałby niewątpliwie najcięższą robotę tam na torach niż pilnowanie tego wraku ze zmasakrowanymi zwłokami.

— To wasz rejon? — przystanąłem i wypaliliśmy po papierosie.

— Nasz. Terytorialnie należy do posterunku w Leśniowicach,



i osobiście mój... — właśnie skończył obchód swego rejonu; jeszcze na godzinę przed katastrofą brnął tu pośród pustkowi a i ciemności, skrajem tego lasu i wzdłuż bocznych dróg, na jednej z nich mieścił się i ten przejazd.

— Często zdarzają się tu wypadki?

— W ubiegłym roku pośpieszny pijanego zabił, co na torach zleął. Także mgła była jak mleko, a tak to co i raz krowa wpadnie, jak z wypasu pędzą, zwierzę pobiegnie, pastuch nie zatrzyma... Ostatnio w przyczepę, co się na przejeździe zaklinowała, trzasnął, tyle że w róg skrzyni, bo szczęściem kęs już od torów było. Zacołanie, panie prokuratorze, ot co! Żeby nie zdobyli się dotąd szlaban postawić, dziadostwo i zaniedbanie, przecież to nie największy koszt.

— W pobliżu nie ma żadnego osiedla ani szczególnie ruchliwej szosy, przecież to boczny trakt — łągodziłem.

— No to co? — obruszył się milicjant, widać dopiekił mu ten przejazd nie od dziś. — Ale transport leśny tu jest, ruch czasami jak w mieście. Przyczepy, transportery ciągniki w tę i nazad, właśnie przez ten przejazd kursują... Tu wokół to jeszcze został kawał puszczy, też powinni przestać ją pustoszyć, tylko bębnią o ochronie środowiska, ech! — machnął ręką ze zniechęceniem — a jak cięli, tak tną.. Papier cierpliwy, ileż to się nasz posterunek o ten przejazd naużerał, nic! Rozmowa jak z głuchoniemym, czyli mów do mnie jeszcze... Zobacz pan, teraz to i na pensję dla dróżnika się znajdzie, a może nawet jakiś automatyczny, ostatni krzyk techniki z fotokomórką wyszykują.

Pobrnąłem w górę po nasypie; właśnie usuwano z toru zgnieciony w harmonię kadłub lokomotywy; nad nią wahałowo poruszał się uchwyt potężnego kolejowego dźwigu, który przysłano z pobliskiej stacji.

— Podnosi sto pięćdziesiąt ton jak zabawkę — powiedział przechodzący kolejarz, gdy łapy dźwigu uniosły nad torami zdruzgotany elektrowóz.

Brigady kryminalistyczne milicji Komendy Głównej, Stołecznej i województwa warszawskiego przystępowały do zabezpieczania śladów, zaraz tam, gdzie służba sanitarna zrobiła swoje.

Obok torowiska dwóch ludzi z kolejowej drużyny ratowniczej niosło okryte plandeką nosze.

— Maszyniści z katowickiego — poinformował jeden z nich.

— To znaczy to, co się dało z nich zebrać po rozpruciu kabiny — uściślił drugi.

Jak przełożyć to wszystko na beznamiętny prawniczy język, związły i suchy; uwolnić się od obrazu zmasakrowanych ciał i straszliwie okaleczonych ludzi, których udało się wydobyć z pogruchotanych wagonów?

Tak naprawdę to jeszcze nie wiedziałem, jak się do tego wszystkiego zabrać, od czego zacząć; bardzo mi przeszkadzały nieustanne ingerencje zwierzchników, polecenia, czasami ze sobą sprzeczne, doraźne żądania, emocjonalna presja i pośpiech w szukaniu winnych, formułowanie zarzutów nie liczących się z faktami, na co w żadnym razie przystać nie mogłem.

— Karol, wyłączyłeś telefon — wtargnął mój szef; nie długo cieszyłem się względny spokojem. — Wyrzucasz ludzi... Teraz oni kłębią się u mnie, ja nie mogę pracować!

— Ja także nie mogłem, dlatego wyrzuciłem.

— Karol, trzeba dać coś dla prasy! Opinia publiczna...

Cholera, dzisiaj wszyscy byli rzecznikami opinii publicznej i ogromnie pragnęli jej dogodzić; abstrakcyjne pojęcie

zaczęło mi się identyfikować z mściwym, żądnym krwi Mo-  
lochem.

— Na razie nikogo nie mam na pożarcie.

Szef tkwił w tym tyglu i świetnie wiedział, że nie mogę precyzować zarzutów, dopóki nie znam wyników ekspertyz i nie zakończyłem podstawowych czynności śledczych, a do tego potrzebny jest czas.

— Powiedz, że prokuratura bada wnikliwie... — od dalszego pustostwovia wybawił mnie telefon z Kolejowego Ośrodka Badań i Ekspertyz; zawiadamiali, że są gotowi do eksperymentu.

W wielkiej, przeszklonej hali Ośrodka ujrzałem raj dla dzieci; na rozległych stelażach płatanina szyn, rozjazdów, przekładni, automatycznych i ręcznych, stacje rozjazdowe, semafony i wszystkie możliwe typy taboru komunikacyjnego: parowozy, elektrowozy, diesle, wagony osobowe i towarowe lory, cysterny i brankarty — całe imperium polskich kolei państwowych sprowadzone do rozmiarów zabawek.

Powitał mnie pan w mundurze kolejarza z emblematami złotych, uskrzydłonych kół w klapach. Okazał się inżynierem kolejnictwa, specjalistą od wiwiseksi katastrof na tych doświadczalnych urządzeniach.

Jadąc tu nie spodziewałem się oczywiście, że dla eksperymentu zaaranżują mi prawdziwą katastrofę kolejową, ale widząc te modele, nie mogłem oprzeć się Wrażeniu jakiejś mistyfikacji i wielkiej zabawy dla dużych chłopców; jednak głośno nie wyraziłem żadnych wątpliwości.

— Oto nasz poligon — pokazał mój kolejarz; na zminiaturowanym nasypie nie strzeżony przejazd, samochodzik i dwa pociągi; elektrowozy, rodzaj i ilość wagonów, sytuacja

dokładnie odtworzona jak tam na miejscu katastrofy.

— Wszystko wykonane jest w skali... — bardzo przystępnie zaczął wyjaśniać inżynier. Nie, to jednak nie były takie sobie dowolnie dobrane miniaturki. Ciężar, nośność, siła hamulców, wytrzymałość szyn i materiałów, z których zostały zbudowane, oraz wszelkie inne parametry modeli utrzymane były w odpowiedniej proporcji. Podłączone do stelażu urządzenie dawało bezbłędną odpowiedź, jak zachowają się w identycznej sytuacji prawdziwe składy pociągów; modele wykonane były z takich samych materiałów jak ich pierwowzory; ten sam metal, drewno, wnętrza w postaci ławek i półek.

— A pan z pewnością myślał, że to wprawdzie starannie wykonane, ale jednak zabawki — uśmiechnął się inżynier.

— Zgadł pan — przyznałem się; zupełnie inaczej zaczynałem patrzeć teraz na mego fachowca od karzełkowych katastrof.

— Produkcja tego zminiaturyzowanego sprzętu kolejowego wymaga olbrzymiej precyzji, no i kosztuje.

— A samochody? — wciągnęło mnie gospodarstwo inżyniera.

— Staramy się mieć wszystkie typy... To był chevrolet model 1946, wykonany zgodnie z parametrami wytwórni Forda — ten facet miał gotową odpowiedź na każde moje pytanie. — Czy coś jeszcze, panie prokuratorze?

— A mgła? — czepiałem się uparcie.

— Żadne urządzenie nie powie nam niczego o psychofizycznej dyspozycji maszynisty i jego reakcji w warunkach określonej widoczności. Wysondowanie jego stanu należy do pana, panie prokuratorze.

— Ludzie? Ja w tych modelach nie widzę ludzi, przecież nie mogliście zważyć pasażerów ani ich bagaży — zażartowałem.

— Oczywiście nie. Operujemy średnią statystyczną. Dlatego nasza ekspertyza ma wartość maksymalnie przybliżoną, ale to nie zmienia zasadniczej konkluzji.

— Poddaję się — ten facet mnie przekonał; uwierzyłem w wartość eksperymentu. Inżynier podszedł do pulpitu sterowniczego.

— Sytuacja pierwsza, uwaga! — oba pociągi wyruszają z określonej, wyznaczonej skalą odległości. Paryski ekspres hamując taranuje samochodzik, który zamieniony w kupkę blachy przewraca się, balansuje na krawędzi nasypu, a potem koziołkuje w dół. Pociąg staje, ostatni wagon nie wykoleja się, pośpieszny mija go bezkolizyjnie.

— Sytuacja druga: odkształcenie szyn! — inżynier stawia nowy samochodzik; wszystko powtarza się, ostatni wagon miota się febrycznie, ale nie wypada z szyn.

— Sytuacja trzecia: luz nitów w spojeniach szyn, rozstęp szyn ponad dopuszczalny! — ostatni wagonik unosi się nieznacznie, a potem przewala na bok, na sąsiedni tor; w tym samym momencie ekspres toczy się jeszcze przy włączonych urządzeniach hamulcowych. Poważony wagon automatycznie odłącza się od reszty składu: lokomotywa pośpiesznego uderza w przeszkodę, nad nią piętrzą się wagoniki.

Miniaturki wyglądają teraz tak, jak tamte prawdziwe wagony na miejscu katastrofy; porozbijane, sprasowane, odpadły małe koła — pognieciona, porozrywana kupka metalu.

— Sytuacja czwarta... — ta dotyczyła niesprawności

technicznej ostatniego wagonu ekspresu. Stworzono warunki, w których musiało nastąpić ukłucie czopa osi. Inżynier uruchamia dźwignię. Znow w sposób identyczny powtarza się katastrofa.

A więc mogły być dwie przyczyny wykolejenia ostatniego wagonu: luz w spojeniach, za duży rozstęp szyn, względnie pęknięcie czopa osi. Definitywne wnioski można będzie wyciągnąć po uzyskaniu orzeczeń z laboratorium huty.

— Jeśli jest tak dobrze — gestem ogarnąłem królestwo inżyniera — to dlaczego jest tak źle? — miałem na myśli przyczyny katastrofy, stan i funkcjonowanie sprzętu PKP.

— Nagle teraz wszyscy chcą to wiedzieć — skrzywił się inżynier. — Kontrole, analizy i żądania natychmiastowych wniosków, kto winien?! Przedtem nikt się zbytnio nie przejmował, teraz dają pieniądze, środki, pomoc kadrową... W ramach resortu pilnie poszukiwany chłopiec do bicia...

Mój szef uporał się tymczasem jako tako z opinią publiczną i w prokuraturze zapanował względny spokój; na przesłuchanie czekał przebadany już przez specjalną komisję maszynista. Otrzymałem jego akta personalne, teczkę okresowych kontroli lekarskich, a także wyniki badań przeprowadzonych dzisiaj.

Skrupulatnie przejrzałem te dokumenty; miał trzydzieści pięć lat, piętnaście lat służby na kolei, w tym dziesięć lat pracy na elektrowozach, od lat pięciu na międzynarodowych ekspresach. Znakomite opinie, dotychczas żadnego wypadku, ba! żadnego uchybienia.

Medycyna również nie miała żadnych zastrzeżeń: ogólna sprawność fizyczna — bardzo dobra, refleks — bardzo dobry,

zdolność koncentracji — dobra, podzielność uwagi — dobra, zdolność postrzegania — bardzo dobra.

— ...nie miałem wyboru... — siedział przede mną bardzo przybity. Zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać, zaczął powtarzać to swoje: nie miałem wyboru, jak gdyby uprzedzał wymyślane zarzuty.

— Pan mnie aresztuje, panie prokuratorze? — był zupełnie zrezygnowany; przeżył już swoją największą klęskę i każda dalsza, także utracenie wolności osobistej, nie była w stanie go poruszyć. Jego miara była już pełna.

— Nie — przyjął to zapewnienie obojętnie, jak gdyby dotyczyło innego człowieka.

Aby go pocieszyć, powiedziałem mu ogólnie o orzeczeniu ekspertów. Nic, pozostał apatyczny, przygnębiony.

— To zwalnia pana od winy — sądziłem, że nie zrozumiał sensu mojej informacji.

— Tak, rozumiem... dziękuję panu — ten sam ton, ten sam pozbawiony barwy głos — ale nie podniosę osiemnastu zabitych! Lecz ja nie miałem wyboru, prawda? — na wspomnienie katastrofy wychodzi z otępienia, wpada w jakieś nerwowe ożywienie.

To była jeszcze jedna ofiara wypadku — psychicznie ranny człowiek. Z czasem otrząśnie się z tego, wróci do równowagi. A ilu jeszcze z tej katastrofy wyszło okaleczonych psychicznie?

— Są nowe szczegóły... — pułkownik, szef grupy dochodzeniowej milicji, podał mi teczkę; dochodzenie numer... dotyczy śmierci Franciszka Arpada, kierowcy chevroleta.

— Franciszek Arpad? — poraziło mnie to nazwisko; zbieg okoliczności? — pomyślałem w pierwszej chwili.

— Tak się nazywa zabity — pułkownika zdziwiło moje poruszenie. — Daliśmy nawet do PAP-owskiej notki.

— Cholera, nie miałem czasu zajrzeć do gazety — zrobiło mi się nieprzyjemnie i głupio.

W cieniu zbiorowej tragedii zmaląła, zeszała na daleki plan jednostkowa śmierć człowieka, który wywołał reakcję łańcuchową katastrofalnych skutków. Nie zapomniałem o wraku samochodu u stóp kolejowej skarpy, oczekującym w kolejności na oględziny ekspertów, zajętych ogromem innych czynności przy zabezpieczaniu materiału do badań. Pamiętałem o nim przez cały czas, tylko inne elementy sprawy uważałem za ważniejsze, za bardziej pilne. Nie zainteresowałem się osobą kierowcy, nie zapytałem o jego nazwisko, a nie miałem wolnej chwili na przejrzenie porannej prasy.

Brudnym świtem, gdy skostniały i przesiąknięty listopadową mżawką odjeżdżałem z miejsca katastrofy, widziałem biegnących z milicyjnej służby ruchu, zabierających się do oględzin wraku chevroleta; teraz czułem się nie w porządku, jakbym zaniedbał czegoś bardzo ważnego.

Chłopiec!

Pewno już wie, niewątpliwie przeczytał gazetę. Orientuje się, kto prowadzi śledztwo w sprawie katastrofy. Gdy wpadłem nad ranem do domu wziąć kąpiel, on obudził się, a ja powiedziałem, co się stało,

— Idź się moczyć, ja będę przyjmował... — zajął się wyjącem telefonem. Słyszałem przez szmer wody w łazience natarczywe, nieustanne dzwonki, co zdenerwowało nawet Tygrysa. Rozszczękał się mądry, stary pies, który z wiekiem stał się despotyczny, wygodny i niecierpliwy; teraz protestował przeciw bezceremonialnemu przerywaniu mu snu, bo już bardzo nie lubił wstawać zbyt rano.



O Piotrze często myślałem — chłopiec; teraz było mi przykro i czułem się winny, dowiedział się o tej śmierci z gazety, a ja nie odezwałem się do niego. Pozostał sam w tej ciężkiej chwili, lecz nie zadzwonił do mnie; może myślał, że nie chcę z nim rozmawiać o śmierci Arpada.

— Franciszek Arpad, lat pięćdziesiąt trzy... — podjął pułkownik Zarębowicz. — Silnik w tej wiekowej karoserii pochodził z chevroleta model 1973, ledwo dotarty... Dziwne, nie? Ale to jeszcze nie wszystko, samochód stał na torze na jałowym biegu z zaciągniętym ręcznym hamulcem! Ciekawy facet, dopiero sześć miesięcy temu zwolniony został warunkowo z więzienia i...

— Wiem — przerwałem mu. — Rozmawiano z żoną?

— Tak — pułkownik nie zapytał, skąd znany mi jest szczegół z życiorysu człowieka, którego nazwisko dopiero przed chwilą usłyszałem. — Zdążyła przeczytać o wypadku w gazecie. Nic nam nie umiała powiedzieć, w więzieniu przesiedział dziesięć lat, małżeństwo faktycznie już nie istniało. Nie mówił jej o swych planach, nie informował, co robi, gdzie jeździ, z kim się spotyka. Tyle!

— Nic więcej nie powiedziała?

Ciekawe, ani jednym słowem nie wspomniała o chłopcu — pomyślałem. Być może dla niej to stara i przebrzmiała historia.

— Samobójstwo? Tylko dziwną śmierć sobie wymyślił... Dziesięć lat odosobnienia czasami może pomieszać klepki — znając tylko te skąpe fakty Zarębowicz mógł tak przypuszczać. Ale przypadek chciał, że ja wiedziałem znacznie więcej.

Franciszek Arpad wyszedł z więzienia w doskonałej formie psychicznej; widziałem tego człowieka po odzyskaniu wolności, roznosiła go żywotność, wrywał się do życia,

najszybciej chciał odrobić tamte utracone dziesięć lat. Nie, nie pasowało do niego samobójstwo.

— Hamulec... wyłączony silnik., a co z kluczykiem? — zupełnie odruchowo i na razie bez skryzalizowanego podejrzenia zapytałem o ten kluczyk, ot tak, dla porządku.

— Kluczyk? — zastanowił się Zarębowicz; pogmerał w teczce Arpada. — Zaraz! — chwycił za telefon, wezwał podporucznika ze swej grupy.

— Jeszcze niewielkie doświadczenie, ale z pazurem — powiedział o nim; tłumaczył go na zapas, w związku z tym brakiem wzmianki o kluczyku. Także milicja przede wszystkim zajęła się wielką katastrofą, więc oględziny wraka chevroleta potraktowano jako czynność drugorzędną i powierzono ją młodemu technikowi ze służby ruchu drogowego — niech się dociera po szkole oficerskiej. I dopiero gdy chłopak wykrył, że w starym gracie tkwi nowiutki silnik, kiedy zwrócił uwagę na położenie biegów i ręcznego hamulca, docenili wagę jego spostrzeżeń, ale było już po oględzinach i wrak samochodu został zabrany z miejsca katastrofy.

— Kluczyk? — stropił się adept sztuki kryminalistycznej; bystry, ruchliwy jak żywe srebro młody człowiek. Sam zorientował się natychmiast, że coś istotnego umknęło jego uwadze. Zamilkł.

— No, odkorkuj się, kolego — zamruczał przyjaźnie pułkownik. — Kluczyk od rozrusznika, takie coś, co bywa w każdym wozie, najczęściej z brelokiem.

— W stacyjce nie było kluczyka — podporucznik dostał wypieków na twarzy.

— To musiał wypaść, nie szukałeś? — Zarębowicz przyglądał mu się dobrotliwie, a chłopak zeszytniał.

— Nie szukałem — przyznał się mężnie.

— To poszukasz teraz! — ton pułkownika był coraz mniej serdeczny.

— Wątpię, czy uda się go odnaleźć — podporucznik potrząsała głową; wrak wozu stał już na dziedzińcu komendy stołecznej, kluczyk mógł wypaść podczas transportu, jeśli nie zgubił się gdzieś przedtem, gdy wóz gruchotały bufory lokomotywy lub gdy samochód koziołkował ze stoku.

— Wyjebi, a najdi! — ryknął nieoczekiwanie Zarębowicz; pułkownik, weteran drugiej światowej, zanim przeszedł szlak bojowy od Sielc po Berlin, spławił drzewo nad Kamą i na Syberii. Kiedy wpadał we wściekłość, kłął w języku syberyjskich drwali.

— Tak jest!

— Chodź, obejrzymy wrak — pułkownik zagarnął swego adepta z pazurem; pojechałem z nimi, bo ten kluczyk wydał mi się w tej chwili kluczem do dalszego śledztwa.

Jednak we wraku nie znaleźliśmy już nic. Pułkownik nie dał za wygraną.

— Przeszukamy stok — zdecydował. Zanosiło się na obłądną robotę, bo teren, na którym mógł wypaść ten kluczyk, obejmował przejazd, kilkadziesiąt metrów drogi hamowania pociągu, a także rozległą płaszczyznę stromego nasypu porośniętego zeszlą trawą, burzanami i wszelakiego rodzaju zielskiem; szmat ziemi zdeптany tej nocy wzdłuż i wszcz przez dziesiątki stóp.

Weszliśmy do gabinetu Zarębowicza; tu podobnie jak i w prokuraturze szalały dzwonki telefoniczne, kłębili się ludzie. Ale sekretarka pułkownika potrafiła to wszystko utrzymać w ryzach; dzielnie zmagając się z telefonami, waliła w klawisze portabla, a do tego jeszcze wiedziała bez pudła, co aktualnie

robią i gdzie się podziewają pracownicy ich grupy — skarb!

Zarębowicz rozłożył szkic miejsca katastrofy.

— Przeszło sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych — ocenił, zakreśliwszy flamastrem obszar, który należało przeszukać. Pomedytował chwilę, chwycił słuchawkę selektora, wywołał komendanta szkoły służby ruchu drogowego w Iwicznej.

— Paweł, podeślij mi zaraz z dziesięciu chłopaków na miejsce katastrofy... Na zajęciach, powiadasz? To ściągaj z zajęć, przy okazji tam też się czegoś nauczą... Niech włożą kombinezony, robota brudna... Wysyła] już, alarm!

W kwadrans po naszym przybyciu na miejsce nadjechały szybkie motocykle służby drogowej, sierżant, który nimi dowodził, zameldował się Zarębowiczowi.

Teren podzielono na kwadraty i za chwilę milicjanci rozpoczęli poszukiwania; centymetr po centymetrze, czesząc trawę i rozgrzebując szuter nasypu.

— Jeśli tego klucza w ogóle tu nie ma? — prowokowałem pułkownika; zły byłem na siebie i na niego. To gadanie mógł z powodzeniem załatwić podporucznik z sierżantem, po diabła sterczeliśmy tu jak karbowi.

— Nóg to on nie ma, nie poszedł z wozu s a m ! — mruknął Zarębowicz. Właśnie! To znaczy, że go k t o ś zabrał. Kto i w jakich okolicznościach mógł zabrać ów kluczyk? I dlaczego Arpad pozostał wewnątrz stojącego na przejeździe wozu? Pijany, chory, zemdłał? A może już wówczas n i e ż y ł!

— Samochód mógł przyprowadzić ktoś inny, nie Arpad, nie sądzi pan, pułkowniku?

— Niczego takiego nie wziąłem pod uwagę.

— Spieprzone nabożeństwo — zżymnąłem się. — Nie

zrobiono elementarnych rzeczy, ludziom, którzy zajmowali się wrakiem, nie powiedziano, czego mają szukać!

— A czego mieli szukać?! — obruszył się pułkownik. — Śladów stóp w tym zmaglowanym pudle po sardynkach? Eech! Prokuratorze, teraz to łatwo mieć pretensje. Fakt, nikt nie interesował się niedopałkami, nie obwąchiwano popiołu, jeśli coś takiego w ogóle tam było... I nikt nie szukał linii papilarnych w tym szmelcu! Widział pan, jak wygląda wrak: sprasowana puszka, a reszta prosek... I nikt nie wydał sensownych poleceń temu młodemu oficerowi. Dlaczego? Bo nikt wówczas, łącznie z panem, o takiej ewentualności nawet nie pomyślał. Ja, stary remiecha, potraktowałem te oględziny formalnie i pchnąłem do nich pierwszych lepszych z brzegu, jacy mi się nawinęli pod rękę... A ten chłopiec okazał wiele inwencji, dodłubał się tych interesujących szczegółów... Bo to przede wszystkim specjalista od samochodów i tylko dzięki niemu wiemy, że w ogóle strzelono byka...

— Jeśli Arpada ktoś porzucił na tym przejeździe...

— ...i odszedł stąd piechotą — wpadł mi w słowo Zarębowicz — pewnie do najbliższego przystanku pekaesu, brnął po błocie, może skrajem drogi, może leśnym duktem, we mgle, a zaraz potem spadła mżawka... Zdaje się, że i pies nic by nie pomógł, nawet gdyby go puszczono na trop zaraz po wypadku... Tylko dlaczego zabrano kluczyk?

— Odruch — od wielu lat prowadziłem samochód i sam miałem taki nawyk; kluczyk wyjmowałem ze stacyjki i chowałem mechanicznie, nie myśląc ani pamiętając o tym.

— I mówi pan, prokuratorze, że on mógł wetknąć go bezwiednie do kieszeni? — medytował sceptycznie pułkownik.

— No, to zostaje drobiazg, odnaleźć tylko tę kieszeń!

— Nie jestem pewien, czy później pozostawił go w kieszeni.

— Może się uda zidentyfikować pasażerów, którzy o tej porze odjechali z pobliskich przystanków, wśród nich mógł się znajdować nasz człowiek z kluczem. Mógł go zabrać przygodny samochód albo dotarł do jakiejś stacji kolejowej, mógł go także zabrać uprzednio już umówiony wspólnik... Wariantów, jak pan widzi, jest wiele... — i zaraz podkreślił, jak się utrudzi milicja tą identyfikacją, a w podtekście zabrzmiało, że prokuratura jak zwykle zdyskontuje efekty ich pracy.

Oczywiście, to wszystko musiała sprawdzić milicja. Ja byłem w znacznie dogodniejszej sytuacji, żądałem wyników, wytykałem błędy, ale między innymi właśnie to należy do obowiązków prokuratora.

— Zlecił pan sekcję zwłok Arpada, pułkowniku? — to była czysta złośliwość, bo wiedziałem, że jej nie zarządził, skoro przyczynę śmierci uważał za oczywistą.

— Nie! Byłem przekonany, że rozjechał go pociąg.

Teraz nie było już to takie pewne; na torach mógł być porzucony trup. Zatem natychmiast sekcja! Nie czekałem na zakończenie poszukiwań na stoku, musiałem wracać do prokuratury, i to z kilku względów.

— Zażądałem akt sprawy karnej Arpada z archiwum, prześle panu résumé — przypomniał sobie Zarębowicz, gdy wsiadałem już do samochodu; skinąłem głową, nie potrzebowałem żadnych akt ani streszczenia, znałem sprawę Arpada niemal na pamięć, ale nie powiedziałem mu nic.

Wtedy znowu pomyślałem o Piotrze. Muszę wreszcie

porozumieć się z chłopcem, ale przede wszystkim rozmówić się ze swoim szefem.

— Podejrzewam zabójstwo... — poinformowałem go o przebiegu śledztwa; miałem wątpliwości, czy to JA powinienem prowadzić je nadal, skoro ten człowiek nazywał się Arpad.

— Przyśpiesz sekcję — nie przyjął moich argumentów.

— Sądziysz...

— Właśnie ty! Znasz sprawę od samego początku — w ogóle nie chciał roztrząsać moich wątpliwości.

Zanim pojechałem do pierwszej warszawskiej kliniki — bo tam przewieziono zwłoki ofiar — chciałem wreszcie porozumieć się z Piotrem. Dochodziła dwunasta, zatelefonowałem na uczelnię — nie było go.

Piotra spotkałem w dyżurce przy bramie kliniki; strażnik niemrawo wodził paluchem po wymiętej liście ofiar, poszukując nazwiska Arpada, jakby ten rejestr zawierał tysiąc nazwisk, a nie dziewiętnaście; spisane były niealfabetycznie.

— Tu stoi: Franciszek Arpad, a w pana dokumencie Piotr Arpad Bielski — zakwestionował strażnik rozbieżność personaliów wyczytanych w studenckiej legitymacji chłopca.

Już chciałem skorzystać ze swoich prokuratorskich uprawnień, kiedy Piotr powiedział:

— To jest nazwisko z partykułą.

— Aaa, z partykułą, to co innego, znaczy się rodzina! — widać spodobało mu się to nieznanne słowo i wzbudziło zaufanie.

— Dowiedziałeś się z gazety? — zapytałem; Piotr skinął głową. — Ja tak samo... widzisz, nie zajrzałem do spisu ofiar. Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie?

— Nie chciałem ci przeszkadzać.

Nie znałem właściwych słów, które znaczyłyby coś wobec spraw ostatecznych, tedy milczałem.

— Co on tam robił w nocy na torach, zasłabł, chciał umrzeć, może był pijany? — zapytał Piotr.

Potem była kostnica; zmasakrowane ciało i nierozpoznawalna twarz człowieka, którego przypadek teraz już po raz ostatni postawił na mojej drodze. A po raz pierwszy, przed ilu laty? Ponad dziesięć lat temu zetknąłem się z nim po raz pierwszy.

Brzmi to jak paradoks, ale spotkanie z tym człowiekiem miało wpływ na moje dalsze życie, i to wpływ ważny.

Dziesięć lat temu — miałem wówczas dwadzieścia siedem lat — startowałem w prokuraturze dzielnicowej jako młody, lecz wreszcie samodzielny pracownik wymiaru sprawiedliwości. Miałem wszystkie dodatnie, ale i ujemne cechy początkującego w zawodzie; rokowano mi błyskotliwą karierę, bo radziłem sobie nieźle w najbardziej trudnych sprawach, a do tego otworzyłem właśnie przewód doktorski. Szczegół ten bardzo korzystnie współgrał z moimi rozwijającymi się talentami i dobrze usposabiał do mnie szefów, którzy chcieli rozporządzać wykwalifikowaną kadrą, a poza tym wyznawali teorię: młody człowiek powinien mieć cały dzień wypełniony pracą, jeśli ma luzy, to się wałkoni, a jak się wałkoni, to i dla szefów kłopot.

A mnie pociągało to de-er przed nazwiskiem i również nie były mi obojętne wymierne korzyści materialne, które zapewniał automatycznie tytuł doktora praw.

Jednak nie tylko z tych powodów pracowałem nad doktorem, zresztą dość długo, bo lat pięć; po prostu interesowałem



mnie ten zawód, chciałem być wyspecjalizowanym prawnikiem. Nie przypuszczałem wówczas, że tak długo pozostanę w prokuraturze. Zamierzałem popróbować sił w palestrze, a potem... mniejsza z tym, teraz to i tak nie ma znaczenia, pozostanę prokuratorem.

Dziesięć lat temu oskarżałem Franciszka Arpada, że jako pracownik straży przemysłowej wszedł w porozumienie z przestępcami i brał wraz z nimi udział w rabunku; byłem młody i pryncypialny, domagałem się dla niego kary piętnastu lat więzienia. Dostał dwanaście, zwolniono go warunkowo po dziesięciu, teraz w pół roku po opuszczeniu zakładu karnego zginął pod kołami pociągu.

Ale zanim zająłem miejsce na trybunie oskarżyciela publicznego w sprawie Franciszka Arpada, zetknąłem się z brutalną i niezawinioną krzywdą dziecka.

Było to zaraz po podpisaniu sankcji na zatrzymanie Arpada w areszcie śledczym. Rozpocząłem swój prokuratorowski dzień, a zdarzyło się to także w listopadzie, i ranki były bure, rozchłapane, gdy zadzwonił telefon. Podenerwowany kobiecy głos domagał się rozmowy z prokuratorem Bielskim.

— Pan prowadzi śledztwo w sprawie Arpada? — przyznałem, że to ja. — jego chłopak uciekł! Ugryzł mnie w rękę... Porucznik, co robił rewizję, powiedział, że w dwa dni gdzieś chłopaka umieści, ale więcej się nie pokazał i na obietnicach zostało. A ja się nie zgadzam ten bandycki pomiot trzymać! Ja się boję... To małe ścierwo teraz na schodach siedzi i mnie finką wygraża, on ma przy sobie finkę, więc proszę o pomoc, panie prokuratorze!

— Zaraz przyjadę! — to dzwoniła żona Franciszka Arpada; razem z nią pozostał jego dwunastoletni syn z pierwszego małżeństwa.

Matka chłopca umarła, gdy miał cztery lata. Wspominał o tych układach porucznik i przeszliśmy nad nimi do porządku. Prawda, nie mówił o zamiarze lub potrzebie odebrania małego od macochy i umieszczenia poza domem ani o obietnicy jakoby danej tej kobiecie, że się synem Arpada zajmie.

Dopiero po tym historycznym telefonie zdałem sobie sprawę z nieszczęścia dziecka. Poruszyło mnie to bardziej, niżbym się spodziewał. Musiałem starego zamknąć, ale to rykoszetem trafiło w chłopca. Dramat i niezawiniona krzywda małego, bezbronnego człowieka.

Na siebie spojrziałem z dystansu; ile to, przy różnych okazjach, gadałem o profilaktyce, o roli prokuratora w zapobieganiu przestępczości i moralnemu zaniedbaniu dzieci.

A ileż się namądrzyłem o tym w pracy doktorskiej!... Skutki wychowawcze w następstwie uwięzienia rodziców, brak danych o ilości dzieci, których ojcowie przebywają w więzieniu... Cytowałem wyniki badań angielskich kryminologów: Morrisa i Gibbonsa, stwierdzających, że osiemnaście procent takich dzieci popada w kolizję z prawem...

Postulowałem szczególną opiekę nad więźniami posiadającymi dzieci, rozważałem potrzebę kontaktu ojca z dziećmi przy wyrokach długoterminowych.

Teraz było mi wstyd; teoretyk i papierowy trybun, nie zainteresowałem się bliżej losem tego dziecka, chociaż jego sytuację odnotowano w aktach, które miałem pod nosem!

I nie tylko wstyd, ale i głęboki wyrzut; chwila refleksji i niepoehlebnego zdziwienia nad sobą. Nie, to nie tylko służbowy obowiązek nakazywał mi bardziej niż komukolwiek innemu pochylić się nad niedolą i osamotnieniem dziecka.

Nieoczekiwanie runęły na mnie wspomnienia mojego dzieciństwa, wygładzone przez miniony czas, bardzo odległe i jakby przeżyte nie przeze mnie, tylko przez kogoś dobrze mi znanego — wspomnienia, które już nie bolały.

Wielki, lodowato wyziębiony pokój, cisnę się jak najbliżej piecyka-cyganka, w nim pełga skąpy ogień, skostniałe dłonie przenika ciepło i jeszcze dzieje się rzecz piękniejsza, najpiękniejsza w moim życiu: na fajerce coś skwierczy i pachnie, tak pachnie, że robi mi się słabo.

W świetle karbidówki przesuwa się po ścianie olbrzymi cień matki — jej rysy zatarły się w mojej pamięci — wydają mi się wróżką z bajki, wyczarowującą ten niebiański zapach.

Matka nasyciała łojem suchary; nie stać ją było na inny tłuszcz, ale pojąłem to dopiero znacznie później. Ja, sześciolatek wtedy, zapatrzony w czarodziejską rynienkę, pożałowałem całą swą zagłodzoną istotą tej czarnej, gliniastej kromki, przesiąkniętej smakowitym zapachem prażonego tłuszczu.

A ona, ta zabiedzona wróżka, ostrożnie składała suchary w pudełku, jakby mnie tu nie było. Więc rozżalony wygramoliłem się z kręgu ciepła i podreptałem w nieprzyjazny chłód pokoju.

— Mama, daj! — chwyciłem skraj pudełka.

Nie rozumiałem, dlaczego ona płacze dzieląc kromki. Opchany tym najwspanialszym jedzeniem zasnąłem szczęśliwy, nie zdając sobie sprawy, że te suchary, wyjęte z ubogiej paczki dla ojca, być może decydowały o jego życiu, tam w obozie. A matka? Zapewne przez wiele dni nie miała w ustach chleba, bo cały, przez miesiąc skrzętnie gromadzony i suszony kartkowy przydział, pochłonęła paczka i ja.

Moja matka nie była zaradna; wychowana i żyjąca przedtem w dobrobycie, nagle pozbawiona żywiciela, nie umiała się odnaleźć wśród brutalnych praw wojny. Mając lat siedem zacząłem jej pomagać. Zbierałem niedopałki fabrykując z nich papierosy, zebrałem śpiewając w warszawskich tramwajach, ale niewielka to była pomoc i nie uratowała już mojej matki. Umarła. Nie, nie z głodu! Wycieńczoną zmiotła gruźlica.

Tamtego wieczoru zawalił się dla mnie świat; otępiaty siedziałem na schodach...

Teraz, podobnie jak ja wówczas, siedzi na schodach ten mały — może nawet i z finką — pod drzwiami, które jeszcze dwa dni temu wiodły do j e g o domu, z pewnością nie najlepszego, ale jednak domu, w którym był ojciec. A teraz, tak jak po trzęsieniu ziemi, razem z ojcem znikło nawet złudzenie rodziny i dosłownie zabrakło dachu nad głową.

Także dla mnie skończył się wówczas dom, wprawdzie inaczej niż dla tego chłopca, ale nieszczęście małego, jego odczucia nie są z tego powodu inne czy gorycz mniejsza.

Wtedy, gdy umarła moja matka, do naszego pokoju, stanowiącego część wielkiego lokalu — dom moich rodziców rozniosła bomba w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku — wprowadziła się ośmioosobowa rodzina, dwoje zagłodzonych, prymitywnych ludzi i ich sześcioro równie zamorzonych dzieci. Ci moi nowi współlokatorzy, otępiali jak zwierzęta, niezdolni byli do żywszych uczuć względem siebie, a cóż dopiero wobec c u d z e g o , jakim byłem dla nich ja.

Wszystko, co posiadaliśmy z matką, zostało sprzedane, a było to tak nędzne, że nie opłaciło nawet jej skromnego pogrzebu, więc mieszkańcy kamienicy urządzili składkę. Dla mnie pozostał materac w kącie i to, co miałem na sobie, a także jeszcze i to, czego już nie chciał kupić żaden handlarz.

Pozostawiony sam sobie, wiedziałem, że gdzieś w obozie jest mój ojciec, którego jednak wcale nie pamiętałem; czułem się sierotą.

Aresztancka sierota to znacznie gorszy los niż sierota rzeczywista, bo do osamotnienia dochodzi jeszcze odium. Dziezdzicy niesławę rodziców, jest naznaczona.

Jak powiedziała ta kobieta? Bandycki pomiot! Z pewnością nie krępuje się także wobec chłopca. Bezmyślne okrucieństwo!

Czekała na mnie z ostentacyjnie zabandażowaną ręką, bardzo ładna, przyodziana w modne mini i kolorowe rajstopy, dwudziestoparoletnia jędza. Zaskoczył mnie wiek tej m a - c o c h y dwunastoletniego chłopca i żony; człowieka, który na dobrą sprawę mógł być jej ojcem.

— Spodziewał się pan jakiejś dziry, co? — zatrzepotała ciężkimi od tuszu rzęsami, niezmiernie rada z wrażenia, jakie na mnie wywarła, a wywarła! Nawet po dziesięciu latach je pamiętam.

— Wnosząc z pani telefonu, to raczej tak — nie znalazłem się wyjątkowo uprzejmie.

— Proszę dalej — zgasła uśmiech; staliśmy w przedpo-koju. Popłynęła przede mną z jakimś szczególnym, zwierzęcym wdziękiem. To był dynamit nie dziewczyna, sam jej widok mógł uzdrawiać impotentów, a mężczyzn przypawiać

o gorączkę. Szedłem za nią kontemplując jej uroki i tylko ten drugi, co zawsze siedział we mnie, sceptyk i przechera, kpił, natrząsał się niemiłosiernie, a jeszcze znalazł się i trzeci, którego dotychczas nie przeczuwałem w sobie; wzorowy urzędnik prokuratury, ten mi dokuczał najbardziej.

— Gdzie jest chłopiec? — zignorowałem propozycję napanicia się kawy.

— Postraszyłam go prokuratorem!

— Jak pani nie wstyd, to dziecko spotkało nieszczęście, potrzeba mu serdeczności, ciepła... — przerwałem ten speech, bo do kogo ta mowa?

Wsparła dłoń o kształtne biodro, przyglądała mi się z ironicznym uśmiechem.

— On jest za duży na moje ciepło, a ja jestem za młoda na jego matkę... Panie prokuratorze, zabierajcie go sobie do Domu Dziecka, jak obiecywał porucznik, chociaż on bardziej pasowałby do poprawczaka. Mnie to obojętne, byleby tutaj nie był! Ani myślę trzymać go w domu.

— Ten dom jest w takiej samej mierze jego, jak i panu

— To podzielcie mieszkanie.

— Prokuratura nie jest kwaterunkiem.

— Ale prokuratura ma obowiązek chronić mnie przed nożownikiem... Pan zapyta sąsiadów, co to za kanalia. Dopóki był ojciec, to go trzymał w ryzach, ale teraz? Przeżywa mnie dziwką i terroryzuje, a to mocny chłopak, kawał osiłka, chociaż ma dopiero dwanaście lat... Jeśli go nie zabierzecie, to tutaj codziennie będzie radiowóz... A jak wsadzą do poprawczaka, może coś jeszcze z niego wyrośnie... Niech pan spojrzy,

futro mi rozpruł, taka mściwa gadzina — wyjęła z szafy taniutki futrzany płaszcz, rozcięty pionowo na plecach.

Coraz bardziej oczerniała chłopca, aż wyszedł z tego ponury zbir, dybiący na jej życie.

Zapewne mały nie należał do gatunku wzorowych, układanych dzieci, nie mogłem jednak bezkrytycznie wierzyć w to wszystko, co mu przypisywała. Zrozumiałem jedno, ona gotowa jest do każdej prowokacji, aby się pozbyć pasierba; dzieciaka trzeba stąd natychmiast zabrać.

— Dość tego! Gdzie on jest? — nie chciałem dalej słuchać jej jazgotu.

— Zaraz — pobiegła do przedpokoju, uchyliła drzwi; poszedłem za nią. — Piotr, Pioootr! — zawołała — chodź tu na chwilę!

— Odwal się, stary materacu! — spłynęło skądś z góry.

— Sam pan słyszy — mruknęła z nie tajoną satysfakcją.

Odsunąłem ją i może nazbyt energicznie zamknąłem drzwi.

Chłopiec siedział skulony na podeście prowadzącym na strych; na barkach, zapowiadających mężczyznę, buzia dziecka z zabawnym kogutem sterczącym na czubku głowy. Martwo wpatrywał się w jakiś punkt, nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

Znów osaczyły mnie natrętne wspomnienia. Uparta pamięć jakby czekała na tę właśnie chwilę; wszystko, co przeżyłem jako dziecko, nakazywało mi zająć się losem tego chłopca.

Jak gdybym to był ja w dniu śmierci matki. A potem?

Wrył mi się w pamięć tamten dzień, a raczej schyłek dnia, gdy uciekłem z obozu w Pruszkowie, po powstaniu. Byłem

już wtedy zaprawiony w tym nieludzkim życiu, istniałem wbrew systemowi, niszczącemu silniejszych ode mnie; mały, podstępny, wycwaniony dzikus, znający tylko prawo pięści i głodu, do ostateczności wycieńczony, bo ludzie w tym potwornym hangarze pozbawieni byli wszystkiego, a skąpe zapasy żywności — najcenniejszy skarb — chronili dla siebie. I rzadko kto dzielił się tą odrobiną, jaką sam posiadał, z cudzym, bezpiecznym dzieckiem.

Mimo sprytu i wprawy — od śmierci matki żyłem ze zbierania petów i z kradzieży — tu nie miałem odwagi kraść, bo ludzie zdziczeli, otepełili na cierpienia, za kradzież karali okrutnie. Na moich oczach skatowano chłopca, może nieco starszego niż ja, tak że już nie miał siły podnieść się z betonu.

Tego wieczoru, po ucieczce z obozu, zziębnięty i słaby przemykałem się szukając kryjówki, bo zbliżała się godzina policyjna, a rozżarci żandarmi polowali na uciekinierów.

Wpełzłem, do jakiejś sieni i przykucnąłem na schodach; przepędził mnie stamtąd jakiś wyrostek, był silniejszy i tylko dlatego nie skoczyłem mu do gardła. Miałem dziewięć lat, byłem jak złe zwierzątko, każdy człowiek wydawał mi się wrogiem. Podział był prosty: Niemcy są gorszymi wrogami, bo zabijają! Tylko taką widziałem różnicę.

— Piotr — dotknąłem ramienia chłopca.

Nic, żadnego gestu — milczenie. Przysiadłem obok i szukałem słów, które dotarłyby do niego, wywołały jakiś odźwięk, a nie zraniły. Wiedziałem, co z nim jest, na to nie trzeba było być psychologiem. Siedział oto mały człowiek, którego miara przepełniła się, człowiek bardzo skrzywdzony.



Piotr był w stanie zupełnej prostracji; temu dziecku za wszelką cenę należało zapewnić poczucie bezpieczeństwa, oparcie, życzliwe środowisko. Dotychczas przecież jednak miał ten jakiś swój świat. Skarłały? Ale był. Teraz nie miał już nic — próżnia. Jakimi wartościami wypełni się ta pustka, taki pozostanie na zawsze. Jeszcze trwa w zawieszaniu, ogłuszony tym ciosem między oczy, ale ocknie się i wtedy trzeba uratować go od nienawiści.

Wiedziałem coś o tym; znałem tych głęboko zdemoralizowanych i głęboko nieszczęśliwych chłopaków, których w czasie, gdy to jeszcze było możliwe, nikt nie uchronił właśnie od nienawiści. Nienawidzący i znienawidzeni byli groźni dla otoczenia, byli groźni dla siebie. Na zawsze okaleczone osobowości, niezdolne już do żadnych uczuć poza tym jednym. Nawet między sobą nie byli zdolni do zachowania jakiegokolwiek więzi uczuciowej, jednoczyli się tylko przeciw reszcie świata.

Znowu dotknąłem ramienia chłopca, zachnął się i wrogo odsunął ode mnie, wewnątrznie spięty, nastroszony.

Jak do niego trafić? Wciąż nie powiedziałem jeszcze ani słowa i nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby nie Agnieszka.

Zaszeleściło na ciemnej klatce, rozbłysło światło; chuda dziewczynka, nie więcej niż siedmioletnia, na długich, pajęczych nóżkach, umocowała zapałką przycisk w automatycznym kontakcie. Odwróciła się, spostrzegła mnie i zamarła speszona, z zawiniątkiem w ręczce. Przyglądała mi się nieufnie spode łba zdumiewająco zielonymi oczyma, lekko skóśnymi i wydłużonymi jak oczy perskiego kota; w

szczuplutkiej buzi te oczy wydawały się za wielkie.

— Jak ci na imię? — chciałem ją oswoić, bo wydawało mi się, że ma sprawę do Piotra.

— Agnieszka — przełknęła głośno i zaraz: — On jeszcze nic nie jadł! — w jej głosie zabrzmiała odwieczna kobieca troska. — Piotr, Piotrek, nie wygłupiaj się! — tarmosiła go za ramię, usiłując wetknąć mu w rękę owo zawiniątko.

— Zjeżdżaj — mruknął chłopiec, ale w jego głosie nie było wrogości.

— Helikoptery mu ojca zwinęły, to dlatego — westchnęła dziewczuszka.

— Wiem — skinąłem głową.

— Zamknij dziób! — wrzasnął wzburzony Piotr.

— A ta... — gładko spłynął z ust Agnieszki epitet — sprzedała mu psa... — tym razem Piotr nie skarcił małej.

— Komu sprzedała psa? — rzuciło mną.

— Powiedziała, że handlarzowi... — przemówił wreszcie Piotr. — Czy ona miała prawo, niech pan sam powie, czy ona miała prawo?! — podniósł na mnie szare, udręczone oczy. Już nie były martwe, krzyczały.

— Nie miała prawa! — podniosłem się. — Poczekajcie tu na mnie, spróbuję odnaleźć twego psa.

— Ona go prowadziła na sznurku i on ją ugryzł — zawołała Agnieszka. — To potem ona mówiła, że dlatego sprzedała, ale to nieprawda. Niech pan nie wierzy, jak tak będzie mówiła, bo pies ją ukąsił dopiero, gdy go ciągnęła na sprzedanie.

Ogarnęła mnie wściekłość. Jak można było temu nieszczęściu odebrać jedyne bliskie stworzenie, jakie mu pozostało?

— Gdzie jest pies chłopca? — wbiegłem do Arpadowej.

— Może jeszcze miałam obowiązek żywić tego kundla?  
— za jazgotała.

— Nie ma pani takiego obowiązku, ale za sprzedanie cudzego psa będzie pani miała przykrości! Specjalnie się o to postaram — zagroziłem na wyrost; poskutkowało, stropiła się, spojrzała na mnie jak na raroga.

— Ja go nie sprzedałam... Tak tylko powiedziałam, aby Pietrek znowu go nie sprowadził. Do azylu oddałam, bo mnie pokąsał, darmożjad jeden. To taka sama gadzina, jak i ten szczeniak.

Wróciłem do dzieci; dwie pary oczu, pełne oczekiwania, niepewności i nadziei, wlepiły się we mnie.

— Piotr, jedziemy do azylu! — w mgnieniu oka był przy mnie.

— Ona tego psa nie przyjmie — westchnęła Agnieszka.  
— A moja stara też nie weźmie — to dziecko mówiło o matce: moja stara, tonem ciężko doświadczonej osoby, podobnie jak milicję zwała helikopterami, które zwinęły chłopcu ojca.

W azylu, gdy tylko Piotr wszedł między rzędy boksów, z jednego z nich odezwał się oszalały, zdławiony szczęściem pisk, klatka zaczęła dygotać, a za chwilę z otwartych drzwi-czek runęło chude cielsko i przypadło do chłopca. Mały objął go, wtulił twarz w zapadły bok psa, zadrgały mu ramiona, więc tylko jeszcze bardziej wcisnął głowę w futro zwierzęcia.

To był bezgłośny męski płacz i niema radość z odzyskania przyjaciela. Pies szczęśliwy i pełen rozumnego współczucia delikatnie lizał mu rękę.

Zacisnęło mi krtań; wymieniliśmy spojrzenia z opiekunką

schroniska i odeszliśmy spośród boksów, aby chłopiec nie wstydził się potem swojego wzruszenia. Poczekaliśmy na niego w małym pokoiku, w baraku, gdzie ludzie dobrej woli czuwają przy telefonie, gotowi śpieszyć z pomocą każdemu zabłąkanemu czy niechcianemu zwierzęciu.

Piotr nadszedł po chwili i ta jego szarooka buzia nie była już tak przerażająco martwa jak wtedy, gdy zobaczyłem go skulonego na schodach. Wprawdzie blada, znękana, cierpiąca, ale żywa. I pomyślałem, że wraz z tym psem odzyskał część utraconego domu i nie czuje się już taki okrutnie wydziedziczony, a troska o psa, obowiązek opiekowania się nim chociaż w części odwróca jego uwagę od własnego nieszczęścia.

— Chodź, Tygrys — zawołał, gdy ruszyliśmy ze schroniska, pies szedł przy nim krok w krok jak sprzężony.

— Tygrys, groźnie się nazywa — powiedziałem; wielki, płowy kundel, mieszanina wszech ras, przypominał wszystko, tylko nie tygrysa; miał zapadnięte boki, beczelny pysk łazika i wagabundy, chytry a podstępny sposób bycia i zdumiewająco rozumne oczy.

Co dalej? — pomyślałem z lekką tremą, gdzie mam utknąć tę parę. Pomaszerowaliśmy do prokuratury. Z miejsca wzbudziliśmy niepożądaną sensację.

Tygrys zaraz w hallu zrobił z siebie trójnog i uwiecznił się psim obyczajem tuż pod przeszkloną ścianą wartowni; prokuratura mieściła się na drugim piętrze budynku, parter i pierwsze piętro zajmowała komenda dzielnicowa milicji.

Wartownik spojrzął na nas z obrzydzeniem, lecz nie powiedział nic, bo niezręcznie było mu karcić prokuratora;

mina sierżanta, który wychynął z dyżurki, potępiła nas niemo, lecz bezapelacyjnie.

Speszylem się, z wyrzutem spojrzałem na psa; beztrudno wachlował ogonem, spoglądał cynicznie. Sytuacją uratował Piotr, oniemiałem ze zdumienia, widząc jego nagłą metamorfozę.

— Przepraszam, panie sierżancie! On się zdenerwował — z przejęciem tłumaczył psa. — Ja zaraz to sprzątnę — z miejsca rozbroił dyżurnego; wśliznął się za nim do wartowni, powrócił biegiem z jakąś szmatą, gorliwie osuszał kleks Tygrysa; zabawny czubek chwiało mu się na głowie pośród szopy ciemnych włosów. Pies zastygł na zadzie, całą postawą i załganym wyrazem bezczelnego pyska wypierał się tej kałuży.

— Honeste! — Piotr odniósł porządnie splukaną i wyżętą szmatę; sierżant z niedowierzaniem zastrzygł uchem i spojrzał na mnie pytająco. Nie drgnąłem, miałem twarz dyplomaty, sierżant uznał, że się przesłyszał. Tak do tego miłego chłopca nie pasowała grypsera.

— Nie wstyd ci... — poza tamtym jednym słówkiem nic mu się więcej kompromitującego nie wypsnęło, i teraz, w taki powściągliwy sposób, karciał psa. W tonie było więcej czułości niż wyrzutu, ale ten przewrotny czworonóg zademonstrował pokazową scenę zażenowania; zaraz jednak otrząsnął się, ziewnął przeciągle i przekrzywiając łeb spojrzał po nas: co dalej, panowie?

Już bez specjalnych wstrząsów przedefilowaliśmy korytarzami prokuratury; przodem człapał pies, spojierając co chwila na nas, za nim chłopak, ja zamykałem pochód. A ten przed chwilą tak ujmujący chłopaczek wymrukiwał sobie w brodzie: — Męta skubany... — i z pewnością nie odnosiło się to do

psa. Udawałem, że nie słyszę.

Jednak nasza skromna procesja wzbudziła żywe zainteresowanie maszynistek i panienek z sekretariatu. Skorzystałem ze wścibstwa sekretarki wysyłając ją natychmiast po furaz do bufetu.

Chłopiec był porządnie wygłodzony, widać to było ze sposobu, w jaki jadł, nie zapomniał jednak o psie, sprawiedliwie dzielił kęsy, które obaj pochłaniali, w podobny sposób. Zresztą Tygrys nie pozwalał o sobie zapomnieć, przez cały czas usiłował małemu zająrzeć do żołądka.

— Dalej — podsunąłem chłopcu następną porcję.

— Eee... co będę pana objadał — dzielnie przełknął ślinę.

— Szufłuj, on też jeszcze by coś zjadł — pies oblizywał się pożądliwie, modlitewnie zapatrzony w serdelek. Mały odwrócił oczy, gmerał w wypchanych kieszeniach.

— Mam szmal... — położył na skraju biurka pracowicie wygrzebany słupek bilonu i dopiero sięgnął po następną bułkę.

Zadzwoiłem do milicyjnej izby dziecka; mógłby tam po-  
być przez jakiś czas, zanim nie wytrzasnę mu miejsca w do-  
brym Domu Dziecka.

— ...to zdemoralizowany chłopak? — indagowała mnie izbowa psycholożka; wprowadziłem ją dość oględnie, ze względu na Piotra, w sedno sprawy. Widziałem, że cały był zamieniony w słuch, z przejęcia przestał żuć, starając się jednak udawać doskonałą obojętność.

— Raczej nie, ale jest na najlepszej drodze...

— To szkoda go do nas... — aktualnie w izbie przebywała

grupa wyrostków zatrzymanych za napady rabunkowe i kradzieże; psycholog izby tłumaczyła, że nie da się odizolować Piotra od tej szpary, i słusznie obawiała się, aby ich wpływ nie podziałał na chłopca. Izba była przepełniona, nieuchronnie musiałyby się z nimi zetknąć — a to byli chłopaczkowie po piętnaście, szesnaście lat.

— To nie jest towarzystwo dla żadnego dwunastolatka, panie prokuratorze! — Nie nalegałem; w żadnym razie nie miałem moralnego prawa upychać tam małego.

Psycholożka, przemiła dziewczyna, dla której problem opuszczonych dzieci był codzienną troską, nie ograniczyła się tylko do dobrych rad.

— Załatwimy to po znajomości... Wszędzie jest przepełnienie... — oświeciła mnie wyczerpująco w sytuacji placówek podlegających Ministerstwu Oświaty i podała adres Domu Dziecka, jej zdaniem najlepszego. Podjęła się pomóc mi w załatwieniu niezbędnych formalności.

— Najlepsza byłaby rodzina zastępcza — podpowiedziałem; najbardziej przypominała dom rodzinny, chociaż w części kompensowała psychiczne potrzeby dzieci, indywidualizowała opiekę i stwarzała szansę związku uczuciowego z opiekunami.

— Poszukam — obiecała po namyśle. — Zawsze go będzie można odebrać, jeśli znajdziemy lepsze warunki.

Niemile mi to zabrzmiało: odebrać! Jak rzecz albo pakunek, a przecież tej dziewczyny nie mogłem posądzić o oschłość.

Dzięki jej znajomościom udało się uzyskać natychmiastową decyzję, mocą której Rzeczpospolita przejmowała na siebie ciężar opieki i wychowania małego obywatela; piękne, humanitarne prawo. Miałem się dopiero przekonać, jak

wykoślawia je w praktyce ludzka bezduszość i ignorancja.

— Chyba znalazłem ci coś odpowiedniego, Piotr... chodź...

— A on? — przygarnął psa, podniósł na mnie oczy, prze-  
rażająco stare; pies jakby z nim sprzężony, także utkwiał we  
mnie ślepią.

— On także — obiecałem, jednak bez przekonania, i by-  
łem z siebie niezadowolony, bo sam nie wierzyłem w to za-  
pewnienie.

Dom Dziecka, polecony przez izbową psycholożkę, kre-  
mowy budynek w ogrodzie, piękne stare drzewa, mimo je-  
siennej pory wygracowane alejki — budził zaufanie. Zraziło  
zamknięte wejście i niemiłe skojarzenie nasuwał wysoki  
parkan z metalowych, ostro zakończonych sztachet; furtę  
zwolnił automat.

Pełen pnącej się zieleni obszerny hall, ze lśniącem, ni-  
czym lodowa tafla złocistym parkietem, znów nastrojał opty-  
mistycznie; wrażenie zniweczył kwadratowy z wyglądu cer-  
ber, przyodziany w skrzyżowanie liberii z mundurem, który  
przytruchtał gdzieś z głębi.

— Won! — wrzasnął na widok psa, ten cofnął się i dopie-  
ro z bezpiecznej odległości, z podwiniętym ogonem, gotów  
do ucieczki, zaczął ubliżać facetowi, na pewno w psiej  
grypserze. Liberia chwyciła łagę.

— To wasz pies — huknął — powinien być na smyczy i  
w kagańcu, a w ogóle to z psem tu nie wolno... W jakiej  
sprawie? — wywarkiwał to na jednym oddechu, wrogi, wład-  
czy. Podetknąłem mu pod nos legitymację.

— Proszę tędy, panie prokuratorze — zagruchał drab



głosem przepitej synogarlicy, wypiąwszy ciężki zad w półukłonie, i do Piotra: — wprowadź, chłopczyku, pieska, o tutaj — podesłał gazetę obok krzesła — żeby nie zabłocił posadzki.

Piesek kuląc się, szczerząc i bulgocąc, jak kociół pod parą, prześliznął się obok chłopczyka, ani na chwilę nie spuszcżając ślepiów z odźwiernego; kazałem im poczekać, portier, usłużnie prowadził mnie do dyrektora.

Na korytarzu minęliśmy grupę chłopców karnie maszerujących w dwuszeregu. Wiódł ich krępy, muskularny mężczyzna. Przygnębił mnie ich widok — szare, jednakowe ubranka, jednakowo pod michę przystrzyżone głowy, nawet kapcie mieli identyczne.

Gabinet, biurko, dywan, telefon i palma. Dyrektor, mężczyzna w średnim wieku, pleczysty, nabity w sobie; jedno nie ulegało wątpliwości, personel był tu z kondycją.

Ależ tak, miejsce jest, dzwoniła, dzwoniła naczelnik...pska, z Ministerstwa Oświaty. To życzliwa rączka izbowej psycholożki, uruchamiając system kumoterskiej łączności, przetarła mi ścieżkę, żeby nie powiedzieć, wysłała dywanami.

— Pan prokurator życzy sobie obejrzeć? — prokurator życzył; mijając oszkloną dyrektorską biblioteczkę dostrzegłem Makarenkę, Korczaka... wszystko o dziecku. Wręcz wystawa, książki były w nadzwyczaj dobrym stanie, widocznie mało kto brał je do ręki.

Wszędzie parkiety jak lustra, czteroosobowe sypialnie, łóżka, koce w kostkę, drewniane szafki, niektóre sfatygowane, inne poryte napisami i zwyczajnie zdewastowane.

Sala jadalna, gimnastyczna, sala rekreacyjna, sala, sala... Mimo zieleni w tych salach, mimo barwnych zasłon,

reprodukcji na ścianach odniosłem wrażenie czegoś pośredniego między klasztorem a zakładem karnym.

— A jeśli chłopcy chcą pobyc sami dajecie im trochę swobody?

— Tylko by tego brakowało! Panie prokuratorze, to zwierzątka. Niszczą wszystko, brudzą, gubią rzeczy, ani na chwilę nie można z nich spuścić oczu... Wszystko musi być zorganizowane, nie wolno zostawić chwili bez programu... Leniwi, nie chcą się uczyć, nie chcą pracować, z trudem wdramy ich w obowiązki... — Stąd te wypieszczone podłogi, pomyślałem.

— Czas wolny — chwilę żuł moje następne pytanie. — Sport, tak, biblioteka, wybrane pozycje programu telewizyjnego, spacer... oczywiście, jeśli się dobrze sprawują!

Nie, tu nie wychowywano — pomyślałem — co najwyżej poddawano tresurze! Nie podrzucę chłopaka do tej przechowalni niechcianych dzieci, i już tylko z czystej ciekawości powiedziałem o psie Piotra.

Zgorzał mój dyro i zagulgotał z urzędniczej zgrozy; Rzeczpospolita łoży na bezpańskie dzieci, ale żaden przepis — a przepisy to on ho! ho! ma w małym palcu — nie przewiduje utrzymywania psów za państwowy grosz, w trudzie wypracowany przez klasę robotniczą. Nie ma precedensu i być nie może. Amen.

Bardzo chciałby pójść prokuratorowi na rękę, ale, dalibóg, nie może! Już chłopca przyjmuje ponad kontyngent, bo pani naczelnik... no i ja, prokurator, prawie jak w rodzinie.

Czy pan prokurator może sobie wyobrazić, co to by się działo, gdyby tak każde dziecko przybyło tutaj z jakimś zwierzęciem?

Nie mogłem.

On docenia wychowawcze walory opieki nad zwierzętami, toteż jego dzieci mają psa i kota, a tak! Ale jeszcze jeden, i to nieprzewidziany programem, pies? Nie, wykluczone.

Nie umiałem mu wytłumaczyć, że kundel Piotra to nie przywilej, a konieczność, niemal warunek zdrowia psychicznego i ostatni pomost łączący to dziecko z resztą społeczeństwa — nie trafiało.

Był wyraźnie urażony, gdy nie skorzystałem z usług jego wzorowej placówki; grymasić, kiedy miejsce udostępniono mi jedynie z wysokiej protekcji? Inni czekają miesiącami. No tak, prokurator, taki to może sobie przebierać.

— Nie wzięli nas? — domyślił się Piotr.

— Nie podoba mi się tutaj, znajdziemy coś lepszego.

Z ulgą opuszczałem wypucowany hall; mijając portiera, spokojny dotychczas pies wyszczerzył się, a mały zamruczał pacierz do własnej brody, jednak znacznie głośniejszy niż rano: — Branzlus, pikieciarz-ludożerca... — udawałem głuchego, ale kwadratowy cerber musiał coś z tego usłyszeć.

Zrobiło się późno, tego dnia nie mogłem już nic załatwić; pomaszzerowaliśmy do domu.

Moje gospodarstwo było na wskroś kawalerskie, nie obrosłem jeszcze w rzeczy — chociaż i teraz skutecznie bronię się przed ich nadmiarem — brakowało nawet niezbędnych. Na posłanie dla Piotra mogłem ofiarować sfatygowaną amerykańkę, którą po dziś dzień z sentymentem wspominają moi koledzy — ustatkowani już, utemperowani, ustabilizowani panowie na stanowiskach — ponieważ był to mebel użytkowany przez nich, kiedy się który zasiedziało w mieście zbyt

długo albo gdy przeżywał ostrą niechęć do rodzinnego domu, przeważnie zagęszczonego ponad miarę. Do tego szacownego sprzętu mogłem dołożyć jeszcze mój turystyczny śpiwór, jasiek i koc.

Mościłem mu tedy spanie, a jego wysłałem do łazienki: poczłapał za nim natychmiast ten jego rajzerski czworonóg i uwalił się pod drzwiami. Psisko nie odstępowało go ani na krok.

Chłopiec zadekował się w łazience, nie słyszałem szmeru wody ani znaku życia, bo to był nieakustyczny i olbrzymi dziewiętnastowieczny apartament zdemokratyzowany teraz i zatłoczony; w każdym z siedmiu pokoi inna rodzina — wygody i sanitaria wspólne, korzystało z nich piętnaście osób.

Zbliżała się wieczorna pora kąpielowego szczytu i nie chciałem się narazić współmieszkańcom zbyt długim blokowaniem naszego ciężko opłaconego komfortu, bowiem solidarnie za własne złotówki dźwignęliśmy z ruiny łazienkę, ale za to, była wspaniała! Mogła wpędzić w kompleksy posiadaczy współczesnych, oszczędnościowych urządzeń tego typu; wielka jak hangar, pyszniła się seledynową glazurą od zdobnego w stiuki sufitu, aż po terakotową posadzkę, z wanną dużą jak basen. Nieraz zastanawiałem się, w jaki sposób te kafle przetrzymały wojnę, powojenny szaber i zwykłą dewastację starych secesyjnych warszawskich kamienic.

No więc mały tkwił tam już nazbyt długo, a do tego niepokoił mnie ten groźnie wyglądający kundel, rozciągnięty w poprzek korytarza. Zastukałem do chłopca.

— Masz dylemat, myć uszy czy nogi? — zagadnąłem; siedział niezdecydowany na skraju wanny, wpatrując się z zadumą w strumień wody. Odplywu nie zatkał.

— Trzeba chyba wykąpać Tygrysa — westchnął.

— Moi sąsiedzi nie będą zachwyceni.

— Nie muszą wiedzieć — prychnął Piotr. — Da pan prześcieradło, aby go wytrzeć?

Chyba trzeba tego kundla wykąpać — może jest zapchlony? Zrobimy to raz-dwa — uspokajałem swego wewnętrznego tchórza, który nie cierpiał spieć i kochał nade wszystko tak zwany święty spokój — zanim ktoś nas na tym nakryje. Ruszyłem tedy szparko po coś odpowiedniego na ręcznik dla Tygrysa, ale on zburzył doszczętnie nasz plan; w żaden sposób nie dawał się dyskretnie, szybko i cicho zapędzić do łazienki.

Nie nabrał się na żadne przebiegłe zaproszenia, nie słuchał rozkazów, umykał po korytarzu w pomrukach dezaprobaty, wpełzał pod wieszaki i narobił rumoru, wywabiając ciekawych. No i rozpętała się namiętna dyskusja pod tytułem: co się ma prawo czynić we wspólnej wannie.

Poczułem się nieswojo, ponieważ dotychczasowe życie z sąsiadami układało mi się prawie harmonijnie; naiwny! Nie wiedziałem jeszcze, że to tylko mała przygrywka do tego, na co mnie narazi ten chłopiec i jego pies.

— Jeszcze jakiejś zarazy naniesie — wychynęła emerytowana nauczycielka muzyki ze swego kojca.

— Aby się tylko od pani jakiej franczy nie nabawił! —: zareplikował Piotr, ku ogólnemu osłupieniu; mnie także zatkało, a to była tylko jedna z grzeczniejszych odzywek z jego repertuaru.

Korzystając z ogólnej konsternacji, wspólnymi siłami wepchnęliśmy wreszcie Tygrysa do kąpielowego.

— Piotr, nie należy obrażać ludzi... — zacząłem pedagogiczne wprawki, gdy gremialnie odszorowani, po

wypucowaniu do połysku łazienki, schroniliśmy się w pokoju.

— To niech nie włożą na łeb — miało upłynąć wiele czasu, zanim porzucił ten agresywny sposób bycia.

Późnym wieczorem, gdy chłopiec wreszcie zasnął, uświadomiłem sobie, że nie zadbałem o jego elementarne rzeczy; nie zabrałem ubrania, bielizny, książek, bo chyba przecież chodził do jakiejś szkoły. Postanowiłem naprawić to następnego dnia przed pójściem do pracy. Obudziłem więc Piotra wcześniej i dopiero rano zrozumiałem, dlaczego chłopiec tak koniecznie chciał wykąpać psa; Tygrys bezwstydnie rozwałił się na jego pościeli, wyciągnięty wzdłuż, z grzbietem wtulonym w plecy chłopca.

— Tygrys — Piotr otworzył oczy; pies zamruczał, wetknął szurpatą mordę w zagłębienie ramienia małego i zaraz utkwiał we mnie ślepią koloru miodu.

Ani pomyślałem w tamtej chwili, że oto ubrałem się w dziecko, co zdaje się znakomicie już wiedział ten cholerny pies, i dlatego pozwolił mi bezkarnie zbliżyć się do śpiącego chłopca.

Nie wolno rozdzielić go z tym przedziwnym czworonogiem, sprawiającym wrażenie, że zaraz dźwignie się na zadne łapy i przemówi — pomyślałem.

— Rzuciłem szkołę... — skwitował Piotr moje nagabywanie w sprawie nauki. — Nigdy tam nie wrócę! — zachnął się na moje: dlaczego? I nic więcej z niego nie wyciągnąłem. Powodów nietrudno było się domyślić, nie nalegałem o wyjaśnienia.

— Porozumiem się z twoją szkołą — uprzedziłem lojalnie.

— Czy to warto na ten dzień, dwa? Przecie jak mnie pan upchnie, to i tak zmienia mi szkołę, nie? — perswadował; było w tym trochę racji. Ubierał się szybko, był gotów przede mną.

— Odsikam psa — zawiadomił i wybiegł z pokoju w towarzystwie Tygrysa.

Po kwadransie pomyślałem, że przestraszył się konfrontacji ze szkołą i zwiąt; ale nie, wrócili obaj zziązani i w jakiś sposób do siebie podobni.

— Ja tu sam nie zostanę — oświadczył, gdy tuż przed wyjściem usiłowałem zorientować go w moim nieskomplikowanym gospodarstwie.

— Dlaczego?

— A jak co zginie... — nie patrzył na mnie; ostatecznie zabrałem go ze sobą, bo pomyślałem o nowych konfliktach z sąsiadami podczas mojej nieobecności. Wolałem, aby najpierw przyszło wczorajsze.

— Pies musi tu zostać — powiedziałem, bo kundel wyraźnie wybierał się z nami, niecierpliwiąc się przy drzwiach.

— Nie idziesz, Tygrys... ja wrócę — przemówił do niego chłopiec; posmutniałe ślepie, zrezygnowany pysk, nawet ogon psa wyrażał absolutną rezygnację. Rekompensując sobie tę niezasłużoną krzywdę ułożył się bezczelnie na amerykańce, na której spał z matym; widać uznał to za ich dom.

Nie miałem tego dnia przesłuchań, tylko typowo biurową robotę, której zresztą nie cierpię, toteż Piotr urzędował ze mną przez cały dzień. Był zdumiewająco niekłopotliwy, siedział jak trusia, nie pytany nie odzywał się ani słowem.

Nie przeszkadzał w niczym — godzinami tkwił przy oknie;

wyraźnie miał nadzieję na spotkanie lub chociaż zobaczenie ojca. Popatrywał na mnie badawczo, jakby chciał przejrzeć moje zamiary; sprawa ojca była dla niego najważniejsza na świecie i gorszyło go, dlaczego tak spokojnie siedzę w papierach, kiedy powinienem zajmować się tym najważniejszym.

Ani ten dzień, ani dalsze me przyniosły rozwiązania; porozumiałem się z dyrektorką jego szkoły, nie chciałem, aby wałkonił się w prokuraturze. Dyrektorka potwierdziła moje domysły. Jego konflikty w szkole osiągnęły swoje apogeum po aresztowaniu ojca. Nawet nie bardzo mu inne dzieci dokucały, bo był silny i rozwinięty ponad wiek, budził respekt, a nie był to baranek i dobrze wychowane dziecko, jak zresztą już sam zdążyłem zauważyć. W szkole od dawna miał ugruntowaną opinię łobuza i prowodyra. Jednak, dopóki nie stało się to z ojcem, kłopoty, jakie nastęrczał, utrzymywały się w jakiejś normie. Uczył się miernie, rozrabiał więcej niż przeciętny dwunastolatek — ale dał się lubić.

Zrobił się bardzo zły po opublikowaniu listu gończego za Franciszkiem Arpadem; drażliwy, ordynarny, popisywał się grypsersa nie tylko wobec kolegów, ale i wobec nauczycieli, usiłował kreować ojca na bohatera i sam się z nim identyfikował; to także był rodzaj samoobrony przed pogardą, potępieniem i izolacją środowiska.

W dniu, w którym gazetę z komunikatem o ujęciu Franciszka Arpada któryś z kolegów przyniósł do klasy, Piotr dotkliwie pobił tego chłopca i uciekł. Więcej się w szkole nie pokazał.

— To inteligentny uczeń, ale zwichrowany, krnąbrny, skryty, leniwy... Potrzebuje, zwłaszcza teraz, bardzo troskliwej



i to raczej męskiej opieki... — taką Wydała mu opinię.

Zrozumiałem, że do tej szkoły Piotr nie powinien wracać. Znow wszcząłem energiczne poszukiwania miejsca dla niego. Co tu dużo mówić, pilnie chciałem się go pozbyć.

Tymczasem codziennie maszerował ze mną do prokuratury, a wychodząc z domu żegnał się ze swoim psem tak, jak gdyby nie spodziewał się go nigdy więcej zobaczyć.

W urzędzie, w stołówce, w bufecie budziliśmy już nielichą sensację; rozniosło się, że to syn faceta, którego będę oskarżał, i dociekano, z jakich to przyczyn zajmuję się tym małym.

Nasze środowisko niczym nie różni się od innych, a prokuratura dzielnicowa to był światek nieduży, trochę hermetyczny, i podobnie jak gdzie indziej bardzo lubiano zajmować się bliźniami.

Plotkowano więc o moim zamiarze adoptowania chłopca. Nie mam pojęcia do dziś, skąd zaczerpnięto tę wiadomość, w każdym razie wiadano lepiej ode mnie, bo wówczas jeszcze ani mi przez myśl nie przeszło zajęcie się Piotrem dłużej niż przez kilka dni.

Zderzywszy się po raz pierwszy z taką sytuacją zobaczyłem na jaskrawym przykładzie drugą stronę medalu działalności prokuratora, i to także bardzo mnie poruszyło. Bo jak to jest? Zwalczam przestępczość, chronię społeczeństwo przed ludźmi szkodliwymi, izoluję ich — wszystko w porządku. Ale zamykając rodziców uruchamiam osobliwe perpetuum mobile: produkuję narybek, który za lat kilka znow trzeba będzie... i da capo.

Co by się stało ze mną wtedy, gdybym przepędzony z tamtej sieni, nie spotkał l u d z i ?

Błąkałem się wśród jakichś komórek i poczułem króliczych cich! Tak, nie tylko psychicznie byłem zwierzęciem, także moje zmysły wyostrzyły się jak u zwierzęcia. Więc poczułem woń króliczych odchodów i natychmiast rozpaczliwy przypływ siły; włamałem się do komórki, jakimś znalezionym w pobliżu kawałkiem zardzewiałego żelaza wydarłem deskę ze ściany, przecisnąłem się przez otwór do środka i skręciłem łebek pierwszemu królikowi. Kawałkiem tegoż żelaza obdzierałem go ze skóry, szarpałem zębami ciepłe jeszcze mięso.

W tej komórce nakrył mnie, małego kanibala, umazanego krwią, z martwym królikiem w rękach, Krzysztof Bielski — nauczyciel z zawodu, także uciekinier z powstania — i uratował mnie najpierw od głodowej śmierci, a potem... potem długo ratował mnie, przywracając utracone człowieczeństwo. Więc teraz pragnąłem wybrać odpowiedni dom dla tego chłopca. Nie uchronię wszystkich? To prawda...

— Karol — zagadnął mnie starszy kolega, a w ogóle ramol — jeśli będziesz chciał przygarniać dzieci ludzi, których pakujesz za kraty, to niebawem będziesz musiał założyć prywatny Dom Dziecka — pewno uznał, że mi pilnie potrzeba dobrej rady kogoś doświadczonego; podrażnił mnie jego protekcjonalny, pełen pobłażania i profesjonalnej wyższości ton, z jakim przestrzegał mnie, młokosa i początkującego w zawodzie; zbyłem go byle jak i to nie nazbyt grzecznie.

Poczuł się dotknięty; uznał mnie za zarozumialca, efekciarza i karierowicza, pragnącego za wszelką cenę zwrócić uwagę społecznym wyrobieniem. Oczywiście nie powiedział mi tego w oczy, wypluwał z siebie te głupstwa poza moimi plecami.

Pomału docierało do mnie, że z psem nie ulokuję Piotra nigdzie, w żadnej państwowej placówce; odebrać mu psa, odebrać mu psa po raz drugi, kiedy sam go dla niego odzyskałem? Nigdy tego nie zrobię, nie byłem kanalią.

Łamałem się, co dalej, bo coraz więcej czasu zabierał mi ten chłopiec, a ja nie byłem przygotowany, aby tak z dnia na dzień stać się człowiekiem obciążonym dzieckiem, a tym bardziej zastąpić mu ojca.

A mały, jakby na potwierdzenie mojej oceny, stawał się z każdym dniem bardziej nieznośny; do tego przygaszony i zamknięty w sobie jak małż. Rozumiał, że waży się jego losy, i panicznie bał się Domu Dziecka, czując, że nieuchronnie rozdzieli go z Tygrysem; na mnie zupełnie nie liczył — powiedział mi to kiedyś znacznie później — i nie robił nic, aby zaskarbić sobie moją sympatię.

Do tego wszystkiego doszły jeszcze nieporozumienia z Anną, dziewczyną, którą kochałem albo wydawało mi się, że Kocham; z początku były to ot, takie sobie bagatelne spięcia, jednak wkrótce doprowadziły do poważniejszych rozdzwieńkóć.

Praca, szukanie miejsca dla chłopca, opieka nad nim pożerały mi czas. Wśród tych zajęć niejednokrotnie spóźniłem się na spotkanie, musiałem odwołać teatr czy kolację w lokalu; ponadto chłopiec ją drażnił, przestała do mnie przychodzić, no i... skończyły się wieczory we dwoje; temat Piotra wyraźnie ją nudził, niecierpliwił i zupełnie nie interesowały związane z nim moje kłopoty.

— ...sadza ludzi dziesiątkami i raptem ocean współczucia dla zdemoralizowanego trutnia, pošlij go do Cambridge lub

do Eton, skoro w Warszawie nic nie jest dla niego odpowiednie... — zachnęła się kiedyś. — Ja cię zupełnie nie rozumiem, ty jesteś niebezpieczny wariat!

Po kilku podobnych odzywkach ja ją także przestawałem rozumieć i zaczynałem widzieć Annę z dystansu, inaczej niż dotychczas, nachodziły mnie niemiłe refleksje — coś gwałtownie psuło się między nami.

Wściekałem się na siebie za lekkomyślne wrobienie się w trudną sytuację i na coraz bardziej — wbrew sobie samemu — ogarniające mnie skrupuły, gdy przydział mieszkania przyspieszył moją zasadniczą rozmowę z Anną. Bo miałem wreszcie widoki na samodzielne mieszkanie, co było dużym wydarzeniem w moim życiu i w moich planach z Anną.

— Anno, żeni nas spółdzielnia — roześmiałem się, zawiadamiając ją o nowinie; w sprawach osobistych nie byłem zbyt zaradny, a i niezbyt dbały, więc nie interesowałem się dotychczas warunkami otrzymania odpowiedniej ilości izb. Wpłaciłem na spółdzielcze własnościowe — bo okres oczekiwania był krótszy niż w spółdzielni lokatorskiej — wymagany fundusz na dwa pokoje z kuchnią i przestałem się tym zajmować.

Nasz szef niestrudzenie zabiegał o maksymalne skrócenie czasu oczekiwania i rzeczywiście po dwóch latach — a nie po pięciu — wydarł od spółdzielni kilka lokali; należało natychmiast je brać. Byłem gotów, tylko nie miałem zielonego pojęcia o p o d k ł a d k a c h .

— A — zaświadczenie o zajmowanym stanowisku, be — poświęcenie przez ADM, jaki metraż zwalnia, ce — akt ślubu! — uświadomiła mnie urzędniczka. To był warunek otrzymania przeze mnie dwóch izb.

— Dopiero się ożenię... — rzekłem naiwnie; oświadczyła

tonem kategorycznym, że nie mogę liczyć na dwie izby bez przedłożenia aktu ślubu.

— Każdy byłby taki mądry, he, he — kolega tamtej zza biurka podsumował mnie po chamsku i jednoznacznie; poczułem się parszywie. Byłem prokuratorem, moje słowo ważyło na ludzkich losach, a nie miało żadnego znaczenia tutaj, w sprawie kilku metrów powierzchni. Moje zawiadomienie o małżeństwie, bez odpowiedniego papierka, stawało się deklaracją śmieszną, wręcz podejrzaną; traktowano mnie bez żenady, jak oszusta, starającego się wyłudzić, i to w sposób żałośnie frajerski, dodatkowe metry powierzchni.

— Ślub? — zawahała się Anna i wypaliła to, co okazało się, już od dawna ją nurtowało. — Tak, ale natychmiast pozbędziesz się tego chłopca!

— Chłopiec zostanie z nami — podrażnił mnie jej ton.

— Zupełnie zwariowałeś! — przecież znałem ją, więc jak mogłem przypuszczać, że ona wielkodusznie na to przystanie? I dziwna rzecz, przecież już przedtem widziałem wszystkie jej wady, no, może niepełnie wszystkie, ale widziałem i jakby nie widziałem. Bagatelizowałem je, niektóre wydawały mi się nawet pociągające, inne tylko zabawne, ale teraz zobaczyłem Annę ostro i bardzo krytycznie.

Nie dała mi dojść do głosu, nawet nie chciała wysłuchać moich racji.

— Boże! To straszne, ty jesteś niebezpieczny maniak! — pieniała się moja dziewczyna, która nie pragnęła samodzielności, a studia ukończyła tylko dlatego, aby być na poziomie.

— Oddałabym prawa wyborcze i wszystkie babskie

zdobył od czasów sufrażystek za dobre i wygodne życie — powtarzała często i bardzo głośno; brałem to dotychczas za pozę, ale teraz z przerażeniem uświadomiłem sobie, że to nie poza, a program! Miałem przed sobą współczesną drobno-mieszczankę.

Ona nie pozwoli mi na te kretyńskie gesty, ba! Nie mam prawa zaniżyć n a s z e g o standardu. Judymowie się nie żenią! Do końca tej żenującej i przygnębiającej rozmowy była przekonana, że ja nade wszystko pragnę się z nią ożenić, i silna tym przekonaniem dyktowała mi warunki. Wymachiwała nade mną maczugą. Dawałem jej mówić, chciałem do końca poznać, czego przez ten przypadek udało mi się uniknąć, więc ją, nawet trochę podbechtywałem.

— ...i na ten nędzny metraż chcesz brać tego przybłądę z ulicy, jakiegoś małego kryminalistę! Bój się Boga, przecież on nas jeszcze powyrzyna... My się będziemy gnieździć, a on się będzie panoszył! — zdumiewała mnie coraz bardziej; dwa n ę d z n e pokoiki, wymawiała mi dziewczyna, która całe życie przeżyła w pokoju z kuchnią w cztery osoby, wraz z rodzicami i bratem.

— ...mam zaczynać od podcierania jakiegoś wałkonka! — ustawiała mnie, księżycowego kochanka, który przez trzy lata nie rozpoznawał w niej małej sklepikarki. Skóra mi cierpła na myśl, w co omal się nie wpakowałem.

— ...mam po nim sprzątać, może mu gotować! — to wiedziałem, była leniwa jak odaliska, wszystko robiła za nią matka. — Nie po to chcę wyjść za mąż... — po raz pierwszy usłyszałem, czego oczekuje od męża.

I tak pojawienie się chłopca wpłynęło na rozpadnięcie się naszego związku z Anną; za jego sprawą dostrzegłem w

jednej chwili to, czego nie dostrzegałem przez blisko trzy lata.

Czy przestałem ją nagle kochać? Chyba nie, i zdaje się tęskniłem za nią i cierpiełem, lecz teraz po latach nie potrafię sobie przypomnieć ani smaku tamtej miłości, ani cierpienia — nic, popiół.

Widuję ją czasem, chyba pracuje tu gdzieś w mojej okolicy; a czas okazał się dla Anny nielitościwy. Pełna, ociężała blondynka w niczym nie przypomina tamtej wysmukłej, kształtnej dziewczyny. Nalana twarz, zgrubiałe rysy doszczętnie utraciły tamten wiosenny urok.

Szybko i niewdzięcznie zestarzała się Anna, widocznie jej ciało było tak samo marnej próby, jak i charakter.

Kiedy ją widzę, odczuwam ulgę, że nie jesteśmy razem. Cóż bym dziś począł z tym koszmarnym babskiem z miąką duszą i spokraccniałym ciałem.

Ale wtedy byłem nieszczęśliwy, zawiedziony i mocno urażony w męskiej ambicji.

A tymczasem Piotr, wręcz podejrzanie spokojny w prokuraturze, odbijał sobie na naszych współlokatorach; toczył ostre, bezpardonowe utarczki z moimi sąsiadami. Wystarczyło, aby na chwilę wszedł do kuchni lub do łazienki albo tylko na korytarz, a natychmiast wybuchał konflikt; Piotr nie miał poszanowania dla cudzej własności. Nie, nie kradł. Ale skorzystanie z sąsiedzkiej miotły, ścierki, proszku do szorowania, pożyczenie sobie herbaty, cukru, chleba, bez pytania właścicieli, jeśli akurat zapomnieliśmy kupić, nie stanowiło dlań najmniejszego problemu.

Tym bardziej szokowało to ludzi zamieszkających w naszej wielkiej mieszkaniowej wspólnotcie, że dotychczas stosunki

między nami układały się poprawnie i nie zdarzyło się, aby ktoś tknął przedmiot należący do drugiego. Reagowali na te obyczaje nerwowo, podniesionymi głosami, surowo. Piotr nie zostawał dłużny, na ich jedno słowo miał dziesięć, i to w żadnym razie nie zaczerpniętych ze słownika poprawnej polszczyzny; z upodobaniem posługiwał się slangiem, zwrotami z grypsery.

— Zamknij rylak, stara parowo! — Piotr odszczekiwał się emerytowanej, a nader dystyngowanej nauczycielce muzyki, gdy nadbiegłem z interwencją.

Stara pani stała pobladła, wpatrzona w rozwścieczonego Piotra jak w miotającą się kobrę.

— Piotr, już ani słowa! — krzyknąłem. — Co się stało?

— Kręcicę pies jej ściągnął, a ona mi od złodziei! — zamruczał Piotr; na mój widok stara dama odzyskała mowę.

Tygrys porwał, a może Piotr mu dał, tego nigdy nie doszedłem, kielbasę przygotowaną przez nauczycielkę i położoną na talerzyku, a ten z kolei umieszczony był na tacy i postawiony na bufecie w naszej olbrzymiej kuchni. I ta dama, będąca przez lat trzydzieści przecież pedagogiem, nie zdobyła się na nic innego, tylko na epitet.

Przeprosiłem sąsiadkę, wydobyłem ekwiwalent zżartej kielbasy ze swojej lodówki; Piotr obserwował moje dyplomatyczne zabiegi spode łba, z bezczelnym uśmiechem, a ten nie odstępujący go czworonóg miał równie cyniczny wyraz pyska w tej chwili wręcz nienawidziłem ich obu.



— Ależ nie w tym rzecz! — nauczycielka nie chciała przyjąć ode mnie serdelków, jako osobie subtelnej chodziło jej tylko o reakcję małego barbarzyńcy na zwróconą mu uwagę.

— On mnie powinien przeprosić — wyłuszczyła sedno swoich wymagań. I stała oczekując, abym rzucił małego na kolana.

Piotr łypnął na mnie ponuro, udałem, że nie zwracam na niego uwagi; nie kazałem mu przeproszać starej pani, i nie dlatego, abym uważał jej wymagania za przesadne, oczywiście obraził ją. Ale on był w nastroju, w którym dałby się zabić, udusić, a nie zadośćuczynić temu żądaniu. A już tyle wiedziałem, aby nie wydawać poleceń, których nie wyegzekwuję. Tak to startowałem na ciernistej drodze pedagoga, a zachowanie Piotra w żadnej mierze nie ułatwiało mi życia.

Przeniosłem miskę psa do pokoju i wydałem chłopcu kategoryczny zakaz wpuszczania kundla do kuchni pod jakimkolwiek pozorem.

— I dlaczego znowu zrobiłeś mi takie świństwo? — byłem zły.

— Ja do pana nic nie mam, chociaż to pan wsadził mego starego do pierdła — wyjaśnił łaskawie.

— Dlaczego jak wściekły rzucasz się na ludzi? — było coś masochistycznego w jego konfliktach z otoczeniem; z premedytacją prowokował i rozdrażniał ludzi, atakował ich, przeważnie nie mając racji, wiedząc, że narazi się na nieuniknione kłopoty, była w tym także głęboka nienawiść do innych. Omijał tylko mnie, nie okazując jawnej wrogości, ale także ani cienia sympatii. Cóż mu zresztą dałem? Trochę litości, przejściowy dach nad głową, pozostawiając w niepewności jutra.

— Odnalazłem i oddałem ci psa — wypomniałem z całą świadomością, chcąc wygrać ten jedyny mój atut.

— Jeszcze mi będzie gorzej... — podniósł na mnie te zgaszone stare oczy i kulawo, nieskładnie wyłożył mi swoją fatalistyczną filozofię oraz życiowe doświadczenie pozbierane z zakazanych podwórek i innych śmietników; nie przywiązywać się do nikogo i niczego, bo wówczas rozstanie jest okrutnie ciężkie, zabójcze. Miał ojca i go utracił, ma psa, ale też mu go zabiorą.

Zrozumiałem; on przez te, wszystkie dni, które urosły już w tygodnie, wciąż oczekiwał r o z s t a n i a , drżał i cierpiał, bo w każdej niemal minucie tych nieznośnych tygodni u mnie przeżywał rozstanie! Ostateczne i nieodwołalne rozstanie z psem, jedyną istotą, którą niebacznie pokochał, do której niepotrzebnie się przywiązał i która mu pozostała. I ta świadomość nieuchronnej rozłąki utwierdzała go w przekonaniu nieprzywiązywania się już nigdy i do nikogo.

Przeciwko moim sąsiadom nie miał nic więcej niż przeciwko innym ludziom. Ale te awantury to był sposób, aby mnie zmusić do postanowienia czegoś o jego losie. Jeśli ma być rozdzielony z psem, a co do tego nie miał żadnych złudzeń, to niech to się stanie możliwie szybko.

— To jak śmierć na raty...

Pomyślałem o moich starszuchach, o moich przybranych rodzicach, bo mój rodzony ojciec z obozu już nie wrócił; oni nie zastanawiali się wtedy, co ze mną zrobić, gdy męczonemu potwornymi torsjami poili gorącym mlekiem rozcieńczonym wodą, gdy ściągali ze mnie zawszone łąchy, opatrywali moje odrażające rany powstałe z awitaminozy i niedożywienia; a

przecież u nich nie przelewało się, sami wówczas z trudem zdobywali dla siebie żywność.

Nadeszła pora, abym zwrócił l u d z i o m to, czym obdarowali mnie spontanicznie i bez namysłu. Tego, co otrzymałem, nie mogę oddać moim przybranym rodzicom, ale mogę i powinienem zwrócić temu chłopcu! Sam los upomniał się o zaciągnięty przed laty dług i postawił na mojej drodze dziecko!

Już się nie wahałem.

— Chcesz zostać u mnie, Piotr? — czułem, że popełniam szaleństwo, przygarniając tego małego troglodytę i jego jaskiniowego psa, ale wszystko, co uczynili dla mnie moi przybrani rodzice, a uczynili to, czym jestem dzisiaj, popychało mnie w kierunku tej cholernej pary.

— Z Tygrysem? — spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Z Tygrysem — kundel leżał przy małym, spał z pyskiem ułożonym na łapach; na dźwięk swego imienia uniósł jedno ucho, leniwie drgnęły mu powieki, bursztynowe szparki spojrzały na chłopca, a potem przeniosły się na mnie.

— Zostaniemy razem, piesku — Piotr runął obok niego, przytulił się do jego płowego futra i rozpłakał się straszonym, bezgłośnym płaczem; do mnie nie powiedział nic. Najważniejsze dla niego było pozostać razem z psem, obojętnie, gdzie i u kogo, do mnie nie żywił wówczas żadnych uczuć i nie przyszło mu do głowy, aby cokolwiek udawać.

I wtedy zdecydowałem się na mieszkanie takie, jakie dawano mi jako człowiekowi samotnemu; nie miałem już najmniejszej ochoty podejmować starań, aby wzięto pod uwagę chłopca, a do reszty zniechęciły mnie do tego komentarze

„czynnika społecznego” naszego urzędu.

— Jak będzie dokument o adopcji... — sam fakt istnienia małego nic nie znaczył. Liczył się dokument.

Piotr czuł, że przeżywam jakiś impas, bo już z horyzontu zniknęła Anna, a ja bywałem poirytowany i ponury, ale nie pytał o nic, mówił mało, właściwie tylko odpowiadał na pytania, jednak coraz częściej czułem na sobie jego s t a r e spoj-  
rzenie, Ten wyraz oczu miewa do dzisiaj, jeśli chce coś zba-  
dać, jeśli coś go dręczy.

W ciągu kwartału otrzymałem mieszkanie; według zaj-  
mowanego stanowiska i tytułu i tak należały mi się dwa poko-  
je, ale nie miałem jeszcze dyplomu, a na stanowisku, jakie  
zajmowałem, doktorat był warunkiem. Więc niby należały mi  
się dwa pokoje i nie należały.

Salomonowo-administracyjnym werdyktem rozstrzygnię-  
to ten dylemat pół na pół, więc otrzymałem jednak dwa poko-  
je, ale niezupełnie dwa. Jeden miał osiemnaście metrów i  
widocznie ten przyznano Bielskiemu prokuratorowi, a drugi  
liczył metrów sześć i ten przypadł Bielskiemu nie ukończo-  
nemu doktorowi.

Wówczas normy oszczędnościowe sięgnęły już granic ab-  
surdu, zaś moje mieszkanie zbudowano właśnie według tych  
norm, a ponieważ wykonawcy zmieścili w nich jeszcze zwy-  
czajne niechlujstwo i ordynarne kanty na materiałach budow-  
lanych, to wyprawa sufitów sypała się wprost do talerzy,  
wszelkie instalacje biegły spartańsko na zewnątrz chropa-  
wych ścian, jedna bateria wodna z ruchomym kranem długim  
i zakręconym, jak słoniowa trąba, miała obsługiwać zarówno  
umywalkę, jak i wannę. Nie obsługiwała niczego, owszem,  
najsukuteczniej podłogę, bo nie sięgała ani nad zlew, ani nad  
wannę.

Natomiast płytki PCW miast parkietu, w kolorze smutnego

betonu w jednym pokoju, a w dzikich kolorach, atakujących oczy w drugim, musiała projektować spółka daltonistów z melancholikami. Za to kuchnia miała okno, co wówczas nie wydawało mi się jakimś szczególnym dobrodziejstwem, dopóki nie przekonałem się, co się w tej dziupli dzieje, gdy Piotr piecze kiełbasę na rożnie, sporządzonym z drutu, do czego wykorzystywany bywał rozgięty metalowy wieszak na ubranie...

— Kiedy będę mógł go pochować? — lekko schrypnięty głos Piotra przywołał mnie do teraźniejszości; to JA powiedział z naciskiem, jakby chciał uprzędzić wszelką moją pomoc i zaakcentować swoją powinność względem nieżyjącego ojca.

— Dwa, trzy dni... — wyszliśmy z tego wyiębionego hangaru, a listopadowy wiatr wydał się miły po tamtym martwym chłodziu. Odprowadzałem Piotra w stronę wyjścia.

Pod pawilonem neurochirurgii niemal zderzyłem się ze znajomym z komendy stołecznej.

— Karol, kroi się nam niebywała sprawa — pracował w wydziale kryminalnym, przeważnie ja nadzorowałem jego dochodzenia.

— Ciężki kaliber? — zajmował się zabójstwami, napadami i w ogóle przestępstwami przeciwko zdrowiu i życiu.

— Chyba uprowadzenie... Profesor Borowicz znikł wraz z córką i gospodynią.

— Joanna Borowicz to jego córka? — zainteresował się Piotr.

— Córka, bo co? — nastroszył się tamten.

— Nic, pracuje w Palmie... Tak się nazywa studencka służba zdrowia — odpowiedział Piotr.

— Pan ją zna? — nagle Piotr stał się dla oficera bardzo zajmujący.

— Przyjmuje w Palmie cztery godziny w tygodniu — mruknął chłopiec.

Zniknięcie profesorskiej rodziny poruszyło w klinice wszystkich; na sali sekcyjnej czekano już na mnie i z punktu rzuciła się na mnie laborantka. Znaliśmy się od lat, należała do zespołu zakładu medycyny sądowej. Znakomita specjalistka, stara, brzydka, afektowana.

— I cóż prokuratura na tę bezprzykładną zbrodnię.. — ruszyła do ataku.

— Ubolewa — wkładałem fartuch.

— Godna podziwu pogoda ducha... Będą nas porywać, mordować, gwałcić...

— Pani to nie grozi — wybił ją brutalnie z transu doktor i do mnie: — Czego szukamy, panie prokuratorze? — na jego gest sanitariusz usunął prześcieradło ze zwłok Franciszka Arpada.

— Obrażeń, które mogły spowodować śmierć, zanim znalazł się pod pociągiem.

— Podejrzewa pan morderstwo?

— Tak. Interesują mnie także: zawał, nadużycie alkoholu, wszystko, co mogło spowodować omdlenie... Może narkotyk?

Bielski chwycił się tego kluczyka jak czort za cyrograf. Mały lord! psiakrew. Wiele bym dał, aby odnaleźć to świństwo.

Zlekceważyłem oględziny chevroleta i nie mogę mieć

pretensji do młodego technika, jeśli ja, stary praktyk — dwadzieścia pięć lat w służbie śledczej — potraktowałem je formalnie. Może to symptom, że czas się wycofać? Szachy, brydż, żagle, w zimie narty — życie bez zegarka i terminarza, wyznaczone rytmem pór roku.

A kluczyka nie odnaleźliśmy i albo rdzewieje gdzieś, wdeptany w zbocze, albo — zgodnie z teorią Bielskiego — zabrał go morderca. Bo Franciszek Arpad został zamordowany.

Tę hipotezę potwierdziła sekcja zwłok; we krwi zabitego wykryto, oprócz alkoholu, obecność silnego środka nasennego. Zatem można przyjąć za pewnik, że w zatrzymanym na przejeździe wozie Franciszek Arpad spał; ktoś przywiózł go na miejsce i porzucił na torach, z zamysłem pozbawienia życia.

I jeszcze jedno: Arpad sprawcę znał, powierzył mu kierownicę swego wozu, prawdopodobnie wsiadł do niego do browolnie. Albo: śpiącego już Arpada umieszczono w samochodzie po napojeniu go alkoholem spreparowanym ze środkiem usypiającym. Niewykluczone.

Tak czy owak, zanim podjąłem dalsze czynności, musiałem sięgnąć do sprawy sprzed lat dziesięciu; wówczas obijała mi się o uszy, bo w ogóle była to sprawa głośna, ale bezpośredniego udziału w śledztwie nie brałem.

Teraz, gdy otrzepałem z kurzu archiwów akta sądowe i nasze materiały operacyjne, zaraz na pierwszych stronicach natknąłem się w nich na nazwisko prokuratora Bielskiego.

— Miałem opory, czy brać sprawę śmierci Arpada... — powiedział mi, gdy go zawiadomiłem o nieodnalezieniu kluczyka; oczywiście ze względów osobistych mógł się wycofać z tego śledztwa, a może właśnie te względy przeważały i

zdecydowały o podjęciu przez niego sprawy, do której życie po dziesięcioletnim antrakcie dopisało dalsza ciąg. I podzielił się ze mną wieloma szczegółami — zdumiewająco je pamiętał — których próżno bym szukał w pozólkłych dokumentach.

Od kilku już dobrych lat spotykałem się z Bielskim przy różnych okazjach — często na niasiadówkach wysokiego szczebla, ale nigdy nie zdarzyło mi się pracować z nim bezpośrednio.

Miałem go za wytrawnego prawnika, znakomitego mówcę, potrafiącego w sposób rzeczowy, daleki od demagogii, lecz bardzo sugestywny, narzucić swój, punkt widzenia innym. Znał swą wartość, może aż nazbyt, wydawał mi się zarozumiały, działał na nerwy.

Przywykłem do prokuratorów podpisujących nakazy rewizji czy aresztowania i czekających cierpliwie, aż milicja zakończy czynności przygotowawcze, formalnie nadzorujących przebieg milicyjnego dochodzenia. Wygodni to byli partnerzy! Natomiast jego styl pracy nieco mnie uwierał, bo on wtrącał się do wszystkiego i o wszystkim chciał wiedzieć na bieżąco. Cóż, był w swoim prawie! Ale do tego drażnił mnie jego sposób bycia, szczególnie wówczas, gdy przybierał tony zwierzchnika.

I dopiero teraz, słuchając go, jak mówił o tamtych wydarzeniach, dostrzegłem w nim oprócz wysokiego i nieco apodyktycznego urzędnika wymiaru sprawiedliwości — człowieka. Porządne faceta, którego nie wystudził jeszcze czas ani sprawowana funkcja, i nabrałem do niego przekonania.

Jego relacja uzupełniła żywą treścią materiał zawarty w pozólkłych ze starości aktach. Zrozumiałem, dlaczego Bielski nie żądał żadnego streszczenia sprawy...



Tamtego listopadowego przedpołudnia samochód zakładów przemysłowych z Międzyzlesia, wiozący z Warszawy osiem milionów na wypłatę dla załogi, nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Gdy tylko wóz skręcił z głównej szosy w drogę porośniętą z obu stron gęstym świerkowym lasem, kierowca i siedzący obok niego starszy strażnik już z daleka dostrzegli milicjanta ze wzniesionym lizakiem, a obok niego cywila z opaską.

— Kontrola drogowa — milicjant ruchem lizaka skierował zatrzymany samochód w boczną drogę, prowadzącą w głąb gęstego zagajnika.

— Konwój — wychylił się przez okno strażnik.

— Widzę — zniecierpliwiony milicjant powtórzył swój gest; wóz wolno skręcił, miękko resorując na rozsypującej się piaskowej grudzie, od strony klinkierowej drogi skrył go gąszcz choiny.

Ostre jak szczek repetowanej broni: — Wysiadać! — i jednocześnie z obu stron lufy wycelowanych pistoletów; strażnik i szofer nie mają żadnych szans na jakikolwiek manewr, wychodzą z kabiny z uniesionymi rękami. Zamknięci w pudle ambulansu drugi konwojent i kasjer z pieniędzmi nie wiedzą jeszcze, co się dzieje.

Od drogi, oddalonej zaledwie o kilkanaście metrów, dobiega odgłos przejeżdżającego samochodu; blisko, bardzo blisko, a jednocześnie nieskończenie daleko dla tych dwóch mężczyzn, czujących za plecami lufy pistoletów. I żaden z nich nie ma odwagi wykrzyknąć wezwania o pomoc.

Bandyci zabierają im broń, zapychają usta kłębami szmat, ten ubrany w mundur wyciąga strażnikowi klucze od drzwi ambulansu.

— Twarzami do ziemi — pchnięci osunęli się w kępę

choiny, kosmate łapki chłuszczą policzki, niewidoczny teraz napastnik krępuje im ręce i nogi.

Zaraz potem, tuż obok, dwa strzały jeden po drugim i odalający się chrzęst kroków, to chyba ten, który ich wiązał. Po dobrej chwili coś ciężko pada obok starszego strażnika — dyszy. Któryś z tamtych, z wnętrza wozu — myśli strażnik — ale który, kasjer Gadomski czy Arpad? Nie śmie jednak unieść głowy, tkwi niemal bez oddechu, wtulony w wyschłe poszycie z mizernego mchu i igliwia.

Kroki, kroki, szelest, trzask łamanych gałązek, odgłos zamykanych drzwiczek samochodu, ostry warkot uruchomionego motoru, potem szmer opon i rozplywający się w oddali rytm silnika. Cisza! Taka cisza, aż słysząc opadające się zeszcłe igły z drzew, a może tak tylko wydajecie leżącym obok ambulansu ludziom.

Ale nie czują już nad sobą ani obok siebie obecności tamtych. Starszy strażnik ostrożnie unosi głowę, ten trzeci obok to Arpad, a kasjer? Więc Gadomski jest tam... w mózgu świdrują jeszcze te dwa strzały... Strażnik rozgląda się czujnie — nikogo.

— Pojechali — usiłuje wychrypieć, ale z zablokowanych szmatami ust dobywa się tylko nieartykułowany szept; dusi się przy tym, łapie powietrze jak po długim, męczącym biegu.

Jego towarzysze szamoczą się, szarpią. Nie jest łatwo przekreślić się na wznak, jeśli ma się związane nogi i ręce ciasno skrępowane na plecach.

— Jak barany, powiązani jak barany... — bełkoce poprzez knebel kierowca. Grube łyzy toczą mu się po policzkach. Wszystkim łzawią oczy, zwitki szmat dławią, utrudniają oddychanie.

Najbardziej sprawny z nich Arpad, konwojent wywleczony przez bandytów z wnętrza wozu, przetacza się z boku na bok i w taki sposób posuwa się w stronę drogi. Reszta idzie za jego przykładem i tak cała trójka, pełznąc mozolnie, przedzierając się przez krzaki, dociera do klinkierowej drogi.

W dwadzieścia minut później przejeżdżający tamtędy inżynier z zakładów w Międzyzlesiu zobaczył miotającego się na środku jezdni skrępowanego człowieka w mundurze straży przemysłowej.

Kiedy już uwolnił z więzów całą trójkę i podszedł do ambulansu, zobaczył w rozwartych tylnych drzwiach wozu skrwawione, bezwładne ciało Gadomskiego.

Gdy dostarczono kasjera do szpitala kolejowego w Międzyzlesiu, jego stan uznano za beznadziejny; postrzał w głowę, przestrzelone płuco, kula przeszła na wylot, o milimetry od kręgosłupa, do tego tłuczona rana głowy.

Dzięki natychmiastowej transfuzji — ranny utracił wiele krwi — i zabiegom reanimacyjnym na razie zdołano utrzymać go na krawędzi życia.

Pozostała trójka: szofer, starszy strażnik — Jan Oskierko i Franciszek Arpad — konwojent, poza zadrapaniami nie odnieśli żadnych obrażeń.

Natychmiast po zameldowaniu o wypadku milicja wszczęła pościg. Ale od chwili ucieczki bandytów z łupem upłynęło już wtedy ponad pięćdziesiąt minut i pościg nie przyniósł nic; bandyci dysponowali wielką przewagą czasu i niewątpliwie zdążyli dotrzeć do swej kryjówki przed rozpoczęciem milicyjnej akcji.

Oprócz ośmiu milionów banda zagrabiła trzy pistolety TT; dwa zabrane u strażników i jeden u kasjera oraz automat PPSZ-a, należący do starszego strażnika.

Śledztwo prowadzone przez komendę stołeczną milicji nie dało rezultatów. Według relacji kierowcy i starszego strażnika napastników było trzech; tych dwóch, którzy zatrzymali ich pod pozorem kontroli drogowej, trzeci ich krępował. Ale jego już nie widzieli. Także nic nie mogli powiedzieć o samochodzie bandytów, ich auto było ukryte na leśnej przecince.

Co się działo po otwarciu tylnej części wozu, mógł opowiedzieć tylko Franciszek Arpad.

— ...zastawili nas pistoletami — on także widział trzech osobników — nie mieliśmy żadnej możliwości obrony... — usprawiedliwiał siebie i kasjera.

— Gadomski też nie próbował się bronić? — Nie. — Dlaczego więc strzelano do Gadomskiego, skoro on także się poddał?

— Ja nie widziałem, jak do niego strzelali... — Franciszka Arpada wywleczono z wozu, a Gadomski tam jeszcze został. Arpad był odwrócony tyłem do wozu, gdy padły strzały. I zaraz go prowadzono w kierunku uprzednio sterroryzowanych i leżących na ziemi kolegów. Oskierko to potwierdził; usłyszał strzał i zaraz potem upadł obok niego ciężko dyszący człowiek, to był Arpad.

Ale dlaczego bandyci strzelali do Gadomskiego, skoro starali się rozegrać tę akcję bezkrwawo, mając już wówczas przewagę liczebną i pewność sukcesu? Gdyby usiłował się bronić, to zrozumiałe, ale Arpad z całą stanowczością zaprzecza, żaden z nich dwóch nie zdążył nawet sięgnąć po broń. Więc jeśli nie ten powód, to co? Usunięcie niebezpiecznego świadka?

Dlaczego właśnie kasjer Gadomski miał być dla rabusiów najniebezpieczniejszy z całej czwórki, tak niebezpieczny,

że musiał zginąć? Wspólnik, którego postanowiono usunąć, zbyt wiele wiedział?

A więc Gadomski: bestialsko napadnięty i podejrzany...

— Starczyło dać znać bandzie, o której ruszają... — medytował major prowadzący sprawę; uległ, skuszony perspektywą wielkich pieniędzy za tak niewielką zdawałoby się przysługę. Czy naprawdę uczciwość człowieka można kupić za pieniądze? Swą zgodą na współudział w rabunku wydał na siebie wyrok śmierci, banda nie mogła pozostawić go przy życiu, właśnie jego należało usunąć, był j e d y n y m człowiekiem spoza bandy, który w i e d z i a ł.

A więc jest wspólnik bandy, który coś wie, bo dzięki staraniom lekarzy Gadomski żyje i jak się okazuje, będzie żył, wie o tym oprócz lekarzy tylko prowadzący sprawę.

Ale tę klarowną koncepcję psuje majorowi jeden niejasny szczegół. Strzały do Gadomskiego — w głowę, klatkę piersiową — rzecz zrozumiała; tak się zabija człowieka. Lecz to uderzenie w czaszkę z tyłu głowy, tuż nad potylicą, zadane tępy m narzędziem? Może nawet kolbą pistoletu.

Dlaczego bili go? Oczywiście to bezwzględni bandyci i major nie dziwiłby się, ale skoro postanowili go zabić, to najskuteczniejszy jest strzał. Przy tym zależało im na czasie; wiadomo było na podstawie zeznań świadków, jak oni cenili czas. Cała akcja, od chwili sprowadzenia ambulansu w zagajnik, rozegrana została błyskawicznie — trwała niewiele ponad cztery minuty! Więc dlaczego ten cios w tył głowy, jeśli mogli od razu strzelać?

Gdy kasjer Gadomski ciągle jeszcze pozbawiony świadomości walczył ze śmiercią, milicja sobie tylko znanymi drogami operacyjnymi usiłowała trafić na ślad bandy. Więc pod światło recydywę i ludzi z marginesu społecznego.

A skąd rabuś miał mundur milicyjny?

Sprawdzono w garnizonie warszawskim i wojewódzkim; nie, nikt nie sprzedał, nikt nie wypożyczył. Ale jest! Dwa miesiące przed napadem zostało okradzione mieszkanie sierżanta milicji, dowódcy plutonu z Gołędzinowa; między innymi skradziony został komplet umundurowania. Przygoda dotychczas pikantna, z której śmieli się koledzy, nabrała nagle wcale nie zabawnej wymowy, pointa była tragiczna.

Sierżant, jak każdy obywatel, zameldował o wypadku w jednostce właściwej terytorialnie, w miejscu swego zamieszkania. Jednak skradzionych rzeczy nie odnaleziono, chociaż dzielnica wzięła sobie na kieł tę sprawę od samego początku — wręcz kwestia prestiżu!

Teraz ta niewielkiej rangi sprawa nabrała nagle wyjątkowego znaczenia. Bazary zarożyły się od tajnej służby, wywiadowcy obojga płci i wszelakiego wieku szukali nabywcy podoficerskich sortów; ciężkie czasy nastały dla facetów parających się paserstwem, zaludniły się milicyjne areszty. Niejeden trafiał do pudła, bo przy okazji nakryto łupy z innych kradzieży.

Popłoch wśród mętów i szumowin — telegraf bez drutu biegł z szybkością światła z jednego krańca miasta na drugi: nalot... obława... rewizja... Siekierki, Wilanów, Okęcie... Areszt... pudło, sak!

Lumpy przycupnęły po domach, melinach, metach; każdy ze starannie spreparowanym i jak brylant czystym życiorysem na tamten fatalny dzień.

Nie natrafiono jednak ani na złodziej, ani na nabywcę kradzionego munduru. A logiczna wersja, ułożona przez majora na temat roli Gadomskiego w przygotowaniu napadu, przysła w dniu, w którym kasjer po raz pierwszy odzyskał przytomność.

Tę wiadomość zamieściła popołudniowa prasa i tego samego wieczoru znikł Franciszek Arpad, chociaż obciążające go zeznania Gadomski mógł złożyć dopiero po kilku dniach rekonwalescencji.

Inaczej przedstawił wydarzenia, jakie rozegrały się po otwarciu przez bandytów drzwi ambulansu, aniżeli te, które podał Arpad.

Zanim Gadomski zdążył się zorientować, co się dzieje, w gwałtownie rozwartych drzwiach ambulansu zobaczył człowieka w milicyjnym mundurze z wycelowanym pistoletem w rękę. Ten mundur zdezorientował na moment kasjera i to przesądziło o jego losie; już w sekundę potem rozumiał, że to napad, i sięgnął po pistolet; wszystko toczyło się błyskawicznie, a Gadomski, podoficer rezerwy, ma znakomity refleks — należy do sekcji strzeleckiej WKS Legia — i nie wiadomo, jak by się to starcie skończyło, ale otrzymał cios w tył głowy, po którym stracił przytomność; odzyskał ją dopiero teraz, w szpitalu, na tej sali.

Ostatnim szczegółem, który Gadomski zarejestrował, był cień uniesionej do ciosu ręki Arpada, tylko Arpad stał za nim, tylko on mógł go uderzyć.

Młody prokurator, nadzorujący śledztwo, Karol Bielski, wysłała za Franciszkiem Arpadem list gończy; strażnik zostaje ujęty w trzy tygodnie po ucieczce, w Bieszczadach, gdzie przyczał się wśród drwali, pracujących przy wyrębie lasu.

Rewizja w domu, u znajomych, bliższej i dalszej rodziny, nie ujawnia nic kompromitującego; broni ani skradzionych pieniędzy. Skonfrontowany z Gadomskim Arpad przyznaje się natychmiast: tak, to on uderzył kasjera rękąjścią służbowego pistoletu. Zrobił to, aby nie dopuścić do strzelaniny, wówczas bowiem tamci zabiliby ich obu. Nie mieli żadnych szans w walce z bandytami, którzy trzymali ich na muszce swych pistoletów.

— Gdybym był w zmowie z bandą, mógłbym go przecież zastrzelić — bronił się Arpad. Oczywiście, to był ważki argument.

Uciekł na wieść o odzyskaniu przytomności przez Gadomskiego, bo bał się aresztowania; kasjer z pewnością zorientował się, skąd padł cios.

W przesłuchaniu Gadomskiego, Oskierki i kierowcy ambulansu odtworzono wszystkie czynności konwoju od chwili wydelegowania ich z zakładu; kasjer i starszy strażnik teraz dopiero przypomnieli sobie, że Arpad, tuż przed wyruszeniem z banku w powrotną drogę, na moment im się zawieruszył. Nawet nie to, oni pośpieszyli naprzód, a on zatrzymał się w hallu bankowym i dołączył do nich już przy wozie, dopiero po chwili.

Wówczas nie zwrócili na to uwagi, ale teraz zgodnie wydobywają ten moment z pamięci. A może zasugerowani aresztowaniem Arpada teraz podświadomie doszukują się czegoś, co się nie zdarzyło?

Major z prokuratorem organizują w banku wizję lokalną z udziałem całej czwórki i odtwarzają wszystkie ich czynności z tamtego dnia aż do odjazdu z pieniędzmi.

Kiedy Franciszek Arpad w towarzystwie prokuratora przemierzał hall banku tą samą trasą, którą odbył wówczas, na chwilę zatrzymał go idący obok major. Chodziło tylko o



zarejestrowanie, że obok na ścianie zainstalowany był zwykły automat telefoniczny.

Zaraz po powrocie z wizji major natarł na Arpada ostro, uderzył na ślepo.

— Z tego aparatu nadał pan wiadomość o wyjeździe konwoju, tak? — major nie patrzył na niego, tylko w papiery, a Arpad dostrzegł, jak ta teczka, cienka kilka dni temu, teraz zgrubiała, a oprócz niej przybyły jeszcze dwie, leżą jedna na drugiej, w szarych, mocnych okładkach. Na wierzchu kaligraficznym pismem oznaczono sygnaturę i napis: Franciszek Arpad i I... — z drugiego słowa widoczna była tylko ta pierwsza litera, właśnie to: I, przysłonięte niedbale porzuconym notesem majora.

— Co pana tak interesuje? — major przyłapał jego spojrzenie. — Ach, to! — odsunął notatnik i zademonstrował zatrzymanemu napis na teczce:

#### FRANCISZEK ARPAD I INNI

Arpad przeczytał, jednak nie powiedział nic, ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy i major zwątpił, czy ten drobny bluff pomoże mu skruszyć tego człowieka i skłonić do wyjaśnień, bo przecież nie miał tymczasem żadnych INNYCH, był tylko ten jeden: Franciszek Arpad, twardy, nieustępliwy, osłaniający współników. Major nie miał co do tego wątpliwości, brak mu jednak było dowodów.

A Arpad cofał się w obojętność jak ślimak w skorupę, potem nagle załamał się i powiedział:

— Ciężko jest pożegnać się z dobrym imieniem, nie wiem, co mnie opętało... — spogląda na majora, jakby oczekiwał zachęty czy jakiegoś pomocniczego pytania, ale major ma twarz pokerzysty, czeka.

— Dałem się namówić... — wydziera z siebie Arpad i niemo wskazuje w stronę akt, jak gdyby zrozumiał, że tam już jest wszystko. — Ja ich nie znam — jąka dalej — pewno chcą mnie teraz pogrążyć, zrobić kozła...

Uwierzył w ten bluff, wierzył, że milicja zatrzymała jego kamratów, i sądzi, że go sypią? Zrzucają na niego odpowiedzialność, więc broni się, on był tylko pionkiem, bierką.

— Kontakt miałem tylko z jednym z nich... Kontakt! Wiedziałem go dwa razy w życiu, a po raz trzeci i ostatni podczas napadu. Po raz pierwszy zaczepił mnie ten człowiek w barze Zodiak... — tamten, widocznie zainteresowany mundurem strażnika, zagadał do niego, ot tak, o niczym. Sączyli piwo i pogadywali. Potem wyszli razem i na odchodnym nowy znajomy rzucił od niechcienia:

— Chce pan zarobić dwieście tysięcy?

— Kto by nie chciał — miał odpowiedzieć Arpad tym samym tonem.

— To przyjdź pan — nieznajomy wymienił jakiś dzień — do Oazy na Targowej, strzelimy fulajta, pogadamy... — właśnie tak wymawiał nazwę tego piwa: fulajt.

Poszedł do tej knajpy. Dlaczego poszedł? Nie umie wytłumaczyć. A nieznajomy zaproponował mu bez wstępów:

— Dasz pan telefonicznie głos przed wyjazdem z banku, leci dwieście tysięcy, leci prawie za nic... Krwi nie będzie, gwarantuję. Żadnej pukaniny, czysto, elegancko. Tylko sposobem, panie kolego, a nie na chama!

Uległ pokusie. Naszło to na niego jak opętanie, nagle! Bo rozstając się z tamtym w Oazie, wprawdzie nie odmówił, ale i nie wyraził zgody. Jednak zadzwonił! Zapamiętał

wymieniony przez tamtego numer telefonu, chociaż go nie zapisał. Ten numer tkwił w nim utajony, z pozoru zapomniany.

— Jakby już było mi pisane wplątać się...

Połączył się natychmiast. Wystarczyło przecież, aby numer był zajęty i musiałby zaniechać dalszych prób, bo nie mógł sobie pozwolić, aby zwrócono na niego uwagę. W tej pracy człowiek jest ciągle pod kontrolą i trudno się dziwić, skoro wciąż w jego zasięgu są tak olbrzymie sumy.

— Z kim pan chce mówić? — odezwał się jakiś starczy głos.

— Poproszę pana Leona — takie mu nieznajomy podał hasło.

— Leon, słucham... — zgłosił się natychmiast po tamtej stronie męski głos, ale różnił się od tego, który pierwszy podjął telefon, i w niczym nie przypominał głosu nieznajomego, który go zwerbował.

— Ruszamy za pięć minut... — powiedział Arpad i odłożył słuchawkę, nie był pewien, czy tamten zrozumiał, i nie wierzył w możliwość zorganizowania akcji w tak krótkim czasie, nawet jeśli tamci byli w jakiś sposób do napadu przygotowani.

Gdy spostrzegł, jak wóz zjeżdża z drogi, a później hamuje, zrozumiał, co to znaczy. Czekał na strzały, bo teraz zwątpił w przyrzeczenie tamtego, ale nie usłyszał ich; poczuł coś jak gdyby wdzięczność do bandytów, toteż gdy po otwarciu drzwi ambulansu Gadomski chwycił za pistolet, Arpad musiał unieszkodliwić go, nie gwoli okazania pomocy rabusiom, tylko z przerażenia, aby ich nie wystrzelali w tym pudle, z którego było tylko jedno wyjście, wprost na lufy pistoletów napastników.

I jeszcze jedno: mężczyzna w mundurze milicjanta to był ten sam, który namówił Arpada.

Gdzie miał otrzymać przyrzeczoną część łupu?

Ten sam mężczyzna powinien się być do niego zgłosić po tygodniu, ale nikt się nie pokazał ani po tygodniu, ani przez te trzy miesiące, jakie upłynęły do chwili jego aresztowania. Wykorzystali go, a potem wystawili do wiatru. Cud, że darowali życie, pewno wydał im się niegroźny.

Numer telefonu, zapamiętany przez Arpada, okazał się numerem popularnej kawiarni przy placu Trzech Krzyży; ulubione miejsce spotkań dziennikarzy z pobliskich redakcji i pracowników urzędu kontroli prasy.

Lokal zawsze pełny po brzegi, gwarny, ciasny i miły; aparat telefoniczny znajdował się w nieprawdopodobnie miniaturowej szatni, gdzie jeszcze dało się wcisnąć lożę portiera. Szatniarz, stary człowiek, emeryt o nieposzlakowanej opinii, wołał do telefonu każdego, kogo poproszono. Większość bywalców znał z imienia i nazwiska, jeśli nie znał, także prosił, wołając na całą salę: pan X czy pani Z, telefon!

Arpad twierdził, że poznaje głos portiera; ten nie przeczył. Proszono o pana Leona, to wołał, a jeśli pan Leon wówczas w lokalu był, to na pewno się zgłosił.

Ślad się roztopił, zginął — jeśli w ogóle był to jakiś ślad, a nie okrągła opowieść, utkana pewnymi drobnymi realiami, obmyślona przez Franciszka Arpada na użytek milicji.

Major i prokurator prowadzący śledztwo nie bardzo wierzyli w tę zgrzebną wersję Arpada, szczególnie w tę skrzynkę kontaktową w ludnej kawiarni.

Ponad trzy lata Franciszek Arpad pracował jako strażnik

w Międzyzlesiu i tutaj już zupełnie nie było się o co zaczepić. Opinia znakomita, sumienny, zdyscyplinowany, wręcz nieskazitelny.

Mogło być tak, jak zeznał, albo też był związany z bandą, zanim jeszcze wstąpił do służby w straży przemysłowej. A może gang zaplanował ten napad na długo przedtem i to było jednym z punktów jego realizacji. Arpad dotychczas nie karany miał wszelkie dane, aby zostać przyjętym. Może jego wspólnicy nie mieli tak uładzonych życiorysów? W każdym razie banda pozostawała nadal nierozpoznana. Ukryta, wtopiona w społeczeństwo.

Major i prokurator nadzorujący śledztwo uważali konwojenta za jednego z członków gangu, współorganizatora napadu, jednak udowodnić mu tego nie byli w stanie. Ale to, czym dysponowali, wystarczyło na ciężki wyrok.

Młody, pryncypialny prokurator domagał się piętnastu lat, sąd wymierzył Arpadowi dwanaście lat pozbawienia wolności i utratę praw obywatelskich na lat pięć.

W maju 1963 roku za Franciszkiem Arpadem zamknęła się brama zakładu karnego w Strzelcach Opolskich.

Po osądzeniu i skazaniu męża Martę Arpadową i całe jej środowisko poddano obserwacji milicji; ta kobieta wychowała się wśród szumowin Czerniakowa, stamtąd wyłowił ją Arpad. Ale od czasu małżeństwa zerwała stare przyjaźnie i wszelkie znajomości. Nie, wśród jej dawnego towarzystwa nie natrafiono na ślad ludzi, mogących mieć coś wspólnego z napadem na ambulans kombinatu w Międzyzlesiu.

To byli przeważnie przestępcy niewielkiego formatu: włamywacze mieszkaniowi, szczyry hotelowe, oszuści,

drobne rzezimieszki i przegrane dziwki, przedwcześnie zdarte w fachu. Nimi niemal codziennie zajmowała się miejscowa komenda dzielnicy.

Przez dłuższy czas, w kontekście tego rozboju, badano wszystkie wypadki bandytyzmu, a szczególnie te, gdzie sprawcy używali broni palnej. Ale ani pistolet, z którego raniono Gadomskiego, ani też broń zrabowana strażnikom i kasjerowi nie strzelała już nigdy. Potem przyszły inne ciężkie sprawy, nowe kłopoty i wokół napadu na ambulans z Międzylesia przycichło; na miejsce oficerów, którzy kiedyś zajmowali się sprawą Arpada, przyszli młodzi pracownicy, a ci niechętnie zaglądali do starych i nie wykrytych spraw.

Teraz, gdy Bielski przyczepił się do zaginionego kluczyka od samochodu — ma drań głowę na właściwym miejscu — a potem sekcja wykazała środek nasenny we krwi zabitego i stało się jasne, że to nie wypadek, a na zimno wykalkulowane zabójstwo, znów wróciło tamto pytanie sprzed ponad dziesięciu lat: co łączyło Arpada z bandą? Bo jeśli nie był doraźnie tylko zwerbowanym pomocnikiem, który udzielił informacji, a równorzędnym partnerem tamtych, to po dziesięciu latach więzienia, po dziesięciu latach konsekwentnego krycia kamratów trzymających kasę, mógł liczyć na ich rzetelność i zwrot należnej mu części łupu.

Mimo to, po zapoznaniu się z aktami napadu, podejrzewałem, że Arpad padł ofiarą współników.

— No cóż, będziemy odrabiać knoty sprzed dziesięciu lat!

— Nieudolne śledztwo? — Bielski cierpko przyjął moją uwagę.

— Operacyjnie niedopracowane, a to błąd milicji.

— Mam swój udział w tych błędach... — położył akcent na ostatnie słowo i dodał: — opiniowałem wniosek o przedterminowe zwolnienie Arpada.

Wiedziałem; w aktach znajdowała się kopia tego wniosku, przedstawionego przez administrację więzienną w Strzelcach, z jego adnotacją.

— Ale po opuszczeniu więzienia milicja powinna była się nim zainteresować — zgrabnie rzucił kamyczek na moje podwórko.

— Interesowała się, wyrywkowo — tak, odpowiednie polecenie przesłano terytorialnie właściwej komendzie i dzielnicowy, ten omnibus wszelkich służb, miał zwracać na faceta uwagę. Zwracał, co miał nie zwracać! A że ten nie pił nad miarę, nie rozrabiał w miejscach publicznych, dla sąsiadów nie był uciążliwy, typów podejrzanych nie sprowadzał i nie uskarżała się na niego dozorczyńni ani lokatorzy, więc czego się człowieka czepiać?

Gdy człowiek nabył samochód, dzielnicowy natychmiast zakomunikował o tym we właściwym wydziale, a właściwy wydział sprawdził, gdzie i za ile kupił; był to stary grat nabyty za psi grosz, pasował do jego finansowych możliwości, więc grało. A że w tego starego grata Arpad wpełchnął zupełnie nowe bebechy, to o tym już nikt nie wiedział; bo i skąd, rzecz niecodzienna — wymaga myślenia.

— Nie wykryty napad, ośmiu milionów nie odzyskano, a milicja wyrywkowo! Szczególna profilaktyka — dosiadał swego rumaka Bielski.

— Zostawmy to do referatu na naradę w generalnej — wiedziałem już, jak go przyhamować.

— Jesteśmy przy ośmiu milionach do podziału —

uśmiechnął się Bielski. — Olbrzymia suma, nawet jeśli współników było więcej niż trzech.

— Jeszcze dzisiaj można trafić na ślad takiej fortuny. W każdym razie część Arpada musiała zostać nienaruszona przez dziesięć lat, a po dziesięciu latach więziennej ascezy tym bardziej pragnął wreszcie teraz z niej korzystać.

— Ten człowiek zmienił się jednak w więzieniu — Bielski nie ukrywa, jak mu zależało na reedukacji Arpada.

— Wyzlachtetniał, bo nauczył się robić protezy? — nie wierzyłem w zbawienny wpływ kryminału. — Powiem panu, bo pan, prokuratorze, nie jest więziennym psychologiem, a tamtemu byłoby przykro. Przez te dziesięć lat Arpad wyrwał się do swoich pieniędzy, skreślał ponure dni odosobnienia, którymi płacił za tę forszę, i marzył, jak ją będzie wydawał. A jak można najszybciej i legalnie wydostać się z mamra? Przez demonstrowanie odnowy moralnej, podlizywanie się administracji, gorliwość w spełnianiu obowiązków.

— Zapewne, Strzelce nie przemieniły go w kryształ, tego nie twierdzą, ale mam nieomal pewność: Arpad już nigdy w życiu nie poszedłby na żaden rozbój. I nic tu nie ma do rzeczy resocjalizacja, jego etyka pozostała taka sama, jak była przed dziesięcioma laty, poczucie dobra i zła jak u Kalego, lecz zrodził się w nim głęboki uraz do murów, coś jak odruch warunkowy: nigdy i za nic tam nie trafić!

— Charakterniacy powiadają o takim: spisał.

— Właśnie, spisał. Czy nie dlatego pozbyli się go dawni kamraci? Może posądzali go o zdradę? Zabójstwo to ostateczność, to gruby ślad. Dlatego uciekli się do tego teraz,



skoro mogli go przecież zabić wtedy przy ambulansie?... Jednak nie rozumiem motywów, a to klucz do całej sprawy... Adoptowałem jego chłopca, a teraz załatwiłem Arpadowi egzamin, czy to mu czasem nie zaszkodziło w oczach kamratów, nie sądzi pan, pułkowniku? — mój lord serio się łamał, czy nie był mimowolną przyczyną śmierci tego, człowieka.

— Nie sądzę. Ten, kto sypie, nie składa wizyt prokuratorowi. Już dzieci wiedzą coś na ten temat, a cóż dopiero faceci, którzy potrafili drapnąć osiem milionów.

— Może nie chcieli mu oddać udziału? — zastanawiał się Bielski.

— Mało prawdopodobne, kij ma dwa końce. On swój wyrok dostał i prawie odsiedział. Dwa razy za to samo nie skazują. W każdej chwili mógłby ich zagnać za kraty, zanim zdążyliby go zabić. On straciłby swój udział, ale oni by na tym nie skorzystali, a stracić mogliby głowy. Przedawnienia nie było. Można wątpić w lojalność tych bandytów wobec kumpla, który ich nie wydał, ale trzeba wierzyć w zdrowy rozsądek i umiejtność rachunku. Po sanatorium w Strzelcach Arpad stał się dla nich świętą krową. Rozliczyli się z nim co do centa i jeszcze procent za te dziesięć lat dołożyli, w taki sposób związali go ze sobą na powrót i raz na zawsze zamknęli mu gębę. A jeśli w ich mniemaniu spisał, to najwyżej zerwali z nim wszelkie kontakty... Tu nie chodziło o pozbawienie go łupu.

— Więc dlaczego zabili?

— Pojawiły się jakieś nowe okoliczności, które w ich przeświadczeniu groziły dekonspiracją bandy.

— Jakież?

— Obaj znamy te same fakty, mamy te same przesłanki...

— drażniła mnie ta jego prokuratorska maniera podczas wspólnego dociekania istoty sprawy; korciło mnie, aby powiedzieć mu, że takie pytania z powodzeniem mogę zadawać sobie sam i żaden dwugłós nie jest mi potrzebny. — Trzeba szukać...

— Właśnie to robię... Powiedzmy, wspólnicy wypłacili mu udział, rozliczyli się z nim bez zgrzytów, a potem napili się ze starym, twardym kumplem, który poświęcił dziesięć lat życia za ich wolność i wspólny łup. A gdy usnął, odebrali pieniądze, a wspaniałego kumpla ulokowali na torach razem z jego landarą... Przecież nie znaleziono przy nim nic.

— Sto złotych drobnymi.

— Kto jedzie taki szmat za miasto z setką w kieszeni, przecież to nawet za mało na mandat.

— Zdarza się... Jeśli jednak wypłata łupu odbyła się wcześniej, to gdzie on trzymał pieniądze, w domu?

— Najprostsze rozwiązania bywają najlepsze. W takim wypadku pieniądze miałyby teraz Arpadowa. Jest motyw zabójstwa?

— Też zgrabna wersja, naturalnie, jeśli trzymał pieniądze w domu, ale w to nie wierzę już zupełnie... Prokuratorze, dajcie nakaz na sprawdzenie w Pekao.

— Tym bardziej nie wierzę, aby zdeponował je w Pekao.

— Są różne książeczki... na hasło.

— Trzeba to hasło znać.

— Pekao ma kartoteki, jak się uprą, znajdują, ale bez nakazu nie zechcą nawet gadać — ciężki był z niego facet do nakazów, ale tym razem uznał moją rację i bez dalszych sprzeciwów podpisał pełnomocnictwo.

— A jeśli on dopiero jechał po pieniądze? — Bielski z

namysłem zakręcał wieczne pióro. Nie używał długopisów, między innymi i takie szczegóły składały się na jego styl.

— Nie sądzę, aby porzucono go na, trasie do siedziby lub skrytki bankiera. Ten ślad nie prowadzi donikąd.

— A może przeniesiono go do wozu, gdy już spał?

— Synowi nie wspominał o projektowanym wyjeździe właśnie w tamtym kierunku?

— Już panu mówiłem, pułkowniku, nie!

— Będę jednak musiał z chłopcem porozmawiać, ma pan coś przeciwko temu?

— Ależ skąd! Wolę nawet, aby pan to zrobił. Ja nie chcę go wypytywać. Jak pan widzi, jestem w dość drażliwej sytuacji i dlatego poważnie się zastanawiałem nad swym udziałem w tym śledztwie.

— Kiedy pogrzeb Arpada?

— Pojutrze... Spodziewa się pan, pułkowniku, kamratów nieboszczyka w komplecie? — błado uśmiechnął się Bielski. — Arpadowa dzwoniła do mnie. Za moim pośrednictwem ofiarowywała pomoc i pieniądze Piotrowi na koszty. Chłopiec odrzucił ofertę, zajmuje się tym sam.

— Wolałbym, aby to jednak ona zajmowała się pogrzebem.

— Nie mogę mu nic sugerować, to jego osobista sprawa.

Musiałem jednak dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie. Znam jej przeszłość ze starych akt, ale jaka jest teraz, po dziesięciu latach?

Korzystając ze swoich uprawnień bez skrupułów zażyczyłem sobie kierownika służby wywiadowczej komendy miejskiej. Ceniłem sobie nie tylko jego spryt i bezbłędną intuicję w dobieraniu ludzi do tej specyficznej służby, ale przede

wszystkim umiejętność dostrzegania związków między zdarzeniami z pozoru drobnymi, wręcz nieistotnymi, a motywami i skutkami ludzkich poczynań.

— Wszystko o ludziach, którzy przyjdą na pogrzeb Arpada, oczywiście z wyłączeniem prokuratora Bielskiego.

— Pułkownik przewiduje liczny kondukt? — przeraził się lekko.

— Wolałbym liczny, ale nie przewiduję.

— W pierwszej kolejności interesuje mnie Marta Arpada, to rozpracowanie jest najpilniejsze — podkreśliłem, jakbym miał w ogóle jakiś wybór. Przecież na razie była to jedyna osoba, o którą można się było Zahaczyć. Tak czy inaczej, musiałem z nią porozmawiać; zupełny brak zainteresowania ze strony milicji wydałby się nienaturalny, nie chciałem jednak zaczepiać jej przed pogrzebem. Nie, w tym czasie nie posądzałem jej o aktualne związki z kumplami Franciszka Arpada, nie miałem ku temu żadnych przesłanek, jednak na wszelki wypadek i taką ewentualność należało brać pod uwagę. Mogła także wiedzieć o pieniądzech męża, więc musiałem uważać, aby nie wzbudzić podejrzeń zbyt natarczywym zajmowaniem się jej osobą.

Morderca upozorował wypadek, a więc przyjmijmy tę grę. Traktujmy śmierć Arpada jako wypadek. Taktycznie najlepiej będzie dochodzić przyczyn i sprawcy morderstwa w cieniu tego wielkiego dochodzenia, dla którego powołano specjalny zespół śledczy; także rozmowę z Arpadową należało utrzymać w tej konwencji.

— Trzeba wysondować opinię u niej w pracy — wywiadowca zastanawiał się, w jaki sposób, nie zdradzając się,

podpytać otoczenie Arpadowej.

— Nic pilnego — z tym rzeczywiście mogliśmy zaczekać; dopiero w razie konieczności ruszę i to źródło. Ale na razie nie. I nie tylko dlatego, aby nie dekonspirować naszego zainteresowania. Wiedziałem z doświadczenia, jak nerwowo reagowali przełożeni, gdy milicja zajmowała się ich pracownikami, zwłaszcza w handlu i gastronomii. Robili wszystko, włącznie ze świństwem, aby pozbyć się takiej kłopotliwej osoby. Nie krzywdzić! — ze zmiennym szczęściem usiłowałem przez całe życie trzymać się tej zasady.

Na pogrzeb przyszedł Piotr, Bielski, Marta Arpadowa i tylko jeszcze jedna osoba.

— ...młoda, bardzo piękna dziewczyna... — zameldował mi wywiadowca; Agnieszka Czarnota, lat siedemnaście, uczennica liceum ogólnokształcącego, mieszkająca przy ulicy Żelaznej, nr... W tym samym domu mieszkali Arpadowie, mieszkał tam również Piotr, zanim zaopiekował się nim Bielski.

Piotr był podwórkową przyjaźnią dziewczyny sprzed lat dziesięciu, o śmierci jego ojca dowiedziała się z nekrologu i z sentymentu do tego dziecinnego koleżeństwa przyszła na cmentarz.

— Skąd o tym wiesz?

— Zapytałem Bielskiego, powiedział mi o tym przed chwilą. Wczoraj odwieźli małą po ceremonii do domu. Arpadowa wracała oddzielnie.

— Co to za dom?

— Stara czynszówka w czworoboku, z oknami na podwórko. Arpadowa mieszka od frontu, Czarnota w oficynie. Partery od ulicy zajęte przez sklep spożywczy, zakład

naprawy telewizorów i warsztat ślusarski. Na lewo z bramy fotograf... Mieszkańcy? Ot, przeciętni ludzie. Robotnicy, jeden lekarz, dwóch inżynierów. Trójka lokatorów to podopieczni dzielnicowego. Dwóch pijaczków z wrodzonym urazem do stałej pracy i pani Czarnota, matka Agnieszki.

— Jakich kłopotów dostarcza mu pani Czarnota?

— Od niepamiętnych czasów, z małymi przerwami, handluje gorzałą.

— Karana?

— I tak, i nie. Kilka razy kolegium, grzywny, ale przez całe lata nikt nie zdecydował się, aby ją posadzić. Samotna matka! A ponieważ, jak na swój poziom i możliwości, dbała i dba o córkę, nikt nie chciał skazywać małej na pozbawienie rodziny i Dom Dziecka... Stara trochę pracowała, kilka miesięcy jako sprzątaczką w Ministerstwie Kultury i ponad rok jako salowa w szpitalu. Łącznie, na prawie czterdzieści lat życia, wypadło jej około dwóch lat stałej pracy, reszta handel. Jak nie w domu, to na Zieleniaku. Monopole otwierają dopiero o jedenastej, a na zielonej giełdzie ludziom już przed świtem pić się chce. Po podwyżce cen alkoholu podobno przerzuciła się na bimber. Dzielnicowy nie docieka, oczekuje na bliską już maturę Agnieszki.

— Co ma do tego matura?

— A kto dziewczynie da jeść, jak starą wsadzą do mamra? Niech skończy spokojnie szkołę, skoro się uczy.

Czy klientami madame Czarnoty mogli bywać ludzie z gangu, kamraci Franciszka Arpada? Nie, skoro jej pro, ceder był już przedmiotem rozpraw w kolegium i zajmuje się nią dzielnicowy. Tacy faceci nie włączą się po potajemkach.

— To jednak melina!

— Bez wyszynku na miejscu, pułkownika. Niczym w knajpie: pijanym i nieletnim alkoholu się nie sprzedaje.

— Nierząd?

— Nie. Był kochanek matki, nie stały, dochodzący, w czasie gdy pracowała jako salowa. Palacz z tej kliniki, ale po awanturze, powodów której dzielnicowy nie zna, stara pogoniła go; na pożegnanie dostał żelazkiem do prasowania.

— Dowiedz się czegoś bliższego o tym palacu — matkę kazałem zostawić w spokoju. — Arpadowa?

— Barmanka w „Agorze”, czasami bywali u niej mężczyźni, ale rotacja umiarkowana. Ostatnio, tuż przed powrotem małżonka, był jakiś Belg, przedstawiciel handlowcy jakiejś firmy. Mieszkał w hotelu, często bywał w barze. Od czasu gdy pojawił się mąż, spławiła wszystkich. Ale usłudźni poinformowali Arpada, że żona nie Penelopa. W ten sposób do zadry o syna doszły jeszcze rogi i Arpad gadał o rozwodzie. Podobno sprawa była już w sądzie.

Przed poproszeniem Arpadowej kazałem tę wiadomość wyjaśnić; istotnie sprawa rozwodowa była w toku, po dwóch rozprawach. Orzeczenia jednak nie wydano, ona nie godziła się na rozwód. Ciekawa okoliczność, ale jak z nią poruszyć ten temat, bo niby jaki to ma związek ze śmiercią jej męża.

Rozmowę z Arpadowa powierzyłem kapitanowi z naszej grupy. Moje nazwisko znano ze względu na śledztwo w sprawie katastrofy kolejowej; obębniła je prasa i telewizja. Byłoby nienaturalne, jeśliby szef zespołu dochodzeniowego, specgrupy — tak to się niezgrabnie nazywało — zajmował się bezpośrednio właśnie tym nieszczęśliwym wypadkiem,

za jaki powinna uchodzić śmierć Arpada.

Więc wszystko poszło powszednim trybem; blankiet z wezwaniem do komendy stołecznej, dzień, godzina, pokój... Wezwanie wysłano pocztą.

Rozmowę nagrywaliśmy na taśmę, a przed tym wyważyliśmy każde pytanie, jakie należało jej zadać. Niemal ściśle scenariusz. Pozornie interesowało nas li tylko zachowanie się Arpada w ostatnich dniach przed wypadkiem, lekka sugestia co do możliwości samobójstwa — byłem ciekaw, czy i jak ona na to zareaguje, chwyci się tej przyczyny czy nie?

Oczywiście przy takim profilu badania niewiele mogliśmy się dowiedzieć, ale samo zetknięcie się z Arpadową mogło rzucić światło na interesujące nas kwestie.

Chodziło mi raczej o klimat ich współżycia, o jej zachowanie podczas rozmowy, ile zechce powiedzieć o sobie, chociażby o sprawie rozwodowej.

Kazałem przyjąć ją w pokoju służącym do identyfikacji osób. Sam niewidoczny mogłem swobodnie obserwować jej twarz, gest, mimikę, słyszeć jej głos.

Dlaczego aranżowałem to z taką ostrożnością? Nawet dziś nie potrafiłbym tego jasno sprecyzować. Intuicja? Chyba raczej doświadczenie, pewna znajomość praw rządzących światem przestępczym, odruchowe szukanie najłagodniejszego ognia bandy.

Marta Arpadowa wychowała się i wyrosła wśród marginesu społecznego; zapewne, niczego to jeszcze nie przesądza. Jest wielu ludzi, którzy z tego marginesu wydobywają się sami, czasem przy pomocy innych. Ale ona pozornie tylko wyzwoliła się z tamtego środowiska; dawnych kochanków, tuzinkowych wyrobników kryminalnej roboty, wymieniła na



małżeństwo z facetem prawie dwukrotnie od niej starszym, który okazał się tuzem bandyckiej elity. Przypadek? — możliwe, a jeśli nie?

Miłość? Przede wszystkim zamiana baraku na całkiem przyzwoite mieszkanie, status kobiety zamężnej, pracującej, o stałych, legalnych dochodach.

Tu już dzielnicowy nie zagląda w garnki, nie obstawiają wywiadowcy, gdy tylko stanie się coś w mieście.

Może chciała się wyrwać spośród lumpów, nadarzające się małżeństwo było najłatwiejszą drogą, ale trafiła jeszcze gorzej, albo traktowała związek z Arpadem jako awans.

Przyszła punktualnie; piękna, atrakcyjna, doskonale ubrana. Nie wyglądała na wystraszoną czy choćby zaniepokojoną.

— ...nie wiem... nie wiem... nie zwierzał się... nie mówił... — bezradnie spoglądała na kapitana, z pewnym zakłopotaniem, że tak niewiele może powiedzieć o swoim mężu.

— Bardzo się zmienił po powrocie? — kapitan sterował ku teorii samobójstwa.

— Względem mnie tak — nie zrozumiała lub nie chciała zrozumieć podtekstu — odnosił się jak do obcej, a gdy nie zgodziłam się na rozwód, traktował jak wroga!

— Dlaczego nie godziła się pani na rozwód?

— Nie chciałam być rozwódką... Teraz, gdy przecierpiam dziesięć lat.

— Kochała go pani? Nie musi pani odpowiadać na to pytanie — zastrzegł kapitan.

— Co tu mówić o miłości... Czym się ma karmić miłość, gdy po roku małżeństwa mąż przepada na dziesięć lat. Miłość

potrzebuje fizycznej bliskości dwojga ludzi... Wystarczy, że nie czułam do niego nienawiści czy wstrętu, chociaż zmarował mi najlepsze dziesięć lat życia. Teraz chciałam, aby wszystko ułożyło się między nami, chciałam zacząć od początku. Zdawało mi się, że więzienie zmieniło go na korzyść, zdobył dobry zawód... Spodziewałam się jego opieki.

— Wygląda pani na osobę samodzielną.

— Wie pan, gdzie ja pracuję?

— Nie, nie interesowałem się... — powiedział kapitan.

Ona wymieniła nazwę knajpy.

— Luksusowy lokal.

— Stanie za barem po całych nocach to ciężka praca. Jestem zmęczona, pragnęłam spokoju... Czy już do końca życia będziecie mnie ciągle, szarpać?

— Konieczna formalność... Ale pracę można zmienić.

— Ja tam dobrze zarabiam, panie kapitanie.

— Niekonsekwencja...

— Tak się tylko wydaje. Miałam bardzo trudne dziesięć lat, teraz liczyłam na tego człowieka. Przecież nie opuściłam go w nieszczęściu, teraz chciałam ustabilizować się z nim. Oczywiście nie zrezygnowałabym z pracy, zamieniłabym ją na lżejszą, spokojniejszą.

— A więc mąż bardzo się zmienił po powrocie... Nie dostrzegła pani objawów rozstroju nerwowego, tyle lat odosobnienia czasem nadweręża psychikę.

— Nie! Miał w sobie wiele życia, wiązał jakieś nadzieje z synem, był z niego bardzo dumny... — z pewnymi oporami i widoczną przykrością opowiedziała kapitanowi dzieje oddania Piotra, tylko z lekka retuszując co drastyczniejsze momenty. —...Miał żal do mnie o tego chłopca, ale ja byłam

wówczas bardzo młoda i brak mi było środków, aby opiekować się małym, był niesłuchanie trudnym dzieckiem.

Odrzuciła sugestię samobójstwa Arpada; mówiła o jego znakomitym nastroju, energii, staraniach o egzamin państwowy, przepadaniu z domu na całe dni, częstych telefonach i spotkaniach z synem.

Jedno wydawało się pewne — ona w jakiś sposób liczyła na Arpada, a może tylko na jego pieniądze, o których wiedziała lub tylko się domyślała? Może dlatego me godziła się na rozwód, bo pozbawiał ją nawet nadziei na skorzystanie z tych pieniędzy.

Albo po prostu chciała zatrzymać przy sobie męża, skoro nie rozwiodła się z nim przez te dziesięć lat, chociaż z łatwością mogła uzyskać rozwiązanie małżeństwa.

Nie żyła jak Penelopa — fakt. Lecz nie trafiła na swego mężczyznę i po latach samotności, znużona przelotnymi związkami, zapragnęła stabilizacji, drugiego człowieka obok siebie. Ale cóż to za partner zatrzymywany na siłę... Ile ona teraz ma lat? Trzydzieści pięć? Wygląda znacznie młodziej.

Zleciłem obserwację Arpadowej; pożerało to czas licznego zespołu wywiadowców, natomiast rezultaty były mizerne, żeby nie powiedzieć żadne. Jako barmanka miała nieograniczone możliwości kontaktu z różnymi ludźmi, nie można przecież było inwigilować wszystkich pijących nocami przy barze.

Któregoś wieczoru uwagę wywiadowcy zwróciła młoda dziewczyna w towarzystwie mocno starszego już pana. Ze zdumieniem rozpoznał w niej ową uczennicę z warkoczem i tarczą na rękawie, którą widział na pogrzebie Arpada. W eleganckiej sukience, z makijażem i modnym uczesaniem wyglądała zupełnie inaczej.

Niewiele mogło już zdziwić wywiadowcę, ale ta metamorfoza skromnej uczennicy to była mocna rzecz; dziewczyna z dużą wprawą czarowała faceta, zresztą urzeczony jej urodą, ssała koniak jak gąbka i zachowywała się ze swobodą, zresztą w dobrym stylu, osoby bywały w nocnych lokalach.

Dziewczyna bezlitośnie wyciągała partnera na parkiet, nie chcąc dostrzec trudności, jakie sprawiał mu taniec. Starszy pan rozpaczliwie usiłował jej sprostać, aż wreszcie po jakimś żywszym kawałku załamał się. Zziąjany pociągnął małą do baru w nadziei, że okaże się dla dziewczyny bardziej atrakcyjny niż taniec.

Ona nie bardzo miała ochotę na bar — mieścił się w drugiej sali — ale uległa namowiem.

— Agnieszka, co ty tutaj robisz? — od razu dostrzegła ją Arpadowa.

— Bawię się — mruknęła ponuro mała, wyraźnie speszona.

— Kto cię tu przyprowadził?! — partner dziewczyny w skupieniu przysłuchiwał się indagacji, milczał.

— On — znów burknęła dziewczyna. — Niech się pani nie wydziera, to Niemiec, ani w ząb po polsku, i tak nic nie zrozumie.

— Coś ty z siebie zrobiła? — Arpadowa była zgorzozona strojem, a szczególnie makijażem dziewczyny.

— A co to panią obchodzi — odszczekiwała się Agnieszka.

— Gdzieś poznała tego Niemca? — nie ustępowała Arpadowa.

— Nie ma sprawy — zbuntowała się dziewczyna.

— Zaraz ci pokażę, smarkata, czy nie ma sprawy — zdenrowowała się Arpadowa. — W tej chwili wyjdiesz stąd i

pojedziesz prosto do domu. W przeciwnym razie powiem twojej matce i zawiadomię szkołę.

— Pani tego ci ę ż k o pożałuje — wycodziła Agnieszka, ale coraz mniej pewna siebie.

— Milcz!

— To nie jedyna knajpa w Warszawie — rezonowała Agnieszka.

— Na inne nie mam wpływu, ale tutaj nie będziesz przychodziła!

— To się okaże! — wyszczerzyła się znowu mała.

— Agnieszka, jak ci nie wstyd? To naprawdę nie jest miejsce dla uczennicy, i ten wielbiciel... — zmierzyła spojrzeniem jej partnera, którego ta dość nerwowa rozmowa między paniami zaczynała już niepokoić. Rozglądał się spłoszony, widząc, że jego osoba zaczyna budzić zainteresowanie innych gości przy barze. Arpadowa wprawdzie nie podnosiła głosu, ale też nie tuszowała swej dezaprobaty. Była zdecydowana postawić na swoim, posłała po kierownika sali.

— Ale z pani aktorki — syknęła Agnieszka i nie ruszyła się od baru: nie chciała stracić twarzy, ale do szczętu straciła pewność siebie; zawstydzona, z pałającymi policzkami, nie wyglądała już na kobietę światową, ale na wystraszoną uczennicę ze zbyt umalowaną buzią.

— Jeśli natychmiast nie pójdziesz do domu, zawołam milicję. Już tam obyczajówka z tobą porozmawia — zagroził kierownik. Ten nie bawił się w perswazje czy subtelności. Dziewczyna siedziała jak pod pręgierzem.

— A co mam z nim zrobić? — łykała już łzy, wskazując na nie mniej przerażonego cudzoziemca.

— Zmiataj, szczeniaku, ja go uświadomię — ofiarował

się kierownik sali. Agnieszka poszła jak zmyta. Ober zaszprechał do Niemca.

— Herr Gott! — facet otarł pot z czoła. Nie wiadomo, co go bardziej peszyło, perspektywa kompromitacji czy spojrzenia barowych gości. Skłonił się spiesznie i znikł; zdaje się, że knajpa straciła raz na zawsze klienta.

A ober pośpieszył do szatni i rzetelnie dopilnował wyeksponowania Agnieszki.

— Niedobrze mała startuje — zniesmaczył się wywiadowca, opowiadając mi tę scenę.

— Właśnie, czy to dopiero start?

— Nie wygląda na zaawansowaną — westchnął mój specjalista — ale co to można wiedzieć. Może nasza inspektorka od nieletnich powinna z nią pogadać...

— Skąd mała wzięła tego cudzoziemca?

— Chyba z hotelowej kawiarni. Tam wystarczy, aby ładna dziewczyna usiadła sama.

— Do diabła, mam ważniejsze sprawy niż małe dziwki! — rozżłościłem się; wiedziałem, jak trudno wyprostować taką dziewczynę, a już najmniej mogła tu poradzić milicja.

Sumienie nie dało mi jednak spokoju. Cholera! Przecież nie mogę patrzeć z założonymi rękoma, jak taki dzieciak grzęźnie, skoro już o tym wiem. A z całą pewnością jej matka nie pragnie wykierować jej na dziwkę. Deprawowanie własnego dziecka to nie to samo, co handel gorzałą. Tedy skontaktowałem się z psycholożką od nieletnich. Wysłuchała mnie cierpliwie.

— Spróbuję się zająć — obiecała. — Może nie jest tak źle, to mógł być odosobniony wyskok.

— A szkoła, czy w ogóle należy ruszyć szkołę? — nie

byłem pewny, ale w końcu to ona powinna wiedzieć lepiej.

— Ostateczność... — wyłożyła swój pogląd; jeśli wychowawczyni jest rozumnym pedagogiem, jeśli ma wpływ na dziewczynę, to tak. Ale jeśli zrobi z tego aferę, mała nie będzie miała życia w szkole.

— ...budynek mieszkalny i posesja zapisane w księgach wieczystych pod numerem... położone w osadzie Wesoła przy ulicy... — uroczyście czytał notariusz; dalej dowiedziałem się, że dom jest na podmurówce z ciosów kamiennych, część frontowa elewacji licowana ozdobnymi płytami ceramicznymi, dach łamany, kryty także ceramiczną dachówką.

Potem nastąpił opis stanu technicznego, oceniony jako idealny: kubatura, instalacje, centralne na piec grzejny typu Aero zasilany ropą. Wokół domu ogród, liczący tysiąc metrów kwadratowych. Dziesiątki szczegółów.

— ...na mocy testamentu Franciszka Arpada dom wraz z ogrodem, wolny od obciążeń i długów hipotecznych, przechodzi całkowicie na własność syna testatora, Piotra Arpada Bielskiego — zakończył notariusz.

Tak oto w sposób najzupełniej nieoczekiwany spadł na mnie legat zapisany mi przez mego szalonego ojca, który przez lata całe był dla mnie ojcem tylko z imienia, a to, co o nim wiedziałem, wzbudzało we mnie sprzeczne uczucia; czasem traktowałem go jak człowieka chorego lub ułomnego, a niekiedy złościł mnie i niepokoił. Równocześnie był mi bardzo bliski, mimo wszystko kochałem go, łączyła mnie z

nim atawistyczna więź, coś jak zakłęcie Kiplingowskiego węża Kaa: ja i ty jesteśmy z jednej krwi!

Teraz zwłaszcza, w tym surowym, wyciszonym notariacie, wobec tych foliałów nazywanych księgami wieczystymi, przemówił do mnie i zaciążył jak nigdy dotychczas ten tajemniczy związek krwi.

— Czy nie ma innych spadkobierców? — zachnąłem się głupio, przytłoczony tym, co usłyszałem, bo chciałem już, zaraz, wykręcić się od tego niespodziewanego daru, snując jak najbardziej ponure przypuszczenia co do źródeł dziedzictwa. Była to ogromna fortuna, wartość domu wraz z ogrodem oszacowano na pięćset pięćdziesiąt tysięcy złotych, i może się to wydać dziwne i nieprawdopodobne, ale ja nie chciałem mieć nic wspólnego z tym majątkiem.

— Pan jest jedynym prawnym spadkobiercą — notariusz opacznie zrozumiał mój niepokój, a mnie ogarnęła wściekła pretensja do zmarłego za zwalenie na mnie tego cholernego garbu, za wrobienie mnie w ten podejrzany majątek, do którego będę się musiał przyznać i który będę musiał odrzucić; poczułem się w tej chwili nieodwracalnie obciążony tym dziedzictwem krwi, które niczym piętno będę włókł za sobą aż do śmierci.

Oczywiście było to odczucie historyczne, bo na zdrowy rozum, poza niezaprzeczalnym faktem, że mnie Franciszek Arpad spłodził, niewiele miałem z nim wspólnego.

— Skąd Franciszek Arpad wziął pieniądze na ten dom? — stanowczo nie potrafiłem się rozsądnie zachować; notariusz zbaraniał, widocznie nieczęsto trafiał mu się taki stuknięty spadkobierca.



— To nie leży w kompetencjach notariatu — zamruczał.

Ochłonąłem; niewiele brakowało, a powiedziałbym temu urzędnikowi, że Franciszek Arpad, skazany za udział w napadzie na dwanaście lat, przesiedział dziesięć, a potem nie zdążył już zdobyć zaufania syna. Nie ma co, rzucałem się jak szczeniak, bez sensu i głupio.

Jeśli to jest najnowszy pomysł mojego nie przystosowanego tatusia — myślałem — to przynajmniej nie należy obdzielać tym kłopotem Karola.

— Kiedy Franciszek Arpad kupił tę posiadłość? — wzięłem się już w ugle. Jednak nic mi nie powiedziała ta data, nie kojarzyła się na razie z niczym.

— Muszę porozumieć się z adwokatem, widzi pan, mnie nie stać nawet na opłacenie praw spadkowych — podziękowałem notariuszowi i poszedłem na włóczęgę po mieście; pozostał mi ten nawyk — szczególnie gdy chciałem się uspokoić — z najmłodszych lat, kiedy to miasto było mi domem, schronieniem i całym światem.

Musiałem uładzić się z sobą; przed Karolem nie mogłem stanąć jak szczeniak, który przyjdzie jęczeć w przyjazną kamizelkę.

Czy aby muszę przyjść z tym fantem do Karola? Jestem pełnoletni, chyba nic prostszego, jak oddać to na Czerwony Krzyż, na Dom Dziecka, którego dzięki Karolowi uniknąłem, na Zamek Warszawski. Tyle jest ładnych społecznych celów, to było kuszące!

Za jednym zamachem pozbyć się galerniczej sukcesji, być wspaniałomyślnym wobec ogółu, taki młody, gniewny ofiarodawca. Tak, cichcem pozbyć się tego podejrzanego dziedzictwa.

Opanuj się, jedyny synu dwóch ojców! Za pół miliona

zrabowane temuż społeczeństwu chcesz zyskać przyjemne przeświadczenie o własnej szlachetności!

O co właściwie mi chodzi? Wstydę się Karola? Czy mogło coś go jeszcze zdziwić lub zaskoczyć po tym, co wiedział o moim starym?

Zaraz, kiedy ojciec mógł kupić tę cholerną chałupę? Oczywiście nie chodziło o datę, tylko o chronologię wydarzeń, o których wiem, których byłem świadkiem; często spotykałem się z ojcem, cierpliwie wysłuchiwałem jego fantastycznych, jak mi się wówczas wydawało, projektów...

Na pogrzebie było nas czworo: ja, Karol, Agnieszka — podwórkowa przyjaźń z mego dzieciństwa na Żelaznej — i Ona, kobieta mego ojca. Nigdy dawniej nie myślałem o Marcie jako o jego żonie i teraz także po prostu mechanicznie pomyślałem właśnie tak samo: kobieta mego ojca.

Jako dziecko nienawidziłem jej, bezsilnie i z całego serca. Teraz ani na moment nie mogłem wzbudzić w sobie gorzkiego smaku tamtej nienawiści, pamiętałem tylko bardzo dokładnie, co wówczas czułem, ja, dwunastoletni. Ale dzisiaj nawet jej widok nie poruszył żadnej z tamtych strun — nic. Idealna obojętność, ani cienia niechęci. Jakbym zobaczył nie znaną mi osobę.

Nadal była piękna, może nawet piękniejsza, bo te lata nie zatarły w mej pamięci także i jej niezwyklej urody. Nie zestarzała się. Zresztą, ile ona teraz mogła mieć lat? Była chyba po trzydziestce, nie więcej. Wyszlachetniała ta jej uroda bezczelnej dziwki, do dziś nie mam pojęcia, na jakim śmietniku znalezionej przez mego szalonego ojca... Dlaczego dziwki?

Taką mi ją podsuwa pamięć, może właśnie w ten sposób

powraca do mnie dawna nienawiść, powraca stereotypem: bandyta i dziwka! Nie wiem, dlaczego jej widok wzbudził we mnie jednak zamęt.

A zmieniła się bardzo, mam ją przecież jak wyrzeźbioną w pamięci, w tej upartej pamięci, którą czasami chętnie bym zniszczył. Ta kobieta z całą pewnością zmieniła się na korzyść. Żadnej wulgarności, nic wyzywającego w wyglądzie, żadnej przesady w zachowaniu. Nie przyodziła ciężkiej żałoby, co nie wiem dlaczego, ale mnie by raziło. Miała tylko wąski pasek czarnej krepy na rękawie płaszcza. Trzymała w ręku wiązanek ciepłarnianego bzu, przewiazaną srebrną wstążką.

— Odwieziemy panią — powiedział Karol, gdy grabarze uklepali wzgórek wilgotnej gliny.

— Dziękuję, czeka na mnie taksówka — odmowę okrasiała melancholijnym uśmiechem; ruszyła cmentarną aleją z podniesionym kołnierzem kosztownego płaszcza z jakiejś puchatej tkaniny, ciasno ściągniętego paskiem. Smukła, elegancka, niezajoma pani; taka już na zawsze miała pozostać w moim wspomnieniu, a przecież sądzono mi było jeszcze ją zobaczyć, lecz tylko ten obraz zastygł w mojej pamięci jak na fotograficznej kliszy.

Wtedy dopiero podeszła do nas Agnieszka, nie poznałem jej; nic w niej nie przypominało małej dziewczynki, jaką pamiętałem, na cieniutkich nóżkach, ze śmiesznymi czarnymi pędzelkami przy chudziutkiej buzi. Jedyne jasne wspomnienie chłopięcej przyjaźni, jakiegoś ciepła, które wówczas wzbudzała we mnie ta mała istotka, jeszcze bardziej bezbronna niż ja.

Teraz byłem wdzięczny tej dorosłej dziewczynie za przechowanie przez lata jakiegoś cienia sentymentu, który kazał jej przyjść tutaj.

Zanim pochowałem mego ojca — ciągle mi to brzmi dziwnie, bo to ja go pochowałem i nie przyjąłem od nikogo ani grosza, ani żadnej pomocy, a od Karola nie chciałem nawet wziąć pożyczki. — Ona skomunikowała się z Karolem i proponowała pomoc, chodziło naturalnie o pieniądze. Odmówił w moim imieniu, powiedział o mojej decyzji, więc Ona nie nalegała i nie usiłowała zobaczyć się ze mną czy w inny sposób wpłynąć na moje postanowienie.

— Czy mogę zamieścić nekrolog? — zapytała Karola; miała nadzieję, że przyjdą na pogrzeb jacyś koledzy lub znajomi ojca.

Nekrolog ukazał się w porannej gazecie, ale poza Agnieszką nie przyszedł nikt; byłego przestępcę Franciszka Arpada grzebał syn, prokurator i Ona.

Osaczyły mnie jakieś postaci z literatury, którą odkryłem tak jak i wiele innych rzeczy dzięki Karolowi, a nie temu tu, oddawanemu teraz mokrej glinie.

Jan Valjean w konflikcie z prawem, zły tyran Jakub Collin...

Dotkliwie wiedziałem, że mój ojciec w żadnym razie nie przystawał do tych literackich wzorów. Nie było w nim nic z patetycznej postaci Jana Valjeana, wyjętego spod prawa galernika, nie miał żadnej z cech genialnego fanandela galer Vautrina...

W takim to dziwnym kształcie powróciło do mnie, po raz ostatni już, dziecinne marzenie o pięknym, godnym szacunku ojcu! Tak go żegnałem.

Po powrocie z cmentarza ogarnął mnie żal; wszystko w tym człowieku było niedomówione, dwuznaczne i już tak pozostanie na zawsze. Nigdy się nie dowiem, czy na tym

przejeździe opuścił mnie człowiek naprawdę marny, z gruntu zły, czy...

I żał mi nie żal, i już sam nie wiedziałem, po nim czy io niego; przez lata skazał mnie na los ni to sieroty, ni podrzutka, bezpańskiego kundla, którego podniósł i odchuchał obcy człowiek. Jak to jest, przecież najlichsze i wierzę troszczy się o swoje szczenięta, tylko człowiek nie! A jeszcze dziwniejsze, że Karol i Franciszek Arpad należą do tego samego gatunku.

Miałem pretensję — tylko już nie wiedziałem do kogo — że nie dane mi było poznać wreszcie nieudanego, ale przecież ojca. Poznać go, jakim stał się po tych dziesięciu latach i jaki był wtedy, gdy w gazecie zobaczyłem list gończy z jego nazwiskiem i fotografią; tęskniłem wówczas do niego i wstydzilem się go. A także usiłowałem go sobie wyobrazić jako dzielnego szeryfa, patrzącego śmiało niebezpieczeństwu w twarz i błyskawicznie sięgającego do colta. Lecz worki z banknotami, zrabowanymi z fabrycznego ambulansu, ni diabła nie dawały się wpasować w legendę o sprawiedliwym szeryfie; kojarzyły się co najwyżej z rabusiem napadającym dyliżanse.

Cierpiałem, płakałem po nocach w najgłębszej tajemnicy i udręce, a dzień przynosił nowe upokorzenia. Był czas, gdy znienawidziłem go za to; i nie miałem już nikogo, kogo mógłbym kochać, nikogo wśród ludzi. Toteż całe moje niepotrzebne nikomu przywiązanie ofiarowałem psu; przybłądnie zgarniętemu ze śmietnika, tak samo wydziedziczonemu jak i ja. Ale i pies został mi odjęty. Wtedy pragnąłem zabić macochę... Dziś, gdy po latach przypominam sobie tamten dzień, myślę, że byłem zdolny do każdego szaleństwa. Uratował

mnie Karol; chwila, w której przywrócił mi psa, zdecydowała o całym moim późniejszym życiu. Miałem czternaście lat, kiedy zacząłem ukradkiem zaglądać do specjalistycznych publikacji z biblioteki Karola, bo myśl o ojcu siedziała we mnie jak czerw; teraz było mi go żal i chciałem wiedzieć, dlaczego to zrobił. Szukałem właśnie tej wiedzy w książkach Karola: genetyka, socjologia, medycyna sądowa, psychologia i wszystko jak leci do oporu. Boże! Jaki galimatias miałem wtedy w głowie. Byłem spóźniony o rok w obowiązującym programie szkolnym, nie mówiąc już o lekturze i tym wszystkim, co daje wychowanie chociażby przez przeciętnych rodziców; mały troglodyta przybyły z jaskiń współczesnego miasta.

Odstawałem we wszystkim. Toteż to, czym teraz szpikowałem swój niemal dziewiczy mózg, wałnęło mnie jak maczuga.

Mozolnie wyrabując tę trudną dla mnie wiedzę, wyszukiując w słownikach znaczeń niezrozumiałych słów, a trafiały się zdania, że co drugi wyraz był dla mnie niezrozumiały, dowiedziałem się rzeczy strasznych; o wrodzonych skłonnościach, genetycznych anomaliach, owym braku czy nadmiarze tajemniczego chromosomu, decydującego o przestępczych skłonnościach. Jednym słowem, o możliwości dziedziczenia zbrodniczych cech. Przywalała mnie ta, dyletancko interpretowana, dziedzina ponurej wiedzy o gatunku *Homo sapiens* i ogarniały mnie neurasteniczne lęki, koszmar moich lat dojrzewania; prędzej czy później może się we mnie objawić jakiś mister Hyde.

Z uporem maniaka poddawałem siebie różnym próbom, dzikim sprawdzianom; i tylko dzięki Karolowi, który zorientował się, co mnie gnębi, przeszedłem przez to wszystko, jak

i przez cały okres przepoczwarczenia się i psychicznej rekonwalescencji.

Do dziś pozostało we mnie coś z tamtych wszystkich chłopczyńskich pytań, dlaczego?

Gdy powróciliśmy z cmentarza, w domu powitał nas pies, kochany, stary już teraz Tygrys, ten sam, z którym przygarnął mnie Karol, i z niezawodną przenikliwością wyczuł moje zmartwienie. Jak za dawnych lat chodził za mną krok w krok, przypominając na różne sposoby o swej czułej obecności.

— Napijemy się, Piotr — mruknął Karol i nalał nam koniaku; ale ten łyk alkoholu nie rozluźnił we mnie niczego, przeciwnie, jeszcze bardziej pogłębił mój fatalny nastrój.

— Pewno stary spił się jak świnia! — eksplodowały we mnie wszystkie sprzeczne uczucia, jakie nagromadziły się od lat.

Oczekiwałem od Karola potwierdzenia moich przypuszczeń; sprawiłoby mi ulgę, gdyby tak było naprawdę. Ot! Pijany kryminalista, którego kryminał niczego nie nauczył ani w niczym nie zmienił, wpakował się pod pociąg i zanim wreszcie przestał szkodzić innym, dołożył jeszcze na swoje parszywe konto życie osiemnastu ludzi.

— To nie wódka, po prostu wypadek.

Przestałem szaleć; było mi głupio za ten historyczny wybuch.

— Ale skąd ojciec wziął się na tym przejeździe?

— Kiedyś ty się z nim ostatnio widział? — Karol nie odpowiedział na moje pytanie. — Nie wspominał ci o najbliższych planach?

— Widziałem go dwa dni przed śmiercią, nie mówił mi o żadnym wyjeździe.

Ten mój zredukowany ojciec kipiał od planów, wielkich, dalekosiężnych planów, ale nigdy nie powiedział mi, co ma zamiar robić następnego dnia.

Słuchałem tych jego, jak mi się wydawało, mrzonek. Ucieka w mity — myślałem z początku. Może w ten sposób chce trafić do mnie, jakoś się zbliżyć, bo był bardzo samotny. Potrzebował mnie, aby na kimś wesprzeć te swoje wspaniałe projekty, one podtrzymywały jego rozchwianą i niepotrzebną nikomu egzystencję. Bo jeszcze — wyczuwałem to — był bez gruntu pod nogami, zagubiony i oszołomiony tym odmienionym przez dziesięć lat światem.

Trapił go również pewien rodzaj poczucia winy względem mnie i onieśmienie. Ale to onieśmienie nie wyptywało z poczucia winy, skąd! Onieśmiał obcy, młody człowiek, a przecież jego syn, u c z ę s z c z a j ą c y na wyższą uczelnię. To go wręcz oszołamiało.

— Spotkamy się pod politechniką! — z nabożną czcią wymawiał tę nazwę i mógł godzinami wystawać pod bramą na placu Jedności lub przechadzać się z rękoma zaplecionymi na plecach — nawyk więziennych spacerów.

Aby go nie urazić, nigdy nie zapytałem go, po co przychodzi tak wcześnie, na tyle czasu przed umówioną godziną. Wkrótce sam pojąłem; on się napawał świadomością, że tam, za tą bramą s t u d i u j e jego syn. Paradował przed przechodniami i rozpierała go duma, niech patrzają, niech wiedzą! Pod pretekstem przypalenia papierosa zaczął ludzi i przechwalał się.

Miałem go za ciężkiego snoba, póki nie zrozumiałem, że w ten sposób oswajał się z rzeczywistością, która przeszła jego najśmielsze wyobrażenia; zapewne nigdy, nawet w czasach swej wątpliwej świetności, gdy niekiedy dawał mi na



lizaka albo gdy jedyny raz zaprowadził mnie do Zoo, nie myślał o takiej przyszłości dla swego szczeniaka. — Cóż tam słyhać, synu, na twojej Alma Mater? — zaczynał wytwornie i tubalnie na użytek kelnera i gości przy sąsiednich stolikach, gdy zaciągnął mnie na obiad do restauracji, i to koniecznie kategorii S.

Śmieszyl mnie, ale nigdy nie zdobyłem się na żadną uwagę, widząc, jak go to cieszy: był wniebowzięty.

Musiałem go powściągać, aby nie podawał mi kurtki i nie otwierał przede mną drzwi. Chwilami sprawiał wrażenie ciemnego kmiotka lub infantylnego starucha, ale gdy zaczynał snuć swoje oszałamiające plany, dostrzegałem w nim trzeźwość, spryt i nieprzepartą żądzę, aby zaraz, już odkuć się za tamte dziesięć lat.

Ja zajmowałem w jego planach określone miejsce; mój przyszły tytuł inżynierski miał uświetnić i nobilitować jego egzystencję w ogólnym rachunku był tak samo cenny jak pieniądze.

— Można kupić każdy dyplom, ale tego, czego nauczą cię t a m, nie kupisz za największe dziadźki, w żadnym sklepie! — wykladał mi swoją zupełnie nową filozofię.

Gdy się nieco ze mną oswoił, poddał mnie krytycznym oględzinom, niczym konia na jarmarku. Jeśliby mógł, zbadałby również wnętrze mojej głowy.

— Pleczysty jesteś — pochwalił — i w dupie wąski, taki powinien być mężczyzna. Po mnie to wzięłeś, ale przerosteś mnie. Ile mierzysz?

Był dumny z mego metra osiemdziesiąt sześć wzrostu, jakby to było wyłącznie jego zasługą. Ale jeden szczegół psuł mu ten doskonały wizerunek syna.

— Ja tam nic nie mówię, nie obraż się — zaczął z niezwykłym u niego ceremoniałem — ale te długie włosy to mi

się wcale nie podobują, po co ci takie kołtuny? Włosy, jego zdaniem, miałem także po nim; wprawdzie on był siwiejącym ciemnym blondynem, a ja miałem czarną czuprynę, lecz to było bez znaczenia.

— Gęste są — pochwalił — przystrzygłbyś się elegancko, na poleczkę, dajmy na to, i byłoby galanto!

W tym zgadzał się z dyrektorką mojego liceum, którą wspominam jak najgorzej; apodyktyczna, nie znosząca odmienności w żadnej dziedzinie. Surowy, wyniosły babus w nieokreślonym wieku, z zamaszystym krokiem dragona, zawsze przyodziana w jakąś smętną kiecę, bo nic nie leżało na niej dobrze. Nie wiem, może tak uformowały ją niepowodzenia życia osobistego, chociaż przy tym usposobieniu i wyglądzie trudno o okazję nawet do niepowodzeń. Najgorsza była dla dziewczyn, każdą ładną twarz przyjmowała jak osobistą obelgę, każdy weselszy sweterek czy spódnice jak wyzwanie.

Dyktatorowa — tak ją przezywaliśmy — gotowa przejść po brzuchu każdemu, kto próbował mieć własne zdanie. To był poligon, a nie szkoła, nie wiem dlaczego uznawana za jedną z lepszych szkół w mieście; chyba dzięki zespołowi pedagogów, których nawet ona nie potrafiła zepsuć, no i przez tradycje, jakie miała ta szkoła.

Do tego wszystkiego ona swoje metody straszliwego kaprała nazywała pedagogiką, i co gorsza, wierzyła, że nas wychowuje! Owszem, złamała kilka charakterów. Z najwredniejszych typów powstał jej dwór: lizusów, donosicieli i pochlebców.

Po adopcji Karol zmienił mi szkołę i w taki sposób trafiłem pod jej ciężką rękę. Zaraz pierwszego dnia wezwała mnie do siebie.

— Bielski, tu się coś nie zgadza — ja byłem Arpad-Bielski, a Karol tylko Bielski, chciała wiedzieć, skąd ten Arpad.

— To drugie imię — zełgałem; uwierzyła, bo rzeczywistość jest takie imię.

— Pomyłka w dacie — dziobała palcem w papiery, gdzie figurowała data urodzenia Karola; data była prawdziwa, tyle że Karol był starszy ode mnie zaledwie o piętnaście lat.

Pewna swej nieomyślności, była jak opoka. Tkwiła za wielkim jak amfibia biurkiem, marsowa, wyniosła. Wbiła we mnie małe, głęboko osadzone oczka koloru zdechłej pluskwy. Od razu poczułem do niej antypatię i diabeł uszczypnął mnie w tydkę; fakt, moja odpowiedź nie należała do najgrzeczniejszych.

— Data dobra! Mój stary machnął mnie, gdy miał piętnaście lat — powiedziałem z wyrazem twarzy bardzo miłego chłopczyka; nie wiedziałem, z kim zaczynam.

— Do mnie się mówi: pani dyrektor!

— Czy mogę odejść, pani dyrektor? — przyzwoliła; gdy byłem przy drzwiach, poleciła, abym nazajutrz przyniósł trzysta razy napisane zdanie: będę się wyrażał poprawnie.

— No, wreszcie ktoś cię nauczy po polsku — ucieszył się Karol, kiedy opowiedziałem mu wszystko, nie poglądził mnie za ten wybryk i przypilnował owych trzystu zdań.

Ale potem się zaczęło; nie, nie zadawała mi więcej takich kar, bo bardzo uważałem na swój język, tutaj Karol miał rację, ale to była codzienna zdradliwa walka podjazdowa, toczona w bardzo czystej polszczyźnie. Byłem ciągle na cenzurowanym, ciągle pod jej argusowym okiem, jak pod lupą.

Zaciąłem się. Skutek był taki, że zacząłem się uczyć jak szatan i tylko dlatego stałem się jednym z najlepszych uczniów, a w historii, jej przedmiocie, byłem erudytą. Nie, nie z zamiłowania, ona mi historię skutecznie i na długo obrzydziła. Tylko aby ją „zagiąć”.

Nie była nieomylna i kilka razy z dużą satysfakcją prosto wałem jej nieścistości, a ją dusiła wściekłość; chyba tak była skonstruowana, nie umiała zdobyć się na przyznanie do błędu.

Już nie pamiętam dlaczego, ale kiedyś, zapewne z jakiejś błażej przyczyny, powiedziała do mnie wobec całej klasy:

— Syn prokuratora powinien... — naturalnie chodziło o świecenie... przykładem, oczywiście; podniosło mnie z ławki. Nienawidziłem jej za uciekanie się do tak nędznych chwytów. Lecz głos mi nie drgnął, gdy powiedziałem:

— Adoptował mnie prokurator, ale naprawdę jestem synem bandyty skazanego na dwanaście lat. A wie pani dyrektor, za co on siedzi? — zawiesiłem głos, w klasie wstrzymano oddechy — bo zarznął starszą panią!

Po ławkach przetoczył się ryk. Zaśmiewali się jak dzieci, przecież nie z brutalnej w końcu i niedowcipnej odzywki, tylko z radości, że dalej prowadzę tę nierówną wojnę, która coraz bardziej wiąże siły dyktatorowej, a tym samym odwraca jej uwagę od wyciagania innych. I nikt w klasie, jak ich było czterdzieści diabłów, nie wziął na serio tego, co powiedziałem o swoim ojcu.

Wynikł z tego skandal; wezwano Karola, były nieprzyjemne rozmowy. Skończyło się i tak ulgowo; na okres obniżono mi stopień z zachowania.

Potem przyszedł czas na batalię o włosy; to jednak nie było dla niej takie łatwe, bo długość uczniowskich włosów rozpalila ogólnonarodową dyskusję i walka wrzała nawet w prasie.

— Piotr, nosisz za długie włosy — wezwała mnie na początku roku maturalnego.

— Pani dyrektor! Skończyłem dziewiętnaście lat — proszę, podsunąłem jej pod nos mój dowód osobisty — jestem pełnoletni. Odpowiadam wobec prawa jak każdy dorosły człowiek. Konstytucja przyznaje mi prawa wyborcze. Jeśli więc słusznym jest, abym współdecydował o składzie najwyższych władz Rzeczypospolitej, to jak można odbierać mi skromne prawo decydowania o długości własnych włosów.

Powiedziałem to powściągliwie, bez obraźliwej intencji. Nie odpowiedziała mi nic, tylko kazała odejść i więcej nie było już mowy na ten temat. Myślałem, że ten jedyny raz przyjęła moje racje.

Odegrała, się w sposób podstępny, a perfidny, na egzaminie maturalnym.

Zanim podano tematy z polskiego, podniosła się ze swego stolca, uroczysta, władcza, i wyliczyła nazwiska sześciu chłopaków, mnie wymieniając na pierwszym miejscu. Czyli wszystkich weteranów zaprawionych w bojach z jej dyktaturą.

— ...teraz pójdziecie i skróćcie włosy! — postawiła warunek; jeśli się nie przystrzyżemy, możemy nie wracać na salę egzaminacyjną. W taki sposób na ostatek chciała z nas zrobić baranki, w przerośni i dosłownie.

Huczało mi w głowie, jakbym dostał między oczy; gnoi mnie ta dziwka — jak taśma leciały w myśli najbardziej obelżywe słowa pod jej adresem. Był moment, gdy o mało nie

rzuciłem się jej do gardła, ale opanowałem się i tylko rósł we mnie opór.

To wszystko trwało mgnienie; podniosłem się z miejsca i podszedłem do stołu, przy którym królowała wśród wysokiej komisji. Musiałem mieć fatalną gębę, bo odruchowo cofnęła się.

— Ach, ty nędzo ludzka! — powiedziałem głośno, patrząc w te jej jadownicze oczka.

Gdy usłyszałem swój własny głos, uświadomiłem sobie, że rzuciłem jej w twarz cytaty z „Niemców” Kruczkowskiego; co ze mnie zrobił Karol! Kilka lat wcześniej poczęstowałem ją epitetami z repertuaru z Żelaznej: stary, wyliniaty materacu, parowo... A teraz? Proszę! Co sobie myślę, to myślę, ale nawet ubliżam cytatami z klasyków.

Cisza na sali dzwoniła w uszach, odwróciłem się od niej i od oniemiałej wysokiej komisji; prawie defiladowym krokiem wyszedłem z sali i nawet nie strzeliłem drzwiami. Absolutna wiktoria wpływów Karola.

— Nie zdam matury... — opowiedziałem Karolowi zajęcie; nie powiedział marnego słowa, nie zrobił z tego dramatu. Więcej, podzielał moje zdanie i rozumiał, że tę wysoką cenę zapłaciłem nie za błahą w końcu rzecz — długość czy kształt czupryny — tylko za niezależność.

— To los prekursorów — zdobył się na żart. — Kacerzy zawsze palono na stosie.

— Przykro mi, Karol — wymamrotałem, bo nie potrafiłem w inny sposób powiedzieć, jak jestem do niego przywiązany.

— Nie wiem, czy akurat tak należało postąpić, ale człowiek musi się przeciwstawiać, gdy depreczą jego godność, jeśli nie jest zwykłym gnojkiem... Za moich czasów walczone

z czarnymi swetrami, zrobiono z tego ideologię. Golf w czarnym kolorze przestał być nagle takim sobie bezpretensjonalnym przyodziewkiem. Nadano mu rangę sztandaru politycznej odrębności i obłożono oficjalną anatamą. Naturalnie, dopiero po tej ekskomunice rozprzestrzeniły się one jak epidemia, bo tacy na szczęście są młodzi ludzie. Z początku była to tylko moda; znudzeni garniturami-uniformami z granatowego tenisu, uciekaliśmy do rzeczy miękkich i wygodnych... A potem stały się protestem. Byłem wtedy, ba, na drugim roku studiów, a do mego swetra miała pretensję organizacja młodzieżowa.

Taki jest Karol.

Czterech z naszej szóstki wróciło grzecznie przystrzyżonych i ci zdali maturę, ja i Wacek — nie. Po wakacjach poszedłem do pracy, a następnego roku zaliczyłem maturę i egzaminy na studia. Nie dałem się, chociaż zwycięstwo okupiłem utratą roku. Karol powiedział, że takie zwycięstwa kształtują charakter. Była to dla mnie nagroda.

Ale tego wszystkiego nie opowiedziałem swemu ojcu, i tak by nie zrozumiał, jego krytyczne uwagi o moich włosach zbywałem żartami.

Zapraszał mnie na obiady do drogich restauracji, w których dotychczas nie bywałem; krępowało mnie to i niepokoiło, skąd ma pieniądze. Wreszcie zapytałem go wprost. Przygasał, poszarzał, aż mi było głupio.

— Synu, tylko raz podpadłem, więcej nie zgrabię. Dobrowolne słowo! A nie kij ci je daje... — zapewnił uroczyście; gdy się wzruszył lub podniecał, rąbał żargonem lub grypsera i w ogóle go nie dziwiło, że ja, ten świetny student,

rozumiem go. To także w jego pojęciu należało do umiejętności jego nadzwyczajnego syna.

— Uczciwie zapracowałem, synu — zapewniał mój naprawiony tato — nie wstawiam szuflady, możesz zapytać pana prokuratora, on wie, skąd mam pieniądze, a jednak przykro, że mi nie ufasz jak psu.

Mój Boże, ja swemu psu ufałem bezgranicznie i nigdy się na nim nie zawiodłem.

Ojciec nigdy nie pozwolił sobie powiedzieć o Karolu inaczej niż: pan prokurator lub pan Bielski.

— ...pan Bielski wie na zycher, że to za dziesięć lat akademii zarobione, a tam za bezdurno nie płacą. Warunkowo mnie wypisali i apiać do szkoły mogą wsadzić na tę brakującą dwójkę — nie ze wszystkim wyszlachetniał w tej szkole mój fater, ale zawsze.

Spostrzegł, że niezupełnie usatysfakcjonowały mnie te jego praktyczne rozważania na temat motywów zbożnego życia.

— I gdzieżbym miał sumienie tobie zgryz robić, synu! A i dumny byłbym głowę nadstawiać, skoro potrafię bez poruty grosza nadrapać, ile zechcę... — wierzył w ten wyuczony w więzieniu zawód, co to jemu, a zatem i mnie, zapewnić miał jedwabne życie. Ale tymczasem obawiałem się jego rozrzutności, bo jeszcze nie zaczął zarabiać, a pieniądze przeciekały mu przez palce; namiętnie grał w Toto-Lotka i co tydzień prosił mnie o pomoc w wypełnianiu kuponów za dwieście, trzysta złotych.

— Stary, opanuj się! Wygranie miliona to szansa jedna na osiemnaście milionów — powściągałem go.

— A kto to tak dokładnie zbała?



— Studenci politechniki — ale w tym wypadku nie działała magia wyższej uczelni; w kolejnym tygodniu znów porwał go hazard i znowu dzwonił do mnie, abym pomógł wypełniać mu kupony. Wierzył w cyfry wytypowane przeze mnie, muszą przynieść wygraną.

— Fartowny jesteś! — mawiał.

U nas, to znaczy w domu Karola, był tylko raz, zaraz po wyjściu z więzienia, i nigdy więcej się nie pokazał. Objawiał zdumiewający takt, a była to ostatnia rzecz, o jaką mogłem go posądzić. Nie uważałem, że fakt adoptowania i wychowania mnie upoważniał go do nachodzenia opiekuna. Byłem ojcu za to wdzięczny, bo i bez tego czułem się niewypłacalnym dłużnikiem Karola.

A wtedy przyszedł bez uprzedzenia; Karol z pewnością wiedział o przedterminowym zwolnieniu starego. Chyba opiniował ten wniosek, był przecież prokuratorem prowadzącym wówczas śledztwo w jego sprawie. W każdym razie dla mnie jego pojawienie się było kompletnym zaskoczeniem.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, kto to jest, i dopiero gdy zdjął kapelusz, poznałem go po tym krótkim, niepowtarzalnym jeżu, ściętych, mocno już teraz przy: prószonych siwizną włosach.

Ubrany był starannie, w nowiutkim, jakby prosto ze sklepu garniturze. Nie wyglądał na faceta powracającego do domu po dziesięciu latach więzienia; tylko nienaturalnie blada twarz mogła wywołać jakieś skojarzenia.

Był bardzo onieśmielony, na mnie nawet nie spojrzął, niemal w pas skłonił się Karolowi. Zrobiło mi się przykro i pomyślałem: taki groźny urka, a nie ma za grosz godności! Nie, nie przypomina Jakuba Collina, to całkiem marny, prymitywny lump; być może właśnie taką pokorą i podlizywaniem

się administracji więziennej wyjednał skrócenie wyroku.

W tamtej chwili byłem niesprawiedliwy i okrutny, ale skręcał mnie za niego wstyd; dlaczego aż tak się gniew? Nie musi oczywiście zaraz pchać się do Karola z tą swoją kryminalną łapą, ale jest przecież coś pośredniego między fundowaniem grabuli a zmiataniem głową ziemi niczym siermiężny kmiotek. Bałem się, że zaraz buchnie Karola w mankiet jak jaśnie pana lub księdza dobrodzieja, a ja wtedy ale wytrzymam.

Ale Karol przywrócił wszystkiemu właściwe proporcje. Ma tę umiejętność znalezienia się w sposób właściwy, naturalny i prosty w każdej sytuacji: Karol wyrósł na tradycjach starej, inteligentkiej rodziny, więc widocznie ma to we krwi.

— Nie poznał pan syna, panie Arpad? — Stary przestał miotać się pod wieszakiem, ja znalazłem się przy nim, a Karol zaraz po pierwszych cmokach starego wyholował nas zgrabnie do pokoju. Fotele, trochę koniaku i zrobiło się naraz zupełnie znośnie, w każdym razie do wytrzymania.

— Jakież to p a ń s k i e dziecko wyrosło z tego chłopaka! — powiedział ojciec i jęknął: — dobry Jezu! To przez tę wilczycę straciłem takie dziecko — wilczyca była jedynym słowem z grypsery, jakie mu się wyrwało przy Karolu, ale nie jestem pewien, czy Karol wiedział, że oznacza ono stare, zdarte w profesji dziwki.

— Nie stracił pan syna — uśmiechnął się Karol.

— Prawnie to on jest pana, prokuratorze — westchnął mój tatulo.

— Nie jestem rzeczą, więc nie należę do nikogo — zjeżyłem się jak gówniarz.

— Piotr jest już pełnoletni — powiedział Karol.

— Ale pan w prawie jest jak ojciec, a ja co — serio frasowała się moja tandetna namiastka Vautrina.

— Przecież pan się zgodził, abym adoptował Piotra — przypomniał Karol.

— Zgodziłem się, zgodziłem, czy ja mówię nie? — przyznał smętnie mój czuły rodziciel — ale byłem pozbawiony praw obywatelskich, to i tak...

— Pozostawiłem Piotrowi nawet pana nazwisko, swoje tylko dodałem — Karol miał doprawdy cierpliwość. Gdybym był na jego miejscu, wyrzuciłbym faceta za drzwi; zamiast wdzięczności za wydarcie z dna i zajmowanie się przez okrągłą dychę jego szczeniakiem, wnosi jakieś kretyńskie pretenzje.

— Nie zgrywaj świerszczyka, bo wsunę! — nie wiem, jak mi się to wyrwało i dlaczego tamtym językiem, lecz stary tylko przyjrzał mi się uważniej i nic.

Wtedy nareszcie dotarło do mnie; on nic nie rozumie, to człowiek z innego świata, stąd spokój i wyrozumiałość Karola. Biedny stary, gdy mnie zobaczył, takie wspaniałe p a ń s k i e dziecko, i im ten syn bardziej mu imponował, tym bardziej czuł się z tego syna okradziony. I walczył, jak umiał, aby mnie odzyskać. A ja? Zachowałem się jak cham, bo przecież to jednak mój ojciec, a ponadto stary, samotny, przegrany człowiek; dlaczego byłem taki ordynarny? Nie, nie gardziłem nim. Byłem tylko bardzo przejęty, miałem tremę, pragnąłem, aby ten mój ojciec wypadł jak najlepiej w oczach Karola, a także, aby stary po ludzku wyraził Karolowi wdzięczność za to, co zrobił dla jego syna; poniżał się i giął, zamiast powiedzieć proste i godne, zwyczajne i serdeczne słowo: dziękuję!

Karol zapytał go, co zamierza robić, i stary od razu porzucił temat syna. Poczujęm się jak dudek; z przykrością uświadomiłem sobie, tak mi się przynajmniej wydało, że właśnie w tej sprawie przyszedł do Karola, a o mnie przypomniał sobie przy okazji, gdy mnie zobaczył.

— Nie traciłem czasu w więzieniu, panie prokuratorze, uczyłem się! — odpowiedział stary. — I wyszło na to, że nigdy nie jest zbyt późno na naukę, no i zrobiłem technikum! Tak, synu — popatrzył na mnie — już nie musisz się mnie wstydzić. W taki sposób jestem technikiem dentystycznym.

Kiedy więc tam za murami skończył to technikum, wziął go do pomocy dentysta. Nie wiem, może z początku przytrzymywał co bardziej krewkich pacjentów, bo stary jeszcze teraz, po tej dziesiątce, miał posturę i mięśnie zapaśnika; nie da się ukryć, chyba po nim wziętem tę fizyczną krzepę.

Przyczano go tym chętniej, że w więzieniu wakowała funkcja etatowego technika specjalista taki tylko raz w tygodniu dojeżdżał na miejsce, co dla obu stron było uciążliwe. A jak się okazuje, administracja więzienna dokładała wszelkich starań, aby swych pensjonariuszy zwrócić społeczeństwu nie tylko poprawionych moralnie, ale i z zębami, więc nagle objawiony talent starego został natychmiast dostrzeżony i doceniony. Stworzono mu odpowiednie możliwości i po niedługim czasie mój tato trząskał szczęki, mostki i kapsle — jak z dumą, że zna żargon stomatologów — nazywał korony.

Zaczął po kryminale w sławie chodzić, a gdy samej naczelnikowej protezę jak marzenie odszykował, to jego renoma ugruntowała się także wśród wszelkiego szczebla klawiszy.

Zwracano się do niego z szacunkiem: panie Arpad lub familiarnie: panie Franciszku. W taki sposób ten mój rodzony margines był za pan brat z więzienną medycyną i pięknie resocjalizował się ku zadowoleniu więziennego socjologa tudzież z własną korzyścią, wymierną w brzęczącej monecie, zarabiał bowiem lepiej niż przy jakiegokolwiek innej pracy, dostępnej dla pensjonariuszy zakładu karnego.

— Ale patentu nie mam — doszedł wreszcie do tego, co go boli; bez patentu zaś praktykować nie może, bo zaraz kolidują z prawem, a on jak nikt inny teraz uczulony jest na to prawo, żeby zaraz pozostałej dwójki nie trzeba było odsiedzieć.

— Zapoznałem się z przepisami, panie prokuratorze. Ministerstwo Zdrowia, jeśli tylko zechce, może mi zrobić egzamin eksternistyczny, wtedy miałbym dyplom technika. To jest życie!

Fascynował mnie; teraz to nie był już prymitywny lump. Mówił rzeczowo, poprawnie — wiedział, czego chciał. Nagle objawił mi się jako inny człowiek, a ja, naiwny, uważałem go za ograniczonego prostaka.

— Panie Arpad...

— Niech pan nie mówi nie! — przerwał Karolowi, błagalnie wznosząc ręce. — Ja nie proszę, aby pan mnie szwarcował! Całą teorię mam na blachę wykutą, miałem na to dużo czasu, panie prokuratorze, i przyswoiłem sobie wszystkie materiały podług obowiązującego programu. Mogę zdawać choćby dzisiaj, tylko kto w Ministerstwie zechce sam z siebie urządzać egzamin dla bywszego kryminała? Inteligentnego fachu takiemu się zachciewa, w białym fartuchu paradować, a do łopaty marginesa! Przecież pan najlepiej wie, jak to jest.

I jakby chciał uprzędzić pytanie Karola:

— W tej opiece postpenitencjarnej już byłem! Owszem, mogą mi dać zatrudnienie, ale egzaminu nie. A w ogóle to cóż one mogą, te wąsate madonny, pieścidla sprzed pierwszej światowej, społecznice nasze kochane! Niech je drzwi ścisną, pardon!

Karol załatwił mu ten eksternistyczny egzamin, miał go zdawać w czerwcu. Kiedy stary otrzymał listem poleconym formalne zezwolenie na piśmie, przysłał Karolowi przez jakiegoś faceta monstrualnych rozmiarów kosz z delikatesami z rozbijającą dziękczynną epistołą, przyklepioną do szyjki butelki koniaku. I czytając ten list odnosiło się wrażenie, że napisał go facet bez piątej klepki. Tylko Karol nie dał się zwieść jego kuglarskim sztuczkom.

Stary w zadziwiającym tempie łapał grunt pod nogami i po kilku tygodniach w niczym już nie przypominał niepewnego i zagubionego faceta, jakim mi się z początku wydał; już nie budził litości, często śmieszył albo irytował.

Mieszkał ze swoją kobietą, ale nigdy go tam nie odwiedziłem, a on nie nalegał; rozumiał, że nie przyszedłbym pod żadnym pozorem; więc mieszkał tam, jak podkreślał, chwilowo, i marzył o fortunie, którą nastuka na sztucznych szczętkach.

— Nie jestem maniak, jak o mnie myślisz, synu! Nie otworzę praktyki w Warszawie, tu więcej techników dentystrycznych niż beżpańskich kundli, a co można zarobić przy takiej konkurencji? — poszukiwał odpowiedniego miejsca w pobliżu Wielkiej Warszawy; chciał się osiedlić tam, gdzie brakuje tego rodzaju specjalistów.

Rozumował logicznie, musiałem to przyznać.

— Zrezygnujesz z warszawskiego meldunku? — miałem wątpliwości.

— Trącam warszawski meldunek, z tym miastem ślubu nie brałem, tylko się w nim urodziłem — mimo wszystko czerpał z tego faktu poczucie lepszości: on, warszawiak z dziada pradziada, jak mawiał. — Jak będę miał pieniądze, to z każdego Garwolina będę miał blisko do stolicy. Co, źle mówię?

— W Białostockiem czy Koszalińskiem prędzej znajdziesz praktykę.

— Śmierdę ci w pobliżu, synu, i chcesz mnie zesłać? — w tej chwili nic nie udawał, nie tasował swoich kart; cierpiał.

Ruszyło mnie, nie miałem nic takiego na myśli, żadnego podtekstu. Tłumaczyłem mu, jak umiałem; przecież nie wypieram się go i nie mam zamiaru unikać.

Byłem przywiązany do Karola chyba tak samo jak Tygrys był przywiązany do mnie, dzięki niemu poznałem sens trudnego i tak bardzo zdewaluowanego słowa: kochać. Kochałem Karola, był mi ojcem, matką a nade wszystko wspomniałem starszym bratem, ale przecież tego starego człowieka także kochałem. I to beznadziejne poranione uczucie przetrwało lata; było gorzkie, pełne żalu, czasami miało smak nienawiści. Ale teraz życzyłem mu jak najlepiej i bałem się o niego, bo jednak nie ufałem mu.

Myślałem — biegając na spotkania z nim jak z najukochańszą dziewczyną — jeśli mam jakiś wpływ na niego, niechże to nawet będzie ten urok pański i jego dziecka, to nie odejmę mu tego i jeśli nawet tylko dla pieniędzy pragnie dyplomu i pracy, to niechże na zdrowie robi te pieniądze, klepiąc koronki, protezy i mostki, byle tylko znowu nie

ruszył w Polskę z pistoletem po prośbie. Nie wierzyłem w tę jego zupełną odnowę moralną i nic na to nie mogłem poradzić.

Powiedziałem mu to wprost, bez upiększeń, ale serdecznie. On miał przedziwny, wspaniały dar zwierząt, instynktem odbierał prawdziwe uczucia, nie potrzebował słów. Bezbłędnie wyczuł to najważniejsze, ożywił się, poweselał.

— Żebyś wiedział, w Kołobrzegu od zaraz by mnie załapali z pocałowaniem ręki — konsekwentnie prowadził sondaż na interesującym go rynku — ale nie gwarantują mieszkania... Ale widzisz, Warszawskie to taki sam ugór, a chcę być blisko ciebie. Tak daleko od Warszawy i od pana Bielskiego tobyś za mną nie poszedł, ale bliżej, gdy się odkuję, będzie i dom, i samochód. Zobaczysz, może się przekonasz do prawdziwego ojca? Nie myśl, nie chcę cię kupić domem czy samochodem.

— Masz żonę — zwerksłowałem, bo nie chciałem psuć mu sielanki, mówiąc wprost: nie chcę twoich pieniędzy; zresztą targował skórę na niedźwiedziu, sądziłem naiwnie.

— To dziwka... wiesz, gdzie ona robi? — zakapiała w nim wściekłość i zaraz to się z niego ulało; Marta, moja macocha, była barmanką.

Ledwo to wykrztusił; oczekiwał, że będę wstrząśnięty. Nie byłem. Gdy to spostrzegł, okropnie się rozczarował; miał głęboko zakorzenione przesady i a priori dzielił zawody na godne i hańbiące. Zawód barmanki w jego odczuciu był dnem. Kobieta zamężna w żadnym razie nie mogła być barmanką, bo to okrywało niesławą męża, automatycznie wyrsały mu rogi i na to nie było żadnej rady.



— Gadasz, jakbyś się urwał ze średniowiecznego eremu, a nie...

— Więzienie ma swoją moralność, surowszą, niż ci się zdaje — zrozumiał moje nie dopowiedziane słowo.

— Ja skreślałam etykę kryminału.

— Ale to ścierka, dewizowa ścierka, rozumiesz? I głównie ma do tego wszelka etyka. Dla mnie żadna różnica, za jaką walutę ona rzyć przez dziesięć lat zdzierała.

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Jego kobieta z pewnością nie była wzorem moralności. Zresztą tyle od niego młodsza. Ile z nią był? Po roku, jak ją sprowadził, poszedł do Strzelec Opolskich. A potem rozdzieliło ich dziesięć lat. Ocean czasu, nawet gdyby go kochała.

— Podałem o rozwód — zawiadomił mnie — i zażądałam pozbawienia nazwiska, nie pozwolę, aby je plugawiła! — był śmieszny, gdy pieniał się nad splugawionym nazwiskiem, jakby cokolwiek mogło mu jeszcze zaszkodzić. Jedyne moje w życiu rodzic, lumpenproletariacki książe, walczący o honor rodowego nazwiska; a może wydawało mu się, że należy to zrobić dla mnie?

Kipiał teraz energią; jakby ją kumulował tam za murami, gromadząc skrzętnie, podobnie jak i zarobione pieniądze. Nigdy nie wiedziałem, co wymyśli następnego dnia, także nigdy się mnie w niczym nie radził, tylko komunikował, nawet ze szczegółami, co postanowił. Zapewne przez te trzy tysiące sześćset czterdzieści dni stworzył sobie drobiazgowy program; wykuł go na pamięć, podobnie jak wiadomości z zakresu stomatologii.

Pragnąłem, aby otrzymał już ten patent i zajął się łątaniem uzębień, bo niepokoiła mnie ta jego jakaś gorączkowa ruchliwość. Do najbardziej błahej sprawy zabierał się jak do szturmu. Wewnętrznie zjeżony, nieufny. On! A przeciwko

niemu reszta świata. Ja byłem gdzieś pośrodku. Bliski mu przez związek krwi, ale obcy wychowaniem, światopoglądem i tym wszystkim, co nazywał p a ń s k i e .

Pańskie było synonimem całej nadbudowy kulturowej, która mu niesłychanie imponowała, ale która, fascynując go, nigdy nie zyskała zaufania.

Żarła go zawiść o Karola i pękając z dumy, z powodu własnego przecież syna, nie mógł tym bardziej przeboleć, że to, jaki jestem, zawdzięcza Bielskiemu. I nigdy nie pojął motywów, jakie skłoniły Karola do przygarnięcia dziecka człowieka, którego oskarżał i zamknął w więzieniu na długie lata.

— Złego interesu to pan Bielski na tobie nie zrobił — powiedział kiedyś; musiał długo dumać, nim to sobie wymyślił.

Z początku nie zrozumiałem, co przez to chciał powiedzieć.

— No, prawnie to przecież jesteś j e g o — i rozwinął się; Karol ma prawo do a l i m e n t ó w ode mnie, gdy będę już wykształcony i... bogaty! Bo wykształcenie w jego pojęciu wiązało się zawsze z bogactwem. Owszem, bywają ludzie wykształceni i niebogaci. Tak! Ale to łamagi i takich trzeba było od razu posłać do łopaty, a nie na studia. Amen.

Pobudki postępowania Karola męczyły go; nie rozumiał takich uczuć jak, szlachetność czy bezinteresowność. Podnieść c u d z e g o gówniarza nieledwie z ulicy? To już nawet nie inteligenckie fanaberie, tylko kompletny bzik albo... interes.

— Ale ty jesteś moim synem!

Cóż mogłem odpowiedzieć? Byłem jego synem, ale tak

naprawdę to stworzył mnie Karol, więc milczałem, bo mimo wszystko nie chciałem mu psuć radości z tego nagle odkrytego ojcostwa.

Niepokoił mnie i świetnie o tym wiedział. Złościła go moja rezerwa. Robił wszystko, aby mnie pozyskać. A mnie — wstyd przyznać — w jakiś sposób schlebiał jego zabiegi. Cóż, to był gracz, a ja byłem zbyt zielony, aby od razu przejrzeć pokrętne drogi, jakimi chodził; jednak to przywiązanie, jakie mi okazywał, nie było fałszem.

— Jedziemy na giełdę... — zadzwonił do mnie bardzo wczesnym niedzielnym rankiem; prosił, aby mu poradzić, bo chce kupić samochód.

Znów mnie zaskoczył. Dotychczas nie zdradził się ani jednym słowem z tego zamiaru. Zaniepokojony i wściekły pobiegnę na spotkanie. Za co, u diabła, on kupi wóz?

Kupił! Kupił tę trumnę, w której potem zginął pod kołami pociągu; wielką jak hipopotam landarę, firmy Chevrolet, rocznik tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć.

Był to dychawiczny grat od razu wypatrzony przez niego wśród masy wozów zalegających pod mostem Poniatowskiego w każde niedzielne przedpołudnie.

— Stary, to karawan! — chciałem mu wyperswadować tę arkę Noego, która nie wiadomo w jaki sposób własnym napędem dotoczyła się pod przęsła mostu na Solcu.

— Nie musi być elegancki, ma jeździć — mruknął i zabrał się do oglądania eksponatu; zaraz zorientowałem się, że on nie potrzebuje mojej rady. Znał się na tym jak rasowy mechanik.

— Dopcha się toto do garażu? — rozpoczął pertraktacje z właścicielem.

— Pojazd jest na chodzie — z godnością oznajmił sprzedający; rzeczywiście p o j a z d u nie trzeba było pchać.

Zgrzytał, chrząścił, jęczał i podzwaniał, jakby miał wmontowane czynele, ale jechał. Stary kupił go za dziewiętnaście tysięcy; potem jeździł do Rembertowa na ciuchy i zwłóczył jakieś żelastwo, remontował dychawiczny pojazd. Przy każdej okazji informował mnie, jaką nową a niezbędną część zdobył do tego nietypowego wehikułu.

Po dwóch tygodniach zrobił mi niespodziankę; czekał na mnie po zajęciach pod politechniką. Już z daleka dojrzałem ten dylizans.

— Patrz, jak go wyszykowałem! — zaprosił mnie do środka ruchem hiszpańskiego granda. Sędziwy na oko wehikuł w niczym się nie zmienił, nadal przypominał starego hipopotama, ale jak niósł! Motor pracował bez szmeru. A ja, naiwniak, dałem się nabrać memu pokrętnemu tacie, jaka z niego złota rączka! Uwierzyłem bez zastrzeżeń w tę złotą rączkę, która z dychawicznej, zajeżdżonej szkapy wyczarowała doskonały wóz.

— Stawiam ci obiad — uprzedziłem jego nieuchronną propozycję. Właśnie złapałem zlecenie z „Manusia”, o jakim marzy każdy student, dochodową chałturę, trafiającą się nader rzadko. Mycie okien w szesnastopiętrowym biurowcu. Było nas dwunastu szczęśliwców, którzy — od trzeciej nad ranem — dosłownie wystali to zlecenie w biurze spółdzielni.

Wstąpiliśmy do taniego baru w pobliżu politechniki, wręcz wzruszały go moje zaproszenia i było to chyba szczerze, chociaż trudno mi się rozeznac nawet teraz w tej mieszaninie szczerości i łgarstwa, przebiegłości i udawania, z jakiej składał się mój trudny ojciec.

Trząsał się nad każdą złotówką wydawaną przeze mnie, sam natomiast miał gest dorobkiewicza. Teraz już nie

pozwalalem się zapraszać do drogich lokali. Ustępował, chociaż nie rozumiał moich skrupułów.

— Pojedziemy w jedno miejsce... — zawiadomił, gdy skończyliśmy jeść.

— Dokąd? — złościły mnie te nagłe objawienia i ta bez troska, z jaką rozporządzał mną i moim czasem.

— Zobaczysz!

— Do diabła, stary...

— Warto zobaczyć, samo życie, synu — pojechałem; w co on się znowu pakuje? Ten stały niepokój sprawiał, że towarzyszyłem mu niemal wszędzie, dokąd go nosiło. On to wiedział, czytał we mnie, jak chciał, i wygrywał mnie w sobie tylko wiadomych celach.. Ale jakich? Nie mogę tego dociec. Byłem mu w jakiś sposób potrzebny — to wiedziałem. Spóźnione uczucia rodzicielskie, ucieczka przed samotnością, szyld? Chyba wszystkiego po trochu.

Zatrzymał się na Złotej przed starą czynszową kamienicą; secesyjna brama z odbojami w kształcie brzuchatych gnomów z lanego żelaza. Wśród wielu innych mały emaliowany szyld:

„Koncesjonowane biuro pośrednictwa w sprzedaży nieruchomości — A. Pawlak.”

— Rób mądrą minę i nie odzywaj się — poinstruował mnie stary, gdy byliśmy na schodach.

Koncesjonowane biuro to był jeden olbrzymi pokój w prywatnym mieszkaniu. Połowa tego pokoju odgradzona była wielką, jak gondola, kanapą, przy niej okrągły stół i trzy ciężkie, skórzane, kluby. Pod ścianą okazały bufet z lustrzaną witryną, stojący zegar, bibeloty, kryształ, tiulowe firanki.

To była część mieszkalna, od niej wyraźnie odcinało się biuro. Linią demarkacyjną było oparcie owej kanapy;

urządzenie biura spartańskie. Małe biurko, telefon, kilka krzesłek. W głębi części mieszkalnej, w klubie, rozwalony opasły facet, za biurkiem suchy, długi, w muszce. Rozmawiał przez telefon.

— ... cena jest bez znaczenia — grzmiał zaskakującym, jak na taką posturę, tubalnym basem — no, ile w końcu? Dwa, trzy tysiące... Tak, bez meldowania, ale mój klient potrzebuje zaraz!... Oczywiście, niekrępujący, przez cały czas o tym mówię! Ile?... trzy i pół tysiąca miesięcznie, płatne za rok z góry. Dobrze, cześć! — odłożył słuchawkę.

— Czym mogę służyć? — ruchem ręki wskazał nam krzesła.

— Mieszkanie lub domek — mruknął mój stary; miał mi-  
nę bankiera.

— Meldunek warszawski jest? — zaatakowała muszka.

— Jest... willa może być w granicach Wielkiej Warszawy, zresztą poza granicami też.

— Pan szanowny z rodziną, ile osób?

— Tylko z synem, żona zostaje na starym mieszkaniu. Sprawa rozwodowa w toku — spowiadał się mój tato.

— Bez sentencji wyroku nie ma o czym gadać — wtrącił się gruby i oświecił nas: w myśl przepisów żaden obywatel nie może mieć dwóch mieszkań, zajmując jedno nie może kupić drugiego. Do tego potrzebny jest rozwód. Zanim to nastąpi, petenci mogą sobie odgryzać nosy, mogą się pozabijać na wspólnym metrażu, nikogo to nie interesuje. Mój tato nie jest ani pierwszym, ani ostatnim tego rodzaju klientem, co chce uciec od współmałżonka, aby przykry okres przedrozdowody przetrwać we względnym spokoju i równocześnie

dać ewidentny dowód rozkładu związku, bez czego z kolei trudno otrzymać rozwód.

— Nie ma tak dobrze! — zarechotał gruby; póki nie ma orzeczenia o rozwodzie, które to orzeczenie znacznie trudniej uzyskać siedząc na kupie, obywatel nie może kupić innego mieszkania, choćby miał nie wiem ile pieniędzy. Koło się zamyka. Kropka!

— I nie ma na to rady? — spłoszył się mój oblatany stary.

— Jeśli się nie ma pieniędzy, to trzeba wynająć pokój — odął się gruby; a jednak pieniądze! Ceny pokoi wahały się od tysiąca pięciuset złotych miesięcznie do czterech, przeważnie płatnych co najmniej za pół roku z góry.

To było rozwiązywanie dla b i e d a k ó w ; interesujące studium życia. Teraz przynajmniej wiedziałem, ile kosztuje niepewny dach nad głową w Warszawie.

A pewny?

— Jeśli klient nie ma trzystu tysięcy, to ja z nim nie rozmawiam — poinformował zachęcająco gruby. Aliści okazało się, że za trzysta tysięcy można nabyć dwie dziuple o najniższym standardzie.

— Prowadzimy czysty interes! — zagrzmiała muszka, chociaż nikt nie podawał w wątpliwość renomy ich interesu. — Pośredniczymy tylko w sprzedaży mieszkań spółdzielczych, do końca spłaconych. Metr kwadratowy kosztuje od sześciu do dwunastu tysięcy złotych w zależności od wyposażenia. Decyduje komfort wyposażenia i punkt, w jakim lokal jest położony. Całą transakcję zatwierdza potem wydział zamiany spółdzielni i zarząd, a tam się pan ze swoim niewyraźnym stanem cywilnym nie przecisnie, z mety odrzuca.

— My bierzemy cztery procent od sumy sprzedaży, plus koszty manipulacyjne sześć procent, razem dziesięć — zakończył instruktaż gruby. — Z małymi pieniędzmi, w pańskiej sytuacji, nic pan nie zdziała.

Po tym beznadziejnym wstępie okazało się jednak, że jeśli klient dysponuje przyzwoitą sumą — od pięciuset tysięcy wzwyż — to można bimbać przepisy.

Zatkało mnie; rzucali tymi setkami tysięcy od niechcienia, pogardliwie, dając do zrozumienia, że to detal i w ogóle kramarskie zawracanie głowy.

Sprawiali wrażenie dwóch sępów, wietrzących świeże ściervo. Byli antypatyczni i mimo całego prawniczego wystroju nie budzili we mnie zaufania.

— Nabycie własności hipotecznej! — znalazł wyjście gruby. — Willa w Warszawie? Proszę bardzo, ale na to trzeba mieć najmniej milion. Skromniejszy domek w granicach miasta? Jest domek, a jakże. Jednak najmniej pięćset tysięcy. A na przykład w W e s o ł e j można było kupić komfortowy dom i tysiąc metrów ogrodu za pięćset pięćdziesiąt tysięcy.

Panowie nie omieszkali uprzedzić, że to niebywała okazja, i radzili śpieszyć się z decyzją.

— Za co chcesz kupić dom? — zapytałem po opuszczeniu koncesjonowanego biura.

— Kto tu mówi o kupowaniu? — wyglądał na zawiedzionego, brutalnie obudzonego z przyjemnego snu.

— To po co tracisz czas?

— Chciałem wiedzieć, jakie mam szanse na osiedlenie się w Warszawie lub w pobliżu — zamruczał. — Nie mam... ulokuję się gdzieś w województwie, tam prędzej kupię dom, gdy zacznę zarabiać.

— Koniecznie musisz mieć dom?



— Nie muszę, ale przyznasz, trzeba gdzieś mieszkać, nie?

I on kupił ten dom! Tę niby okazję w Wesolej. Sądząc po dacie testamentu, kupił go zaledwie w kilka dni po tej pamiętnej rozmowie; kłamał, wciąż kłamał!

— Agnieszka!

O świecie! czego ona ode mnie chce? Ledwo w ławce siedzę i walczę, aby nosem w pulpit nie ryć, a ona mnie Wyściańskim dręczy.

— ... co mi w duszy gra... — bąkam od rzeczy, w klasie ucieszny szmerek, słycać już głośne chichoty, a mnie w duszy skomli — iii... jeśli wysunie się z za przegrody zębów... — oni już nie chichoczą, oni ryczą; ale co ja plotę, o raj! Przecież to „Iliada”, fraza, zdaje się, Pallas Ateny.

— Siadaj, Agnieszka, o czym ty myślisz, w ogóle nie uważasz — znieśmaczona magistera od polskiego, tak ją przezwaliśmy w klasie, ostentacyjnie namalowała ptaka w notesie przy moim nazwisku; dzień po dniu dwa ptaki — fatalnie! U niej cztery takie znaczki to hak, czyli godna dwója, trudna do odrobienia.

— Obecna, ale nieprzytomna — scenicznym szeptem wymamlał pierwszy klasowy lizus, nakrapiany pryszczami; opinia publiczna twierdziła, że ten trądzik ma od lizania tu i ówdzie ciała, oczywiście pedagogicznego.

— A naskocz mi — nie cierpię go i w ogóle jestem z nim: per świnia, ale moja odzywka nie tylko jemu w ucho wpadła; magistera zrobiła lodowate oczy i namierzyła Krostę, a w drugiej kolejności mnie. Cisza zrobiła się jak w lesie przed

świtem, bo jak ona pośle takie spojrzenie, to nie ma odwagnych.

Coś w niej takiego siedzi; jak nas jest czterdzieści dwie sztuki, każdy ma dla niej respekt. Niska, z lekko posiwiatą czuprynką i twarzą bez zmarszczek, małą łapką wyrabia nas jak ciasto. Nie pobłaża, wymaga jak diabli, a mimo to lubimy ją. Ma swoje dobre strony: nie głądzi, prawie bezboleśnie wtłacza w nas najbardziej zdarte prawdy, a równocześnie zmusza do myślenia. Mądra jest i sprawiedliwa ta nasza surowa wychowawczyni. Wymaga? — jej prawo, lecz traktuje nas poważnie, jak równych sobie, a nie jak zgraję infantylnych bębnow. To się liczy.

O świecie! Strasznie mi źle. Miotam się jak mucha na sznurku, bez żadnego dystansu do sprawy, bo na amen przyłgnęłam, do chłopca; byłam już pewna, że jestem stara, przeżyta, uodporniona doświadczeniem i dlatego nic mnie takiego nie trafi; a w ogóle — jak myślałam — wokół miłości robi się zbyt wiele ceregieli, w istocie rzeczy zaś to tylko umowa cywilizowanych szympansov i literatura; jakoś trzeba było nazwać ten cały proces służący rozmnażaniu.

Z wyżyn swojej wiedzy, bynajmniej nie nabytej w szkole, z pobłażaniem obserwowałam, jak moje koleżanki robiły treść życiorysu z jakiegoś chłopaka; czasami mi się zwierzały, bo byłam dyskretna i cierpliwie słuchałam, ale słuchałam nie z przyjaźni czy sympatii, czego one zupełnie nie wiedziały, te wypieszczone córunie tatusia i mamusi, tylko z ciekawości: jak to jest, co się czuje?

I doszłam do wniosku, że ja albo już się urodziłam bez tej cechy, albo została we mnie zniszczona, zanim się rozwinęła; to nie było przyjemne odkrycie, taki błąd w wewnętrznej

konstrukcji, coś jak psychiczny platfus, nie?

Ale nie tylko tą ułomnością, czy jak to nazwać, różniłam się od dziewczyn, więc starannie ukrywałam moją inność.

Niekiedy bawiłam się myślą, co by zrobiły matki moich koleżanek, gdyby wiedziały, co siedzi we mnie pod skórą niezłej uczennicy, na pozór zwyczajnej dziewczyny, dziecka samotnej kobiety. Carramba!

Rozdarłby się chór zgorszonych rodziców: pręgierza, włosiennicy, stosu! Zlinczowałyby mnie własnoręcznie.

Gdy zdałam do tej szkoły, Mirka, imponujący okaz dennej snobki, nie chciała dzielić ze mną ławki, z córką s a l o w e j ! A moja matka zdobyła się na nie byle jaki heroizm i poszła do roboty — tylko ja wiem, jakie to było dla niej poświęcenie — po to jedynie, abym w nowej szkole miała szyld socjalistycznie tyrającej starej, bym nie startowała w świeżym środowisku jako dziecko kobiety, która nie wiadomo z czego żyje. Gdyby starzy Mirki, jedynaczki jakiegoś bonzy z Handlu Zagranicznego, znali nasze prawdziwe źródło utrzymania, pewno zażądałoby, aby w klasie ustawiono dla mnie klatkę.

Nie dotknęło mnie zagranie tej dziewczyny, a od upokorzenia uchroniła reszta, niemal cała reszta klasy. Co by się o nich nie powiedziało, nie zawód czy status rodziców jest dla nich miarą ludzi. Toteż postawa Mirki wywołała niesmak. Któryś z chłopców przeraźliwie gwizdnął.

— Te, schowaj twarz, bo na małpy polują! — wrzasnął inny, wyszczerzając się do niej; zawrzało jak w garnku.

Uśmierzyła nas magistera i zaraz na jej pierwsze pytanie o powody zamieszania — bo mała snobka szlochala — Pryszcz doniósł. Magistera zgasiła go tym swoim, słynnym później,

spojrzeniem i bez żadnego komentarza poprowadziła lekcję.

Nazajutrz w klasie przybyła jeszcze jedna ławka — stała w pierwszym rzędzie.

— Proszę cię, Mirko — magistera wskazała jej nowe miejsce. To było samotne miejsce, i chociaż polonistka nie dodała więcej ani słowa, wszyscy wiedzieli, nawet ten koleś Mirka, że to nie wyróżnienie. A ja poczułam się okropnie; najpierw wielkie wzruszenie i ciepło, które noszę w sobie do dziś, dla tej tak oszczędnej w słowach, a tak wymownej pani, ale także i lęk, i wstyd! Poczułam się niewarta jej troskliwej uwagi, poczułam się jak oszust.

Dotychczas byłam niemal idealnie rozszczępiona, robiłam to wszystko, co ukartowała matka, z posłuszeństwem tresowanego zwierzęcia — a przecież także nie mogę powiedzieć, że matka mnie zmuszała, bo gdybym nie chciała sama, nie dałabym się zmusić. Godziłam się na wszystko i wcale nie czułam się zdemoralizowana, cyniczna, zła czy jak się to jeszcze nazywa. I na dobrą sprawę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Być może to dobre samopoczucie dawała mi szkoła, bo przecież według obiegowej opinii zdeprawowana młodzież nie chce się uczyć.

Może byłam zdeprawowana nietypowo, ale co dzień bez przykrości maszerowałam do szkoły, nawet po nocy w knajpie do białego dnia.

Szkoła i reszta to były dwa niespójne ze sobą światy, dwa całkiem inne wymiary. Bez trudu, bez oporów przekraczałam tę niewidzialną granicę i nie miałam z tego powodu żadnych zgrzyzów, dusznych rozterek czy wyrzutów sumienia.

Istniałam na dwóch planach, odrębnie; na jednym Agnieszka, na drugim Pstrąg.

A po raz pierwszy zważył się na mnie moralny kac, taki mały Dostojewski, za sprawą magistery. Agnieszka i Pstrąg scaliły się w jedną osobę i wyszczerzył się do mnie jakiś Janus o dwóch twarzach. Z jednej strony uczennica, z drugiej szkaradny pyszczek, czego? No właśnie, Pstrąga...

O świecie! Jakiż zamęt wywołało we mnie pojawienie się tej malutkiej nauczycielki — gdyby wiedziała! A ja w pierwszym odruchu zapragnęłam wszystko jej opowiedzieć.

Opanuj się — odezwała się we mnie ta druga trzeźwa osoba — ona broni godności ciężko pracującego człowieka, za jakiego uważa twoją matkę. Chroni przed upokorzeniem Agnieszkę-uczennicę, a nie Pstrąga!

Ostygłam; minęła mi naiwna chęć zaszemrania jej w biust, pozostało jednak jakieś poczucie winy względem magistery, co miało taki skutek, że bardzo starałam się z jej przedmiotu. I znów Janus się rozdzielił; Pstrąg pływał sobie po mętnych wodach, zaś Agnieszka przykładowie tupała do szkoły i pilnie uczyła się polskiego.

A teraz znów scaliły się oba moje światy i jeszcze dotkliwiej odczułam, że Pstrąg i Agnieszka to niestety jedna osoba i zawsze tak było, jest i będzie, a to rzekome rozdwojenie to zajadłe załgiewanie siebie od czoła aż do pięt.

Anim się spostrzegła, jak przywizałam się do Piotra na śmierć i życie, i wtedy dopiero, jakby obudzona, zobaczyłam, jak beznadziejnie dzieli mnie od niego ta mętna woda, po której dotąd beztrąsko nurkał sobie Pstrąg.

I nagle się okazało, że tamto wszystko, co uważałam za

normalkę, to wcale nie zagrania jakiejś tam dziewczyny, tylko integralna część biografii Agnieszki Czarnoty; życiorys, nie wypracowanie, nie da się go w żaden żywy sposób przerobić i przepisać na czysto.

I jak to jest? Przez parę lat, nie zdając sobie z tego sprawy, taplam się w kaczym błocie? Przecież to nieprawda! Zdawałam sobie sprawę doskonale, ale nie tylko mi to nie przeszkadzało, lecz na odwrót, był czas, że bawiło, a nawet dostarczało satysfakcji.

Czy właśnie taką wewnętrzną postawę nazywają głęboką demoralizacją? Dopiero teraz zaczęły dokuczać pytania, które dotychczas nigdy nie przychodziły mi na myśl.

Podsumowanie wypadło paskudnie! Skręcił mnie wstyd, ogarnęło obrzydzenie. I to wszystko sama przed sobą — zupełnie niezwykle! Owszem, wiedziałem, co to wstyd, ale tylko przed innymi, zwłaszcza jeśli się coś wydało i już nie można się było wykłamać. Ale tak, we własnym wnętrzu, i tylko wobec siebie?

No, niezupełnie wobec siebie, w tle był Piotr. W tle! Horyzont przesłaniał Piotr.

Wywlekałam z siebie wnętrzości i przyglądałam im się pod światło, dziwiąc się, że nie pachną; chwilami nienawidziłam Piotra, bo to przez niego sprawiłam sobie te straszne rekolekcje; a gdy już uszarpało mnie babranie się w moim fatalnym wnętrzu, tęskniłam za dawnym spokojem, kiedy godziłam się z tym, co wyprawiał Pstrąg, i było mi zupełnie dobrze. Więc po kiego diabła to kajanie? Przecież niczego nie sposób odrobić!

A gdyby tak Piotr był podobny do Pryszcza? — włączała się ta druga, trzeźwa Agnieszka — to także zaczęłabyś nicować sobie bebechy?

Ale Piotr nie był podobny do Pryszcza — w tym cała bieda.

A ja nie widziałam żadnego wyjścia i znów zżerałam się jak skorpion. No to mogłam mieć głowę do nauki?

I pomyśleć, że cała ta piekielna algebra zaczęła się od tej pijawy Arpadowej.

— Agnieszka, chodź do mnie — spotkała mnie na podwórku, gdy wracałam ze szkoły; byłam głodna, chciałam najpierw wstąpić do domu. — ...nie, zaraz, jest coś pilnego, u mnie zjesz.

Poszłam do niej.

— Pstrąg, ale to tylko między mną a tobą — podkreśliła.

— Nie pierwszozna — wzruszyłam ramionami, bo po co ten wstęp, ona nigdy nie miewała do mnie spraw, którymi można byłoby się chwalić.

— Przed matką też ani pary — zastrzegła; to dlatego czatowała przed domem i zabrała mnie prosto do siebie. Chciała uniknąć wścibstwa mojej starej, która jakimś szóstym zmysłem potrafiła zwietrzyć każdy interes, bo moja matka była pies na pieniądze, ba! Ona je kochała. Gdy zrobiłam się starsza i mądrzejsza, zrozumiałam, że po rozlicznych brutalnych życiowych zawodach pozostała jej już tylko ta miłość; pieniądze nigdy jej nie zdradziły, służyły wiernie, jeśli je tylko zdobyła.

— Dostaniesz pięćdziesiąt złotych dziennie — przystąpiła do rzeczy Pijawa.

Aha! Stąd ta konspiracja, bo matka wycisnęłaby z niej na pewno dwa razy tyle albo i więcej, a Arpadowa nie mniej była przywiązana do pieniędzy niż moja stara i cierpiała na każdą wydaną złotówką.

Zgodzić się bez wiedzy matki? — jak zwykle latałam bez grosza, bo moja matula miała swoisty i niewzruszony pogląd

na wychowanie córki; osobliwość! Nigdy nie zrozumiałam, jak ona to godziła. Nakłaniając mnie do różnych świąstwow, równocześnie była święcie przekonana, że mnie troskliwie wychowuje. A jednym z kanonów jej wychowania było: nie daje się pieniędzy do ręki — kropka.

Biedna stara! Czasami było mi jej strasznie żal, a w ogóle kochałam ją, bo tylko ją jedną miałam na świecie i była jedynym człowiekiem, którego rzeczywiście obchodziłam. I była dla mnie dobra, nigdy mnie nie uderzyła, i dbała o mnie, jak tylko potrafiła.

Przy całej swej chciwości nie skąpiła na mnie pieniędzy. Przeciwnie, miałam magnetofon i adapter, i płyty, jakie tylko chciałam, bez szemrania supłała często niemały grosz na upatrzone przeze mnie łań, gdy podrosłam już, zawsze byłam modnie i dobrze ubrana. Bez słowa dawała mi pieniądze na książki, i to nie tylko na podręczniki — bo to było tabu i świętość — ale również na każdą inną, chociażby była najdroższa.

Do książek, chociaż ich nigdy nie czytała, żywiła nabożny szacunek. Były dla niej atrybutem lepszego życia, pańskiej sfery — jak powiadała. Upodobniały jej dziecko i jej izbę do domu pewnego profesora, u którego służyła w młodości.

— Jeden pokój to caluśki był wytapetowany książkami — wspominała; zapadło to w jej pamięci, kojarzyło się z wielopokojową willą, ogrodem, dobrobytem i czymś jeszcze nie dającym się przeliczyć na konkretne wartości, czego nie umiała wypowiedzieć.

— To był wielki pan! — wzdychała wciąż pod wrażeniem tamtej niepowtarzalnej wizji — wszystko elegancko, naukowo! A człowieka jak uszanował... Miał córkę, Agnieszka jej było.



Nie tylko imię zawdzięczałam profesorowi, coś jeszcze wyniosła ta prymitywna kobieta z atmosfery tamtego domu: tęsknotę do lepszego życia, które może przyjść poprzez książki. Na ten cel dawała mi każdą sumę, sprawdzając skrupulatnie cenę na okładce.

— To musi bardzo dobra książka — mawiała z przekonaniem, jeśli cena była wysoka.

Dzięki temu jej snobizmowi przybyło mi piękne wydanie Szekspira i encyklopedia. Handlując tą swoją siwuchą wypatrzyła je u starego straganiarza, który cały swój kram mieścił na platformie zbudowanej na podwoziu dzieciennego wózka; taki bazarowy bukinista.

Jej biedną wyobraźnię pobudziła piękna, choć już podniszczona oprawa; dumna i triumfująca przytaszczyła wszystkie tomy w worku, przekonana, że wysuwała się na bardzo dobre książki.

— Matka, jesteś gigant! — pochwaliłam ją; Boże! Jak się wzruszyła ta moja orlica intelektualna.

— Nie jesteś gorsza od innych — zaznaczyła; to także była jej słabość. Starła się, jak potrafiła, abym nie czuła się pasierbem losu, upośledzonym dzieckiem, które nie znało ojca. Bolała nad tym skrycie i nie zatarły tego mijające lata. Nękało ją stale poczucie winy wobec mnie za ten permanentny brak tatusia.

Gdy byłam bardzo mała, chyba odczuwałam brak ojca, bo Ignęłam do mężczyzn, a najbardziej do pana Walasiaka — do dziś ma zakład w naszym domu od frontu — bo zawsze, ilekroć mnie spotkał na podwórku czy przed domem, miał dla mnie dropsy albo loda czy lizaka.

Matki nie bywało po całych dniach, ja z kluczem do mieszkania, zawieszonym na szyi na tasiemce, bobrowałam po podwórku; po chodniku przed kamienicą truchtałam już

z premedytacją, tak aby mnie dojrzał przez szybę warsztatu.

— Agnieszka, wracaj! — wychodził na próg — jeszcze cię co przejedzie! — ani mi w głowie było wybiegać na ruchliwą jezdnię; mając sześć lat doskonale wiedziałam, że to niebezpieczne.

— Chcę loda, lizaka, ciastko — żądałam zależnie od pory roku.

— Ach, ty naciągaczko! — śmiał się, podnosił mnie do góry, czasami brał na barana i tak paradowaliśmy do sklepu czy pobliskiej budki z lodami. I to, że brał mnie na ręce, że siedziałam mu na ramionach obejmując za szyję, było nie mniejszym szczęściem niż lizak, dropsy czy kolorowe kulki lodów w waflowym kubeczku.

Lubię go do dzisiaj, chociaż już nie częstuje mnie drop-sami, a cd pewnego czasu kłania się pierwszy, jak dorosłej osobie.

Kiedy matka dostrzegła naszą przyjaźń, zaprosiła pana Walasiaka do domu — przyszedł. Postawiła wódkę i wtedy po raz pierwszy usłyszałam sagę o mężu.

Od tamtej pory, szczególnie gdy sobie wypija — nie piła nałogowo, nie piła z klientami, którym sprzedawała wódkę, a i nie przypominam sobie, aby gromadziło się u nas jakieś jej towarzystwo, ale od czasu do czasu, szczególnie w sobotę, samotnie w domu pociągała wódkę i najczęściej wtedy słyszałam znowu historię o ojcu.

— To był mąż i ojciec... — tak niezmiennie zaczynała swą balladę o wspaniałym mężczyźnie; była kochana, jak żadna kobieta na świecie, piękny był i silny, miał kruczają czuprynę — ... po nim wzięłaś te włosy i po nim te oczy zielone — rozmarzała się matka.

Dbał o nią i nic nie pozwalał jej robić; miała zawsze

staranny manicure i pierścionki na palcach, miała bransoletkę z platyny i złoty zegarek, kupił jej futro i najmodniejsze sukienki, i pantofle nie byle jakie, tylko na zakaz, czyli na zamówienie od przedniego rzemieślnika.

— A co to jest platyna? — przez lata fascynowała mnie ta opowieść o ojcu jak najpiękniejsza bajka. Zresztą była to jedyna bajka, jaką ona mi opowiadała, innych nie znała.

— To takie coś jak złoto, tylko jeszcze droższe — zadowalało mnie to wyjaśnienie, chociaż także nic nie wiedziałam o złocie.

Chodzili do restauracji i tańczyli, ona codziennie wkładała inną sukienkę i była najpiękniejsza, i jedli wspaniałe rzeczy, które podawał im ober — jak nazywano kelnera.

— A kto w domu sprzątał, prał? — intrygowały mnie re-alia.

— Mieliśmy służącą — nalewała kolejny kieliszek i wyjaśniała mi drobiazgowo funkcje pomocy domowej, w tym nie myliła się nigdy, bo reszta zmieniała się, przybywały nowe szczegóły w miarę, jak doskonaliła swą opowieść, i w miarę, jak rosły jej aspiracje. Więc najpierw mój ojciec był ogólnikowo: przy wojsku, potem uzyskał stopień podoficerski — sierżant, po kolejnym retuszu objawił się już jako oficer, następnie stał się kapitanem. Dalej już nie awansował, widocznie dalej nie sięgała jej wyobraźnia. Więc był kapitanem i zginął tragicznie.

Gdy byłam małą, wyłapywałam sprzeczności, ale mi nie przeszkadzały, jej opowieści były piękne i naturalne, a jednocześnie niezrozumiałe, jak platyna i złoto.

A tak naprawdę to miałam ojca z kalendarza; w urzędzie stanu cywilnego wybrano pierwsze lepsze imię i wpisano do

mojej metryki jako imię ojca. A moja matka nigdy nie była wdową, bo też nigdy nie zdarzyło się jej mieć męża. W latach młodości była właśnie służącą. Gdy miała wychodne, szła do kina, na spacer pod Cytadelę lub na Bielany, gdzie pełno było wojskowych. I któregoś wieczoru, może gdzieś w Bielańskim Lasku albo nad fosą pod Cytadelą, a może gdzieś indziej, poczęła mnie z jakimś żołnierzem, być może nawet czarno-włosym, którego nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś spotkała.

I zapewne tylko dlatego przyszłam na świat, bo za późno spostrzegła swój stan, niepożądane dziecko przypadku. Musiała mnie jednak pokochać, skoro nie oddała mnie do Domu Dziecka lub jakimś bezdzietnym ludziom. Nigdy jej jednak tego nie powiedziałam i nie pytałam, jak było naprawdę, bo nie miałam serca burzyć jej biednej legendy, w którą z biegiem lat chyba uwierzyła i która była jedynym promieniem i jedyną poezją jej ubożego życia.

Tak, moja matka była bardzo prymitywną kobietą, ale moją matką, a ja ją kochałam. Mimo to od pewnego czasu przestałam jej się zwierzać i we wszystkim słuchać, i teraz byłam skłonna bez jej wiedzy przyjąć propozycję Arpadowej.

— Dobrze — przystałam w ciemno — ale ja nie mogę zarywać szkoły, bo już i tak podpadłam — miałam wtedy jakieś zgryzy z fizyki i nie chciałam nawet za cenę pięćdziesięciu złotych dziennie złapać lufy na okres. Uczylam się średnio, jednak nie byłam tępą, postanowiłam twardo zdać maturę, nawet przysiedzieć fałdów, aby wyciągnąć jak najlepsze noty, bo chciałam startować na studia, a tak!

Tylko na tej drodze widziałam szansę, aby nie powtórzyć

życiorysu mojej matki; był dla mnie wystarczającą przestrogą i wskazówką, jak nie należy postępować.

— Zginął mój mąż — Marta zrobiła okolicznościowo smutną twarz; wiedziałam, całe podwórko wiedziało. Osobiście nie miałam żadnego sentymentu do starego Arpada, zaledwie go przecież znałam, ale mimo jej miny i krepy na rękawie nie wierzyłam w szczery żal Pijawy. Zaraz przyszły mi na myśl te markowe wozy i eleganccy faceci, którzy nieraz odwozili ją do domu.

— Wiem — powiedziałam; nie rozumiałam, co to ma wspólnego z dniówką, którą chce mi płacić.

— Pójdiesz na pogrzeb, jutro o dwunastej na komunalnym... Tylko ten jeden raz zwolnisz się ze szkoły — uprzedziła moje skrupuły; ostatecznie mogłam to zrobić bez kartki od matki, starczy, jeśli powiem magisterze.

— Przypominasz sobie Piotra? — zapytała; pewno, pamiętałam go, mego podwórkowego przyjaciela, który czasami zabierał mnie na fascynujące wyprawy w miasto. Ale to było strasznie dawno, w jakimś pozaprzeszłym życiu. Głęboko utkwilo mi w pamięci to, co wówczas stało się z jego ojcem. Od tej sensacji wrzało w czterech oficynach, a potem Piotr znikł, zabrał go prokurator.

— Zaprzyjaźnisz się z nim — doszła do sedna Arpadowa.

— Na cmentarzu! — czy ona nie rozumie, jakie to niesmaczne? Przecież umarł mu ojciec, jaki by tam nie był, ale rodzony ojciec, a ja mam tam iść i jak jaka hiena żerować na nieboszczyku!

— Dobra okazja, abyś się Piotrowi przypomniała — orzekła ta glista; a potem miałam go poderwać i pilnie nadstawiać uszu, co będzie mówił o swoim starym.

— Jeśli mu się spodobaś, dowiesz się od niego, co zechcesz, i nawet nie ciągnąc go za język. Wierz mi, mężczyźni to bardzo głupia rasa. Zaufają pierwszej dziewczynie, która im się spodoba. Coś o tym wiem, moja mała!

— A jednak mąż chciał panią porzucić — palnęłam, zanim pomyślałam, bo o tym także wiedziało całe podwórko.

— Przestał mnie kochać — nie obraziła się, chociaż była szybka do gniewu.

— Nie muszę spodobać się Piotrowi — zagadywałam tamtą niezręczność.

— Jesteś śliczna — zaczęła się podlizywać jak zwykle, gdy coś ode mnie potrzebowała — i jeśli tylko zechcesz się postarać... ale musisz mądrze postępować... — otrzymałam instruktaż, jak mam zagrywać dziewczynę pozytywną, jakbym o tym sama nie wiedziała. Czy ja naprawdę jestem taka pokrętna? Pijawa wiedziała o mnie co nieco i miała na mój temat określone zdanie. Ale jaka ja jestem naprawdę? Przemknęło mi wtedy przez myśl: O świecie! jak ja o sobie nic nie wiem!

— Bądź bardzo miła dla Bielskiego.

— Nie — nie, za żadne skarby świata nie chcę już podobać się starym facetom, mam do nich uraz, zbyt paskudną dostałam szkołę.

A wszystko zaczęło się od przypadku; wprowadził się na nasze podwórko fotograf, adaptował na atelier strych. Nad bramą przybył pokaźny, wieczorem podświetlony neonem, szyld, a na nim wołami: FOTO-LUX i oszklona gabłota z fotosami produkcji mistrza.

Nie miałam wtedy jeszcze czternastu lat, ale gabaryty już takie, jak dziś — rozwinęłam się bardzo wcześniej i wiedziałam, że jestem ładna. Gdybym nie miała lustra, poznałabym to po zachowaniu moich kolegów. Chłopcy co jeszcze

niedawno dokuczali mi i mieli w pogardzie cały babski ród, z dnia na dzień przemienili się w dżentelmenów; na wypródkę nosili moją torbę z książkami, a rano cała gromada czekała na mnie pod bramą, aby razem iść do szkoły.

Byłam dumna, mała idiotka, z tej mojej urody i z dużym upodobaniem wypróbowywałam, jak działam na mężczyzn. Cóż, mózg nie nadążał!

Fotograf zaczął mi się kłaniać, potem zagadywać; pożerał mnie oczyma, a ja rosłam z dumy, widząc, jak się stoszy przede mną i dla mnie, chociaż wcale mi się nie podobał i wydawał się wiekowy.

— Matura blisko? — zagadnął mnie kiedyś; brał mnie za znacznie starszą, nie wyprowadziłam go z błędu.

— Moja matura była dwanaście lat temu... Pewno wydaję się pani stary? — tokował niby to melancholijnie; nosił długie włosy, dzinsy i młodzieżową kurteczkę, wyraźnie oczekiwał zaprzeczenia.

— Wszyscy będziemy starzy — pocieszyłam go; posmętniał, pożegnał mnie chłodno. Jednak nie zniechęcił się, następnym razem był konkretny. Zapropował mi próbne zdjęcia. Zachwycił się moją oryginalną urodą i chce mnie wylansować.

— Film potrzebuje nowych twarzy — mimochodem wspomniał, jak to przyczynił się do kariery pewnej aktorki, tu padło znane nazwisko, i wielu modelek, które także trafiły na ekran, tu znów jakieś nazwiska.

Nie byłam naiwna, bo w naszej dzielnicy dziewczyny od szczeniaka chodzą po ziemi, jednak pociągała mnie kariera aktorki, jak niemal większość dziewczyn w cięłym wieku.

— Nie będziesz wystawać w bramie — w domu napadła na mnie matka — i suszyć zębów do byle kogo!

— Podobam mu się! — pochwaliłam się, bo i ona dumna była, że ma piękną córkę.

Znałam źródło jej fatalnego nastroju, właśnie zapłaciła grzywnę w kolegium orzekającym, masę pieniędzy: cztery i pół tysiąca złotych. Była bez grosza i bez perspektyw, aby w najbliższym czasie uruchomić handel w domu.

Znów będzie przepadała na całe noce na Zieleniak, wracała rano zmarnięta i niewyspana. Od lat zżyłam się z tym rytmem, był dla mnie naturalny, niemal jak pory roku.

— Ty głupia, może ci krzywdę zrobić... — w sposób ordynarny wyjaśniła, czego się mogę spodziewać od mężczyzny; mówiła ze złością, z głuchą pretensją, z nienawiścią, lecz czułam, nie kierowaną do mnie. Wtedy byłam za mało dojrzała, aby zrozumieć, że ona przez całe życie nosiła uraz do mężczyzny, a może tylko do tego jednego, z którego przyczyny urodziłam się ja, i teraz pragnęła mi przekazać swoje upokarzające doświadczenia.

Jak kamienie padały na mnie jej brutalne słowa i chociaż dawno już nie wierzyłam w bociany — na moim podwórku dzieci wcześniej dowiadują się o wszystkim ze szczegółami — strasznie mnie rozstroiło, że to ona mi o tym mówi w taki plugawy sposób; czułam się poniżona, siedziałam czerwona ze wstydu i błagałam ją w duchu, aby wreszcie umilkła; do tychczas ona jak ognia unikała tego tematu.

— Przestań! — nie wytrzymałam i rozplakałam się histerycznie. Trzęsłam się krzycząc: — Przestań, przestań! — i długo nie mogłam się uspokoić, chociaż ona przestraszyła się mojego wybuchu i urwała w pół słowa.



— Córeczko, ja tylko chciałam cię ostrzec — zupełnie nie rozumiała, że waliła mnie obuchem w łeb. A ja nie potrafiłam jej wyjaśnić, co czuję, zresztą byłby to próżny trud, i tak by nie pojęła.

Jednak dotarło do niej, jak mi jest źle, i że to z jej przyczyny; zakrzętnęła się zaraz koło kuchni i zaczęła pitrasić coś, co ja lubiłam. Gotowała świetnie, a swoje przywiązanie okazywała w bardzo prosty sposób: smaczny kąsek, nowa sukienka czy jakaś inna r z e c z . Inaczej nie umiała, była jak niema, jak człowiek niepiśmienny. — Taki fotograf to musi dobrze zarabiać — zaczęła niespodziewanie w kilka dni później — zawsze świeży grosz ma, no nie?

Nie zwracałam na to uwagi, biorąc jej pogwarki za reminiscencje tamtej awantury. Nic nie odpowiedziałam.

— Agnieszka, damy mu popalić! — chciała mu zrobić przykrość. Nie rozumiałam jej zajadłości, przecież nie zrobił nam nic złego.

— Uwiadomisz mnie, jak cię zaprosi, i pójdziesz do niego.

— Co chcesz zrobić? — zastrzygłam uchem, bo zwietrzyłam drakę i, niemądre ciele, nie miałam nic przeciw.

— Zobaczysz, tylko rób, co ci powiem... — jej zalecenia nie były skomplikowane. — Nic się nie bój, nie dam, aby ta świnią zrobiła ci krzywdę! — dławiała się wściekłością nazywając go świnią. Wtedy pomyślałam: doznała od niego jakiejś zniewagi czy upokorzenia i stąd ta nienawiść.

Dopiero potem zrozumiałam motywy tej zemsty, które powodowały nią oprócz zwykłej chciwości; byłam maczugą w jej rękach, ona po prostu brała o d w e t za tamtych, którzy kiedyś ją sponiewierali.

Fotograf znów mnie zaczął i ponowił zaproszenie; do

fotosów, mogących utorować mi drogę do kariery, dorzucił adapter.

— Moja mama mi nie pozwoli — ćwierknęłam zgodnie z zaleceniem mojej rodzicielki.

— Mama krótko cię trzyma? — gładko zaczął mnie tykać.

— No nie, ale jeśli się dowie... — udawałam rozterkę.

— Ja jej nic nie powiem — zapewnił uroczyście, z miną spiskowca.

Wieczorem przemknęłam do niego, za mną potruchtała moja matka i przyczaiła się w zakamarkach strychu.

Tak jak zapowiedział, drzwi były otwarte. Nie udawałam onieśmienia. Peszyło mnie sam na sam z takim starym mężczyzną i to mieszkanie, atelier, jak je nazywał, istne panopticum tandety i fatalnego smaku.

Posadził mnie na bujającej się kanapie, która miała nad sobą baldachim z jedwabiu, a wisiała na ozdobnych sznurach, przytwierdzonych do sufitu; skrzyżowanie otomany i hamaka. Przed sobą miałam stolik z czarnym blatem w kształcie nerki. Stała na nim butelka wina, słodycze i owoce. Pod spodem była druga nerka zabezpieczona balustradką, a w środku butelki.

Zaraz nalał do kieliszków, włączył adapter i klapnął na tę kanapę obok mnie, aż się ugięła.

Urwie się — pomyślałam — a my wylądujemy na podłodze zawadzając o tę podwójną nerkę.

Skrępowanie nie ustępowało, on coś mówił, ja siedziałam sztywna od tremy i było mi go nawet trochę szkoda za to, co miało go spotkać, bo zachowywał się spokojnie, nie zadzierał mi sukienki, żadnych obłapek ani nawet całowania, co zgodnie z instrukcją starej miało być sygnałem do podniesienia alarmu.

Nie zacznę się przecież drzeć ni z tego, ni z owego, medytowałam, trochę nawet zawiedziona, a on i do picia mnie nie namawiał.

Zmęczyłam dwa kieliszki wina, nie smakowało mi, było cierpkie, więc zjadłam ciastko; zaczęło mi się nudzić; aby coś powiedzieć, zapytałam go o te zdjęcia.

— Chodź — ożywił się i pociągnął mnie na drugą stronę swego hangaru z olbrzymim oknem w pochyłym stropie. Pstryknął raz i drugi, nie jestem pewna, czy pofatygował się, aby założyć kliszę; potem przyturlał tę czarną nerkę — bo ta draczna konstrukcja była na kółkach — do olbrzymiego dywanu ze skrawków futra, zgarnął na stertę jaśki w kolorowych poszewkach z jedwabiu, improwizując siedzenia, i nalał znów wina. Opera!

— Kwaśne — orzekłam, bo nie miałam najmniejszego zamiaru nadal umartwiać się tym świństwem; wtedy jeszcze zupełnie nie znałam się na winie. Teraz zresztą też nie bardzo, wytrawne dalej mi nie smakuje, ale teoretycznie zostałam podszkolona, do czego pije się białe, a do czego czerwone. A ten serwował mi „Egri Bikaver” pod tortowe ciastka.

— To będzie lepsze, spróbuj — i nalał mi do szklanki wermutu. Był słodki, więc wypiałam go z przyjemnością, buchnął mi zaraz do głowy, bo chociaż w domu miałam kram z wódką i matka czasami piła — nigdy zresztą nie zalewała się — to jednak jakoś uchowałam się bezalkoholowo; nie miałam smaku do gorzałki, a i matka nigdy by mi jej nie dała.

Zrobiło mi się bardzo wesoło, natychmiast to zauważył.

— Chcesz mieć próbne fotosy? — gadanie, pewno, że chciałam. — To musisz się rozebrać!

No, ciemnoto — pomyślałam — teraz się już mamusi nie wymigasz.

Ściągnęłam sukienkę i zaraz rozdarłam się jak syrena, i nie musiałam już nic udawać, bo zanim rozległo się walenie do drzwi, toczyłam już wściekłą walkę nie szczędząc zębów i paznokci.

Byłam przecież dzieckiem Dzikiego Zachodu, jak nazywano tę enklawę miasta między Towarową, Złotą, Pańską i Marchlewskiego, gdzie ocalały przedwojenne czynszówki i gdzie gnieździł się specjalny gatunek ludzi.

Przez całe lata miasto, to nowe i jasne, nie kamienice, a bloki, nie podwórka — ściśnięte czworobokiem oficyn wybetonowane kaniony — a zielone skwery, jak wyspę opływało naszą dzielnicę, powoli wypierało stare domy i rozpraszało mieszkańców, czyli element! — używając terminologii naszego dzielnicowego. Wśród tego elementu rosłam, dojrzewałam i niemal wraz z powietrzem oddychałam specyficznym klimatem tego środowiska.

— Agnieszka! — wołała matka.

— Ratuj mnie! — wrzasnęłam, zanim zdążył zasłonić mi usta; zrobił się Sądny Dzień. Na zewnątrz szalała moja stara, fotograf jak bąk, gdy mu się kończy sprężyna, kręcił się w kółko po atelier, błagając mnie:

— Nie krzycz, na Boga, ubierz się!

Ani mi się śniło posłuchać go teraz; nie bałam się już, ze złośliwą satysfakcją obserwowałam, jak się miota po pracowni. Podobnego uczucia doświadczyłam kiedyś, gdy z dreszczem okrutnej ciekawości przyglądałam się, jak chłopcy rozpruwali brzuch żywej żabie.

Kiedy wreszcie otworzył drzwi, jak furia wpadła do atelier moja matka. — Świnia, zboczeniec — wydyszała; stała z

wysoko uniesioną głową, z błyszczącymi wściekłością oczyma, groźna, nieubłagana, karząca Nemezis. Była wspaniała!

— Ależ... — zaczął dukać fotograf, jeszcze oszołomiony, jeszcze niepewny. Nie dała mu pozbierać myśli.

— Ona nie ma jeszcze czternastu lat! — zagrzmiała moja mama. — Milicja! Czekaj, łotrze, ja cię do prokuratora... — i dojrawszy aparat telefoniczny rzuciła się ku słuchawce.

— Proszę pani, błagam... — zaskuczał fotograf i przytrzymał jej rękę.

Matka złupiła z niego pięć tysięcy złotych; od tej pory fotograf traktował nas jak zapowietrzone. Na mój widok czmychał lub omijał mnie łukiem.

Nie miałam z jego powodu żadnych wyrzutów sumienia; nie należy się tym przed nikim chwalić, o tym wiedziałam nawet bez zastrzeżeń matki. Mały Dostojewski zaczął mnie nawiedzać i męczyć znacznie później, za przyczyną magistery.

Wystarczyło, abym sobie wyobraziła coś, czego ona by nie pochwaliła albo surowo oceniła, i zaraz zaczynały mnie dręczyć dawne sprawki; dobrze, że ona nic nie wiedziała o moim pozaszkolnym życiu — prędzej bym sobie podcięła żyły, niż jej się do tego przyznała. Także pod wpływem magistery zaczęłam krytycznie przyglądać się temu, co robi moja matka; ale nie gardziłam nią, bo czy można gardzić kretem za jego ślepotę? Tylko coraz częściej zastanawiałam się, czy dziecko karła musi koniecznie być karłem?

Ale do matki byłam bardzo przywiązana, pozostała dla mnie zawsze moim kochanym kretem.

Cieszyło mnie życie — mimo wszystko oczekiwałam od niego ciekawych i dobrych rzeczy — i byłam wdzięczna

mojej matce za to ofiarowane mi życie; że mnie urodziła i chociaż było jej bardzo trudno, nie skazała na los niechcianego dziecka.

Zanim jednak zaczęłam myśleć inaczej i opierać się jej pomysłom, moja rodzicielka, rozzuchwalona łatwością, z jaką złupiła fotografa, upatrzyła następną ofiarę — był to dyrektor od czegoś tam, szef olbrzymiej instytucji, w której matka podjęła pracę sprzątaczką, aby spokojnie odczekać, zanim nie przyschnie ostatnia konfiskata jej monopolu i kara wymierzona przez kolegium.

A nic tak nie utwierdzało dzielnicowego w przeświadczeniu o naprawie moralnej mojej starej, jak stała, porządna praca, do czego ją niezmiennie, z nader mizernymi rezultatami, nakłaniał; dzielnicowy był jedynym człowiekiem, który nigdy nie zrezygnował z reedukowania mojej matuli. Poczciwy utopista, rewirowy Anioł Stróż.

No, więc matka zasadziła się na dyrektora, któremu sprzątała gabinet i od czasu do czasu także prała bieliznę, za co zresztą rzetelnie płacił. Kiedy doszła do wniosku, że sytuacja dojrzała, tę upraną i na listek uprasowaną bieliznę odesłała przeze mnie — a sama zaczęła się na podeście, pół piętra wyżej. Dyrektor był rozwiedziony, mieszkał sam.

— Córka? — domyślił się, biorąc ode mnie neseser. Skięnąłam głową. Zapytał o imię, odliczył pieniądze i to wszystko.

— Nie zaskoczył? — matka była strasznie rozczarowana. — Pewno się nie starałaś! — burknęła.

— A jak się miałam starać, zwariowałam!

Za drugim razem także nie zaskoczył, za trzecim miał gości.

— Dokąd będę prac jego brudy! — złościła się matka, ale uparcie prowadziła swoją grę.

Wreszcie dyrektor zwrócił na mnie uwagę; chyba po raz siódmy odniosłam mu wtedy pranie i spostrzegłam, że był trochę nietrzeźwy. Nie, nie pijany — podchmielony i w jakimś takim nastroju do rozmowy. Był sam — napatoczyłam się i chyba dlatego poczęstował mnie kawą, sobie nalał koniaku.

— Co to jest? — zacieka wiła mnie butelka z ciemnozielonego szkła z pochyłą szyjką, nigdy takiej nie widziałam.

— Armagnac — wyjaśnił. Zrozumiałam, że to nazwa. — Chcesz spróbować? — Chciałam.

W pokoju było dużo książek, zaczęłam je przeglądać. Miałam grać na zwłokę, bo nie tak blisko było z Żelaznej do niego. Należało stworzyć pozory; nalot mojej matki mógł nastąpić dopiero po jakimś czasie, w ciągu którego ona zdążyła się już rzekomo zaniepokoić, dlaczego tak długo nie wracam, i przyjechać w ślad za mną.

— Czytasz? — prześliznęła się wzrokiem po moim swetrze, mini i modnych wysokich włoskich butach, kupionych mi niedawno przez matkę w komisie; pewnie miał wątpliwości co do moich zainteresowań. W tym się pomylił. Czytałam dużo, bardzo dużo, nieraz z uszczerbkiem dla bieżącego programu szkolnego; lubiłam te światy zaczarowane w sznureczkach druku, uciekałam w nie z naszej izby, od natrętnego, powtarzanego tylko w różnych intonacjach i różnymi głosami refrenu: — Pani Czarnotowa, pół basa.

Teraz błysnęłam czytaniem i zaskoczyłam go; córka prymitywnej kobiety, niemal egzotyczne zwierzątko gdzieś z antypodów kultury, coś jakby Papuas, a zna literaturę i do

tego wysławia się dobrą polszczyzną. Wciągnęła go rozmowa; sącząc koniak przegadał ze mną dobrą godzinę, a i ja zapomniałem, po co tu przyszedłem.

Może pod wpływem alkoholu i mojej bliskości — siedziałam obok niego na stylowej kanapce — przygarnął mnie do siebie. Ale był to raczej odruch przyjacielski, coś w rodzaju: witaj, człowieku! — i nie uczynił nic więcej, nic dwuznacznego, ale ja uruchomiłam syrenę, bo przypomniałam sobie matkę, denerwującą się tam gdzieś na półpiętrze.

Zaraz wpadła, tym łatwiej jej poszło, że gdy się już u niego rozgościłam, znalazłam okazję, aby odciągnąć zatrask, więc drzwi wejściowe nie były zamknięte.

— To brudny szantaż — powiedział dyrektor, uciszwszy moją starą; był opanowany, ani na moment nie podniósł głosu.

— To stwierdzi prokurator i... lekarz — bezczelnie postawiła się moja matka; przyjrzał jej się z obrzydzeniem, jakby zamiast pocziwej praczki ujrzał wstrętnego robaka albo jakąś jadowitą skolopendrę, a ja nie mogłam spojrzeć mu w oczy, było mi wstyd.

— Co za dno — mruknął pod nosem, zląkł się jednak skandalu, bo sięgnął po portfel.

Już w przedpokoju, gdy matka zgarniała mój kozuch z wieszaka, podszedł do mnie, ujął mnie pod brodę i zmusił, abym spojrzała mu w oczy.

— Ty... Pstrągu! — powiedział bez złości, z jakimś takim żalem za sprawiony zawód. — Przeczytaj sobie książkę pod tym tytułem, autor nazywa się Roger Vailland, ty... śliczna, ocytana! — i pchnął mnie lekko w stronę drzwi.

Paliała mnie ciekawość, co on chciał przez to powiedzieć,



toteż nie spoczęłam, dopóki nie zdobyłam tej książki, ale zrozumiałam ją dopiero znacznie później. Wtedy dostrzegłam tylko analogię: ja łupiłam facetów, a Pstrąg, ten od Vaillanda, skłapał.

Spodobało mi się to przezwisko i, głupie cięło, zaczęłam używać go zamiast imienia, gdzie tylko mogłam, oczywiście nie wspominając o okolicznościach, w jakich pojawiło się po raz pierwszy.

W naszym domu nawet pan Walasiak tak mnie do dziś nazywa, widać uważa je za sposobniejsze niż Agnieszka.

— No, nad czym ty myślisz? — ściągnęła mnie na ziemię Arpadowa — pięćdziesięciu złotych dziennie łatwiej nigdzie nie zdobędziesz.

— Tak pani myśli? — dlaczego jej tak zależało, aby mnie podesłać pod Piotra, zastanawiałam się, ale nie zapytałam, chociaż z dwojga złego skóra Pstrąga była mi mniej wstrętna niż to, czego żądała ode mnie Pijawa. Donosiciel! Wsłiznie się jak padalec, zdobędzie sympatię, żeby kapować. Ona ma mnie jednak za ostatniego skunksa!

— Na pogrzeb mogę iść — przystałam, bo sama teraz byłam ciekawa, jaki jest Piotr po tylu latach.

I już tam, na cmentarzu, umocniłam się w swoim postanowieniu; za nic nie dam się użyć Pijawie, niech się da wypchać tą swoją szpetną forsą. I nie tylko przez wzgląd na nie pisany kodeks tego środowiska, pośród którego się wychowałam; kapuś był przecież ostatnim z ostatnich, zarazą, morowym powietrzem. Nie, nie tylko to.

Nagle odkryłam podobieństwo losu Piotra z moim, niemal więc krwi. Aż mnie chwyciło za gardło wspomnienie tego dnia, gdy zamknęli mu ojca. I kto się wtedy nad nim pastwił, zamykał przed nim nawet chleb? Przecież to Ona, ta sama,

stojąca teraz prawie ramię w ramię z nim, z okolicznościowo smutną mordą, w tym drogim płaszczu z wielbłądziej wełny.

Wylewała resztki zupy, byle tylko dla niego nic nie zostało, wzywała radiwozy, napuszczała dzielnicowego — robiła brewerie na całe podwórko, aby się pozbyć Piotra. Czyżby to wszystko miało pójść teraz w zapomnienie? A wydaje się, że o takich macochach można już tylko przeczytać, i to w bardzo starych bajkach. I jak ona ma czelność spojrzeć mu teraz w oczy?

Poczułam wilgoć na twarzy — zrobiło mi się głupio; dostrzegłam coś jakby zdziwienie u Piotra. Nie poznał mnie i nawet się nie domyślił, zresztą pewno się w ogóle nie zastanawiał, skąd wzięłam się tutaj, a teraz zdumiały go moje łzy.

Bracie! — powiedziałam do niego w myśli — nie płaczę po tym tutaj niby twoim ojcu, on mnie ani ziębi, ani parzy; naszło mnie wspomnienie naszych szczeniących lat i to mnie tak poruszyło. Bez sensu i niepotrzebnie, bo to wszystko już poza nami, już nikt teraz nie śmie znęcać się nad tobą, wyrosłeś z tego gówna jak ze świnki czy kokluszu i nikt mnie dziś nie użyje przeciwko tobie!

Po ceremonii, gdy odeszła wreszcie Arpadowa i Piotr pozostał tylko z tym swoim prokuratorem, podeszłam do nich. Piotr był wyraźnie przygnębiony, chciałam mu jakoś okazać swoją życzliwość, ale nie wiedziałam, jak to wyrazić. Jak się komuś współczuje, to się współczuje, lecz co ma do tego gadanie?

— Agnieszka — podałam mu rękę — pewno mnie sobie nie przypominasz.

— Agnieszka! — uśmiechnął się z roztargnieniem — no, jakże nie... Ale bym ciebie nie poznał.

— Ja też nie — powiedziałam trochę speszona, bo może jednak powinnam była powiedzieć coś stosownego do okoliczności, ale nic mi nie przyszło do głowy.

Rzeczywiście, nie poznałam go, skąd! Nie mogłam doszukać się niczego znajomego w tym roslym chłopcu, nie odnalazłam nic z tamtych lat, nawet w brzmieniu jego głosu.

Poszliśmy razem, Bielski także mnie sobie przypomniał albo udawał, bo przecież widział mnie jedyny raz w życiu, wtedy na schodach, gdy Pijawa zabrała Piotrowi psa. Zapytałam o kundla.

— Żyje i cieszy się dobrym zdrowiem — powiedział Bielski; przed bramą stał jego fiat, zaprosili mnie do środka, obaj byli bardzo uprzejmi i potraktowali jak starą znajomą. A ja poczułam się tak swojsko, jak gdybym rozstała się z nimi wczoraj, a nie dzieliło nas dziesięć lat życia.

— Szukałam cię, Piotrze... — natrętnie powracały wspomnienia tamtego czasu; wtedy miałam siedem lat i nie odróżniałam prokuratora od milicjanta. Ten w cywilnym ubraniu wydał mi się tylko nieco innym, ale też takim panem dzielnicowym, co to często zaglądał do nas i upominał matkę. Wtedy uważałam to za rzecz naturalną; dzielnicowi chodzą do wszystkich dorosłych, szczególnie do s a m o t n y c h matek, bo to określenie wciąż przewijało się w przemowach naszego sierżanta, więc oni tak chodzą i uczą rodziców, jak mnie pani w szkole, bo właśnie zaczęłam chodzić do pierwszej klasy.

Potem tęskniłam za Piotrem, gdy znikł z naszego domu; z w i n ę ł y go helikoptery — myślałam — podobnie jak i jego ojca, a więc siedzi w k i c i u .

Te słowa obijały mi się ciągle o uszy, znałam dobrze ich

sens na długo przedtem, zanim nauczyłam się rozpoznawać litery.

Długo mocowałam się ze strachem, aż któregoś dnia, nic nikomu nie mówiąc, pomaszerowałam do komendy na Wali-cowie, bo stamtąd przecież przychodził nasz sierżant, i zażądałam od wartownika widzenia z Piotrem. Byłam natarczywa i uparta i nie wierzyłam, kiedy tłumaczył, że małych chłop-ców nie zamyka się w areszcie. Wywołałam ogólną weselość, bo zgromadziło się wokół mnie sporo ludzi w mundurach — wreszcie rozplakałam się.

Splakaną i nieszczęśliwą przyprowadził mnie do matki dzielnicowy — później zapomniałam o Piotrze.

— Odwiedź nas, Agnieszko — to powiedział Bielski, nie Piotr, wysłuchawszy tej zabawnej dziś historii sprzed lat; Piotr zdaje się w ogóle nie słyszał, co mówiłam, był bardzo smutny i nieobecny myślami.

Nie, nie skorzystałam z zaproszenia Bielskiego, rzuconego ot, tak, bo wypadło bąknąć coś w tym stylu, po mojej opowiadstce. Nie chciałam narzucać się ludziom, może tego w ogóle nie pragną.

Gdyby zapragnęli! Nie chodziło mi naturalnie o Bielskiego, lecz o Piotra, bo spodobał mi się. I zamarzyłam, jak by to było, gdyby ktoś taki przyfalował po mnie pod szkołę. To nie żaden krostowaty ze starszej klasy! Psianoga, mieć takiego chłopca to jest coś! Pijawa nawet nie zdaje sobie sprawy, jaką mi zrobiła niespodziankę, bo sama bym nigdy na tę ceremonię nie poszła..

Wyczekałam dziesięć dni, a potem, wystrojona jak wójt na Boże Ciało, podefilowałam pod politechnikę; przedtem naturalnie zapoznałam się z planem zajęć studentów drugiego roku. Nie udawałam, że to przypadek.

— Czekałam na ciebie — powiedziałam — jeśli masz czas, możemy ugwarzyć o starych Polakach.

— Mam! — nie spławił mnie i był wyraźnie ucieszony.

I tak się to zaczęło między nami. Włóczyliśmy się wtedy po mieście do późna i młóciliśmy te dziesięć lat, usta nam się nie zamykały, jakbyśmy odrabiali wyrok przymusowego milczenia. Dziwne! Przecież na dobrą sprawę byliśmy parą obcych ludzi, a jednak widocznie przetrwało w nas coś z tamtej dziecinnej przyjaźni i wystarczyło tylko się spotkać; może dlatego tak nam było dobrze ze sobą, bo nie musieliśmy nic udawać, niczego taić czy upiększać.

Ja nie musiałam wstydzić się przed nim za melinę mojej matki, on kryć przede mną biografii swego starego. Normalka! Byliśmy z tym zżyci, prawie od pieluch wiedziliśmy, jakich sfelerowanych mamy przodków, Bóg z nimi!

Nie, nie zapomniałam o Pstrągu, tkwił w mojej świadomości jak wspomnienie obcej dziewczyny, wcale mi nie dokuczał, ale wolałabym odgryźć sobie język, niż wspomnieć o nim Piotrowi.

Piotr wciąż trawił tę absurdalną katastrofę, która zabrała mu ojca. Ulewało się z niego. Musiał z kimś o tym mówić — to było widać. A wobec mnie nie miał żadnych oporów, bo nie musiał mi wyjaśniać, skąd do niego taki tato, dlaczego zafajdał sobie życiorys i z jakiego powodu wsiąkł na dychę, bo znałam to niemal tak dobrze, jak i on; przecież przeżyłam życie z kimś podobnym, tyle że o mniej imponującym zakresie działania. Więc jeśli cokolwiek mogło mnie dziwić w tej sprawie, to chyba tylko stary Arpad, który po dziesięciu latach wychodzi z więzienia z zawodem technika dentystycznego.

— Nie wszystko jest jasne w jego sprawie... — powiedział Piotr. — Ale nie wspominaj o tym nikomu, dobrze?

Nic nie odpowiedziałam; ścisnęłam dłoń i zagięłam kciuk. Z uśmiechem skinął głową. Pamiętał! To była przysięga z naszego dzieciństwa, najpoważniejsze zakłęcie, tajemnica po grób.

— Masz coś dla mnie? — od czasu do czasu łąpała mnie Arpadowa.

— Nie piekarnia — zbywałam ją i na kilka dni miałam spokój; myślałam, wreszcie się zniechęci i odczepi.

— Masz tu za dziesięć dni... — chciała mnie podmaścić forszą, nie wzięłam i to ją zaniepokoiło; to był kleszcz nie baba, zrobiła się namolna i niecierpliwa, jeszcze pilniej dybała na mnie.

Nie ma co chować głowy w piasek, bo nakopią w kuper; postanowiłam jednym zamachem strząsnąć z siebie tę pijawkę.

— To mnie nie bawi — sama wstąpiłam do niej.

— Pstrąg! — w jej interpretacji to przezwisko miało nieprzyjemną wymowę. — Pomogłam wam kiedyś, ale krótką widać masz pamięć. Niewdzięczna z ciebie dziewczyna!

Aż mnie skrzyknęło; wypomniała mi t a m t o. Może chciała mnie tylko zmiękczyć, ale zaniepokoiłam się, bo w tym jej miodowym głosiku zabrzmiały twarde nutki, jakby mi przygrażała.

A to był trzeci i ostatni wynalazek mojej starej. Namierzyła go zaraz, jak tylko wzięła robotę w szpitalu. Widać było, że to fisza, byczył się w pojedynce; coś mu tam pewnie dolegało, ale nic ważnego. Moja matka przemyciała mu koniak i w dni wizyt chmara odwiedzających pociągała go z ceramicznego

flakonu do kwiatków; bardzo ich to bawiło — jacy to oni równi. Wszystko lepsi goście.

Matka brała lafę u tego pacjenta, więc nie tylko dostarczała picie, ale w czasie, gdy oni tam balowali, stała na widocie, sygnalizując niebezpieczeństwo, czyli nadejście lekarza lub którejś z pielęgniarek. Takim sposobem nigdy nie wpadli, chociaż tego im serdecznie życzyłam.

Ze trzy razy przyszłam zamiast matki.

— Mama źle się czuje, przysłała mnie w zastępstwie — meldowałam się u siostry oddziałowej. Była wzruszona tą solidnością, wiadomo, salowych brakuje, no i chcąc nie chcąc brałam się ostro do grubej roboty, bo przecież nie mogłam sprzątać tylko u niego.

A w ogóle nie kiwnęłam nawet palcem, żeby go zachęcić; już mam taki fart do mężczyzn, a przecież nie wyglądam wyzywająco, bo magistera ma oko nie z guzika i zaraz by wytknęła. Nie, nie zaleca nam habitów, jeśli coś jej się podoba, zwraca uwagę, lecz bez złośliwości, a do tego ma smak i w modzie jest na bieżąco. Starczy, jak powie: to ci nie pasuje, to jest wyzywające, tamto tandetne, w złym stylu, w tym uczesaniu nie jest ci dobrze — i dziewczyny liczą się z jej słowem. Ale ja do szkoły nigdy się nie maluję i sukienki noszę bardzo spokojne.

Tak czy inaczej, facet zaskoczył, jednak kiedy się wylizał, prawie przez dwa miesiące nie dał znaku życia; potem niespodzianie zjawił się u nas. Matki nie było w domu, zaproponował mi wypad do kawiarni w Błotach. Zgodziłam się, ani przeczuwając, co to za gałgan, ten z pozoru kulturalny, mądry pan.

Ilekoć widzę go teraz w telewizji — bo czasami wystawia

tam ten swój zmyłkowy pysk — albo czytam jego nazwisko w prasie, bo i to się zdarza, rzygać mi się chce. Bo on grzmi o „wychowaniu młodzieży, drań na etacie naprawiacza świata! Taka to załgana świnia!

Wywiół mnie do lasu i tam skończyła się kultura; podarł na mnie sukienkę, zbił po twarzy. Był silniejszy, ale ja na szczęście zwinniejsza; kiepsko skończyłaby się dla mnie ta wycieczka, gdyby nie pierścionek. Długo o niego zabiegałam u matki. Wtedy właśnie zaczynały być modne takie duże pierścionki i w końcu stara uległa. Zapłaciła za niego dwieście dwadzieścia złotych, ale jest piękny!

Noszę go do dziś; w ciemnym srebrze niesymetryczny łom bursztynu w kolorze wrześniowego miodu, tylko z lekka poddany obróbce.

Tym pierścionkiem walnęłam go jak kastetem, aż zalał się krwią, i chyba przestawiłam mu nos. Uciekłam!

O świecie! Co ja przeżyłam, zanim dostałam się do domu.

— Wreszcie zrobisz ze mnie dziwkę! — napadłam na matkę, chociaż jak cielę sama wsiadłam z nim do wozu.

Stara była przerażona i przyjęła moją przygodę jak przestrogę losu, lecz mimo to pobiegła zaraz do niego, aby wycisnąć pieniądze.

Zmieszał ją z błotem, zagroził milicją, wyrzucił za drzwi; musiał ją porządnie nastraszyć, bo moja stara zupełnie straciła rozpęd i przywlokła się do domu jak sponiewierany pies.

— Musi ma znajomości na glinowie — wygrzytała niemal z szacunkiem.

— To za tamtych, kara boska — wypomniałam; fotografa nie, ale tego dyrektora było mi szkoda. Ilekroć go wspomniałam, robiło mi się łyso. Ale teraz miałam Już tego wszystkiego



dość i postawiłam się matce; a sobie przysięgłam już nigdy nie dać użyć się starej do żadnego świństwa. I na tę rozmowę napatoczyła się Arpadowa. Nie wiem, czy miała swoje plany co do starej, czy potrzebowała jej pomocy, być może miała jakieś zamiary względem mnie, i to przywiodło ją do nas.

Miała nosa, lepiej nie mogła trafić; matka natychmiast użaliła jej się na tego pawiana, oczywiście nie wspominając ani słowem, jak faceta namierzała, tyle że zamiar nie wyszedł. Ale ta szczwana baba wyczytała resztę między wierszami i rozprasowała matulę na lniane płótno.

— Niech pani tego więcej nie robi — ostrzegła.

— A cóż ja takiego zrobiłam?! — oburzyła się moja wzorowa rodzicielka, ale straciła tupet; nie zdając sobie z tego sprawy, rozpruła się przed obcym człowiekiem jak koronka. Teraz dopiero się tropnęła i złękła.

Nie odezwałam się ani słowem, aby nie pogarszać sytuacji. Zrobiłam najgłupszą minę, na jaką mnie było stać, chociaż w środku wrzała we mnie wściekłość na głupotę matki. No i było mi wstyd przed tą elegancką i inteligentną kobietą. Bo co by się o Pijawie nie powiedziało, ona jest inteligentna. Tylko nie wiedziałam jeszcze wtedy, co to za gagatek, bez wstydu i skrupułów.

— Historia rzeczywiście bardzo paskudna — Arpadowa wyraźnie chciała matkę nastraszyć jeszcze bardziej. — Opinię u władz ma pani, hmm! nie najlepszą... Nie wolno dopuścić, aby i córka... — nie dokończyła, ale minę zrobiła taką, że od razu wiadomo było, co chciała powiedzieć. — Niech jej pani nie marnuje życia — pożałował wilk jagnięcia.

Po kilku dniach Arpadowa zawiadomiła starą o możliwości wydobycia odszkodowania od tego pana — tak się wyraziła.

— Łobuz, zboczeniec! — zagulgotała moja mama —  
śmondak, a nie pan!

— Spokojnie — skrzywiła się z niesmakiem Pijawa. —  
Ile pani od niego żądała?

— Pięć tysięcy — moja matula miała raz na zawsze usta-  
loną takse.

— Pięć tysięcy! — cóż za pogarda zabrzmiała w tonie Fi  
jawy dla kramarskiej wyobraźni mojej starej — pięć tysięcy!  
On pani zapłaci trzydzieści pięć!

— Podzielę się z panią! — oszołomiona sumą przekra-  
czającą jej najśmielsze wyobrażenia, matka była hojna jak  
herszt złodziei.

— Mowy nie ma! Samotne kobiety powinny sobie wza-  
jemnie pomagać.

W dwa miesiące później w liście poleconym przysłano do  
nas książeczkę Pekao, założoną na imię matki, z wkładem  
trzydziestu pięciu tysięcy złotych; odtąd matka była gotowa  
na skinienie Arpadowej.

Teraz mi to Pijawa wypomniła.

— Zakochałaś się w moim pasierbie?

— Nie ma o czym mówić — szefowa się znalazła, psia-  
stopa; co ona sobie myśli, mnie także kupiła za ten parszywy  
szmal?

Zresztą dość się już jej nawysługiwałam i nie mówię o ta-  
kich drobiazgach, jak: idź, przynieś, podskocz, kup, ale o  
innych, poważniejszych sprawach. Płaciła z góry i wypoży-  
czała mnie od matki jak rzecz. Chciała mieć ładnego perwer-  
sa? Zaprowadziłam ją do „Isztar”; sama w lokalu pracuje, a  
pojęcia nie miała o istnieniu takiej kafei. Wybrała sobie San-  
dra, najpiękniejszego chłopaka. Ani się zdziwiłam, ani zapy-  
tałam, ani pary przed kim puściłam. Jej życzenie, no nie? Co  
mnie do tego!

A ten mężczyzna, co go przytrzymałam w knajpie od dziesiątej wieczorem do czwartej rano, to bedka? I jeszcze tamtych dwóch, tak samo! Czy chociaż zapytałam, po co to jej potrzebne? Nawet mnie to bawiło, lecz przy pierwszym nie byłam pewna, czy mi się uda.

— Pstrąg, jesteś pistolet nie dziewczyna — podlizywała mi się; sama mnie na ten wieczór ubrała, makijaż zrobiła — gust to ona ma. Fakt!

I Pstrąg poszedł jak w dym, wskazanego faceta namierzył i do białego rana po parkiecie włóczył, a ciężki był w tańcu jak trzydrzwiowa szafa; żaby chociaż miał jakieś wycucie rytmu czy melodii, nie! Drgawki Świętego Wita, istny kloc! I miła byłam, aż mnie samą mliło! A ten! Bóg wie jakie rozkosze sobie obiecując, alkohol we mnie tankował. Wazonik do kwiatków po wręby koniakiem wypełniłam, skończyłabym pewnie, gdybym naprawdę wszystko piła, co mi nalewał. Już nad ranem w toalecie godzinę przesiadywałam — bo szukał mnie jak diabli. Ale się wtedy bałam! A potem do szkoły... nosem w ławkę ryłam z niewyspania i chorą musiałam udać.

Nie przypomniałam jej tego wszystkiego, ale ona prawidłowo odczytała moje milczenie i dała spokój. Od tej rozmowy nigdy więcej nie wspomniała o Piotrze, zupełnie jakby dla niej przestał istnieć; zresztą więcej już zleceń dla mnie nie miała i nie widywałyśmy się. Prawie zapomniałam o Pijawie; byłam szczęśliwa, bo niemal codziennie widywałam Piotra.

Okazało się jednak, że nie tak łatwo wykreślić z życiorysu Pstrąga. Byłam naiwna myśląc inaczej; trzymało to mnie mocno i straciłam nadzieję, czy kiedykolwiek się z tego wydobędę? No bo jak?

Arpadowa znów poprosiła, abym przytrzymała w knajpie

jakiegoś Niemca; rzuciło mną, ale pomyślałam sobie, zrobię to dla niej jeszcze jeden, jedyny raz; jak głupia byłam jej wdzięczna za to, że przestała mnie nagabywać o Piotra.

— Dobrze — przystałam — ale to już koniec. Pasuję!

— Skrupuły? — nie dowierzała; miała mnie za ostatniego śmierdziela, dziwkę, która wyrosła między gorzałą ukrywaną po kątach, i niemal od pieluch zaprawioną w oskubywaniu facetów.

Może i byłam taka, ale teraz już nie chciałam i nie będę! Nie chciało mi się marnować śliny, aby jej to wszystko wyjaśnić, zresztą po co? Obsmieje i jeszcze ukreści z tego następnego bat na moją skórę.

— Skończyłam siedemnaście, nie chroni mnie kodeks małolata, adieu! bujna młodości — skwitowałam; tak sobie torowałam drogę do Piotra. A ta zrobiła mi awanturę przy barze. Czy nie w tym celu, aby mnie spalić w oczach Piotra? Teraz doniesie mu — myślałam — a ja ją chyba ukatrupię!

— Pstrąg, ty do mnie żalu nie mniej, nic innego nie mogłam zrobić. — Sama wstąpiła do mnie nazajutrz po tej chryi, gdy tylko wróciłam ze szkoły. Matki nie było od dwóch dni, pojechała na wieś.

— Jak pani może nachodzić mnie po tym wszystkim!

— Na sali był pan... — wymieniła nazwisko tego wieprza, który przysłał matce trzydzieści pięć tysięcy.

— Ja go nie widziałam — kropnęła mnie ta wiadomość jak obuchem.

— Ale on ciebie zobaczył — dorzynała mnie jak świnię, z obłudnym współczuciem — poznał cię i żądał od kierownika sali wezwania milicji obyczajowej. Odgrażał się, ledwo go uspokoiłam i obiecałam sama wszystko załatwić. To sama

powiedz, moje dziecko, jakie miałam wyjście?

— Jak ja mam żyć? — ścięło mnie zupełnie, bo wyobraziłam sobie, że ten człowiek może w każdej chwili i wszędzie, gdzie znajdę się z Piotrem, zagrozić mi drogę: w kinie, na ulicy, w kawiarni, nawet w parku.

Poczułam, jakby miasto skurczyło się i nie było w nim dla mnie miejsca, gdzie mogłabym się schronić bez obawy zde-maskowania Pstrąga.

— Moja rada taka — nie zrozumiała mnie albo udawała — wykreśl lokale i kawiarnie, nie włócz się po mieście, niech przyschnie.

— To przecież pani sama...

— I o mało w kłopoty nie wpadłam, a ty mi jeszcze wy-myślasz! Pojęcia nie miałam, jaki ten gość na ciebie zajadły!

Odżegnywała się teraz ode mnie, jakby nagle parchy na mnie dojrzała. Jedną tylko miałam pociechę; pewno teraz będzie się bała do czegokolwiek mnie użyć.

— A jeśli mu oddać te pieniądze? — gorączkowo szukałam sposobu, jak uspokoić tego człowieka. Może przecież napuścić na nas milicję; nie zastanawiałam się, dlaczego tego nie uczynił dotychczas i dlaczego w ogóle przysłał pieniądze.

— Skąd weźmiesz? — przyjrzała mi się uważnie Arpa-dowa.

— Matka tego nie wydała — moja stara strzegła tej ksią-żeczki jak pies gnata; na czarną godzinę — powiadała.

— Naiwna jesteś — Pijawa z politowaniem pokiwała głową; rzeczywiście nie ma siły, aby wyrzeć od mojej matki pieniądze, a jeszcze taką sumę.

— Gdyby pani jej przełożyła...

— Także nie pomoże, a poza tym... — powiedziała, że nie wolno teraz zwracać mu pieniędzy. Facet wredny; forszę weźmie, a swoje zrobi.

— Nikomu pani o tym nie powie? — prawie błagałam ją i modliłam się w duchu, aby tylko Piotr się o niczym nie dowiedział. Raczej wolałabym zdechnąć.

— Dziecko, komuż ja mam mówić? Ja ci nie wróg! — wiedziała moje przygnębienie. — Nie wpadaj w panikę, nic się takiego w końcu nie stało. Siedź cicho, nie łaż, mówię ci, przyschnie!

Nic nie przyszło; Arpadowa mnie unikała i to mnie nie martwiło, ale najniespodziewaniej w świecie znów przypomniał sobie o mnie fotograf. Pewno z dawna przyrzekł nam zemstę, tylko czekał sposobnego momentu.

Piotr często przychodził do mnie i często mnie odprowadzał, niebawem wszyscy w naszym domu znali go z widzenia.

— Chłopca namotałaś? — po raz pierwszy od trzech lat zaczepił mnie fotograf.

— Twój interes — wyszczerzyłam się, jak mogłam najbezczelniej, ale serce we mnie umarło, bo on z lepkiem uśmiechem zaczął mnie uświadamiać, co sobie tamten pomyśli, jeśli on...

— Wystraszę go, chyba że...

— Każdy ma prawo do swego kawałka głupoty — wpadłam mu w środek, bo nie chciałam słyszeć, co zamierzał zrobić.

— Co masz na myśli?

— On porachuje ci kości, jeśli tylko otworzysz ten głupi dziób. To gość z nabojski, fujaro, a jeśli nie wierzysz, spróbuj! — odwróciłam się na pięcie i pogwizdując pomaszerowałam

niespiesznie do domu. Dopiero tam mogłam sobie pozwolić na strach.

Niedawno bałam się miasta, kina, ulicy, parku, a przecież to samo czyha na mnie codziennie w mojej własnej bramie. Co robić, uciec, ale dokąd?

Zdałam sobie nagle sprawę, jaka jestem sama, zamotana bez wyjścia; wbrew pozorom nie mam się gdzie schronić, nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc, bo nikt, nawet gdyby chciał, nie zdejmie ze mnie skóry Pstrąga; życie wystawiło mi rachunek za tamto wszystko i nie wymagam się od zapłaty. Więc trzeba płacić!

— Piotr, nie przychodź do mnie — nie mogłam się oprzeć, żeby jeszcze ten raz nie zobaczyć Piotra.

— Dlaczego? — zdziwił się, jak gdybym mu bombę rzuciła pod nogi.

— Matka robi mi piekło — przyjrzał mi się z niedowierzaniem, bo matka nie miała nic przeciw niemu i na swój sposób okazywała mu nawet sympatię.

— Pogadam z twoją starą — o Boże! Tylko tego brakowało! Ten jego ładny, szczerzy sposób postępowania, te proste drogi, którymi chadzał, których nauczył go ten jego Karol, to wszystko, co było w nim takie ujmujące, teraz zwracało się przeciwko mnie. Nie, nie pomogą mi kłamstwa, runą na mnie i przywalą.

— Ani się waż! — wrzasnęłam; nigdy nie będę mogła mu powiedzieć prawdy o sobie, zbyt przywiązał się do Agnieszki i nic nie wie o Pstrągu. Stara poszłaby do więzienia, bo to już nie jakiś tam potajemny wyszynk, a szantaże! Przecież nie zagonię tego mego kreta za kraty. A ja? Poprawczak. A Piotr? Splunie na takie dno, tak go pewnie wychował ten prokurator. I jak bym mu to wszystko wytłumaczyła, kiedy sama przed sobą nie potrafię.

Zgasła ostatnia, malutka nadzieja, daleko jest do t a m -  
t e g o Piotra z m o j e j Żelaznej, całe dziesięć lat życia!

— Co się stało, Agnieszka? — przyglądał mi się coraz uważniej.

I pomyślałam: muszę to ciąć jak siekierą, tao rozmiękną i nie dam rady tego zrobić...

Źle się dzieje w państwie duńskim, jak powiedział ten ksiązę, co go Englert w telewizji odgrywał; dobrze przynajmniej, że się już profesorskiej rodziny zbyłem, bo chociaż żal mi po Joasi, ale ten ich parzygnat nadojadł mi jak nikt; tak po nas jeździł jak po łysej kobyle. Ale Bóg z nią!

Mam nowe kłopoty, a największe z tym małym ścierwem Sandrem; leniwe toto, głupie, a zarozumiałe. A co za wyobrażenie o sobie ma? Bez kija nie podchodź.

Po ostatnich wypadkach zachowuje się tak, jak gdyby nasz cały biznes na nim tylko się wspierał. Opoka, żal się Boże, i zaraz wymagania mu podskoczyły.

Przez dwa dni po tym zajściu z balerinesem znaku życia padło rybie nie dało: rozumiałem! Na taki obrót rzeczy srajd przygotowany nie był, skoro nawet ja tego nie przewidziałem; tym bardziej jednak, do diabła, mózgiem powinien był ruszyć i cynk dać. Przynajmniej do Marty zadzwonić i niewinną gadkę odwalić. Taki telefon mógł śmiało nawet przy Quidzie wykonać.

Nic! Ja tu w nerwach cały, jak pies przy tym całym kramie z Kitajcem warować muszę, a Marta mi esoesy śle; jakby kamień w wodę, szczeniak przepadł.

Cholera, myślę, balerines pewnie nie taki dlań sprzyjający, jak to się mały chełpił, a być może wystraszony tą chryją



Sander głupio się gibał, no i tancerz grę przejrzał; przecie to inteligentny człowiek, co by się o nim nie powiedziało. I już oczyma duszy gówniarza w kiciu widzę, i aż mi skóra cierpnie. Myślę sobie, gnojek do reszty; może głowę stracić, jak go skowery w magiel wezmą.

A ja głupi pozwoliłem, aby go Marta na mieszkanie wzięła! Tak czy owak, jeśli go balerines do kwacza zagnał, do Arpadowej łapaje trafią. Pewno! To jeszcze nie nieszczęście, bo ona czysta jest, w dobrej robocie oparcie ma, a choć mąż wyrokowiec, ale teraz przecie już w piachu.

Niby ogólnie, tak po wierzchu, żona za męża nie odpowiada, ale jak ten mały śmierdziel się rozwinie, to smuga na Martę pójdzie i co najmniej pod lupę ją wezmą. Krewa! A ja tu z lazaretem w domu!

Na szczęście szezeń nie zna mojego adresu i dotychczas pojęcia nie ma, kto tym interesem kręci, a o tym, czy w akcji udział brałem, też nic nie wie. Chłopaków moich zobaczył dopiero przy tej pechowej robocie, ale byli przecież w maskach; z grubsza jesteście kryci i gdyby nie ta izba chorych, mogliby mi palcem w bucie nakiwać.

Marta twarda binia. Na mnie sfory nie wypuści, żeby tam nie wiem co, lecz jeśli podpadnie? Rewizja to nie w kij dmuchał! Nie daj Boże, znajdą coś, o czym ona sama nie pamięta.

— Zrób ty porządek w domu — mówię jej, jak mi z następnym esoesem dzwoni.

— Czysto jak na Wielkanoc — odpowiada. — Nie pękaj... — trochę mi lepiej po tej zajawie; a teraz nawet głos jej nie drgnął. Charakter to ona ma i w podbramkowych sytuacjach sobie i innym na próżno nerwów nie szarpie.

I tak dwa dni przez tego szczyła jakbym śmiertelną chorobę w sobie nosił. I ślub uczyniłem: jeśli balerines Sandra

zaskierował, to jak Bóg na niebie beknie, własne flaki wyrzega; rachunek łączny mu wystawię, za Kitajca i tego małego, chociaż szczeniak niewiele wart. A jeśli ta bieda po kościach się rozejdzie, to Quid nietykalny się stanie jak ta święta krowa indyjska i na jego szmal, żeby na progu leżał, nigdy palca nie zagnę. A małego po tym wszystkim zbyć się trzeba, bo to bawidło, a nie współnik. Jeśli on nie w saku, lecz w willi u tego perwersa siedzi, a nas na takie stresy wystawia, to jest nieodpowiedzialne bydłę albo i co gorszego.

Rańcem trzeciego dnia się objawił; gdy mnie Marta o tym szczęśliwym obrocie rzeczy zawiadomiła, Spokojnego w tropy Sandra na razie wypuściłem. I kombinuję sobie: jeśli go salcesony drapnęły i on się z nimi zwąchał, to go być może na wabia mogli zluzować, przyobiecawszy złote góry.

Ale nie, to tylko ta moja imaginacja tak się rozhułała; przez tę przygodę Kitajca nawet w swój sonar zwątpiłem, bo on jednak mi podpowiadał, że balerines słowa dotrzyma.

— Nie mogę z nim ładu dojść — sygnalizuje mi Arpadowa; z tego, co jej powiedział, to na razie powodów do niepokoju nie ma, Quid o niczym nie meldował. Tedy domową poliklinikę pod wieczór na opiece Wiewiórki i boskiej zostawiam i do Marty pruję. Trudno, muszę gówniarza wysondować, a w razie konieczności ustawić.

Patrzę, siedzi ta wystawowa lala, ta sfelerowana dziewczynka; lok utrefiony, napuczony na oko, cały w skórzniach zamszowych, komisowy szyk. Astora ze złotego opakowania wyłuskuje, paznokietki zadbane, bezbarwnym lakierem pościągnięte, usteczka w ciup, mina kapryśna, zblazowana.

Paniątko! O zesz ty w... życiu jedyny, kiju rybi! — myślę,

ale spokojny jestem, bo na taką lizskę kudławca basem nie można; złęknie się i nałże, a mnie czysta prawda potrzebna.

— Czegoś się dekował? — pytam.

— Takiej umowy nie było! — ten lok z czoła unosi, nad brwią fioletowa śliwa, już żółciejąca po brzegach, a na niej watka z przylepcem; lusterko, skubany, w srebrnej ramce wyciąga, tę swoją anielską gębę z takim zainteresowaniem ogląda i czółko paluszkami delikatnie oklepuje, jakby nic ważniejszego na świecie nie było. Skręca mnie, ale nic, cierpliwie czekam, aż się już do syta tej swojej mordy napatrzy. Wreszcie znów loki na czoło nasupia, westchnął, schował zwierciadełko i siedzi nadęty jak żaba.

— A co, mieli cię może pogłaskać? — cóż tu tłumaczyć, przecież rozumie bęcwał, że to było konieczne; rozumie, tylko się wyrabia, cenę sobie podbija, a tamtego, widzę, już podskubał, chociaż Marta wbijała mu w ten zaondulowany łeb, aby się powściągnął z przyjmowaniem prezentów. Przecie bezinteresownego a dumnego miał zgrywać.

— Za mocno — zagruchał. Uuuch! Cierpliwości to ja do takiego dziwadła nie mam, a jego maniery to mnie wprost wkurzają; co to ja pedał jestem, żeby mi tu te swoje sztuczki przedstawiał. I mówię mu, aby swój czar zachował na inne okazje, a mnie sprawozdanie dał, przede wszystkim wytłumaczył się, dlaczego nas w niepewności trzymał.

— A za tę masakrę! — pogniewał się na nas ten paż królowej, bo za mocno po mordzie od Kitajca dostał.

Przecież oni musieli ten napad na niego upozorować; inaczej nie mógłby zdechłego udawać. W taki to sposób na nas się odegrał za uszkodzenie buzi.

— Następnym razem to... — zaczął z góry, z pańska.

— Następnego razu nie będzie — nie chciałem słuchać, czego sobie życzy następnym razem.

Zatrzepotał rzesami i z mety wynormalniał; zrozumiał, że nie jest taki niezbędny.

Kretyn! Sprawy sobie nie zdawał, że taki numer odrobić można raz i nie więcej. Dla nas pasikonik już niewielką miał wartość, ale po tym fatalnym obrocie rzeczy potrzebny był, aby kapować, co balerines zamiaruje.

W najlepszym wypadku małego można będzie użyć w przyszłości tylko do wywiadu. Ale to jeszcze się pomyśli, on zdaje się jest i za kosztowny, i za głupi.

— On nie zameldował i nie zamelduje — po ludzku wreszcie zagadał mały. Quid ciężko przeżywał postrzelenie Kitajca, podobno niechcący to zrobił. Wyrwał pistolet i mimo woli trącił spust, Kitajcowi po brzuchu posunęło. Możliwe! Bo człowiekowi, choćby i wrogiemu, z odległości dwóch kroków brzuch przuć, to już trzeba zimnego drania, jakiegoś Paramonowa. Nie od dziś z gnatem chodzę, a ani ja, ani moi czegoś takiego nie zrobili, chyba że pod ciężkim musem, Boże odpuść, raz zdarzyło się.

Człowiek nie kurczak, nie? Przykro jest tak ludzką farbę rozlewać, jatki za sobą zostawiać, żeby cała prasa, te tam publikatory, po wszystkich rogach człowieka piętnowały. Sztuka to jest cicho-sza, szmal ściągnąć i statystyk faraonom nie zawyżać; czyli nie było przestępstwa. Pewno, może się czasem zdarzyć nieszczęście, jeśli dajmy na to ktoś do forsy nadmiernie przywiązany. To już nie ma cudów, wóz albo przewóz.

— Co z pistoletem tancerz zrobił? — pytam małego; nie wie. Nic mu nie powiedział. O telefonie nocnym namiok robię, mały zdziwiony oczy na mnie stawia — nic nie wie.

Quid naszej rozmowy mu nie skomentował, a Sander jej nie słyszał, bo w innym pokoju leżał, oszołomienie jeszcze pozorując. Czyżby jednak Sander mu podpadł, nieufność swoim zachowaniem obudził i teraz tamten pod szkło go bierze?

— Co Quid zamiaruje z rewolwerem? — mały ramionami ruszył; także nie wie. Pogmerał w tych swoich frędzlistych zamszach i ł u s k ę mi daje. Nie w ciemię bity ten paż królowej. Pochwaliłem go za smykałkę. — A co z kulą?

— W ścianie utkwiła, Marcel dziurę gipsem zasmarował — donosi paniątko; palant z tego tancerza, kuli nie wydłubał, trzeba będzie coś zaradzić. Jednak łebsko spisał się mały.

— Jak wyczułeś, nie stracił do ciebie zaufania?

— Nie wiem — wzdycha — to bardzo skomplikowany i skryty człowiek!

Powiedział, co wiedział, tyle to i bez niego rozumiem. — Coś od niego wycygań!

— Sam mi dał... — wziął od niego ten skórkowy kostium, lustro w srebrnej oprawie i mokasyny, zamiast dumę objawić i elegancko odmówić, jak był uczony. Łasy, jest na ciuchy ten chłopak jak najgłupsza dziewczyna. I zaraz się w to wystroił.

— Powiedziałeś, że z ładowania węgla żyjesz? — skinął głową. — No to i dalej taką legendę będziesz miał!

— Już nie muszę — znów odął się jak ropucha. Kazałem, aby mu zaraz Marta te wymanicurowane ręce spreparowała jak trzeba i zmielony grafit pod paznokietki wtarła, aby tę pracę fizyczną na wałkoniu było widać; kwilił, mało nie płał, wił się jak kot.

— Musisz — i na razie jeszcze delikatnie mu przypominam:

moja stajnia musi mnie słuchać. A ten mi z bezczelnym uśmiechem grymasy robi; jak mu się zechce, to do tamtego pójdzie, bo tam bezpieczniej i kulturalnie! Będzie opływał we wszystko bez ryzyka.

Nie mówi tego wprost, tylko tak napomyka, jakby mnie i moją cierpliwość tymi ostrymi ząbkami próbował: ile wytrzymam.

— Twoja kariera u Quida także ode mnie zależy, kochasiu, nie zapominaj o tym — mówię bez nerwów — ja ci nie wróg i trzymać cię na siłę nie myślę, ale póki się ta cała heca nie ucukruje, musisz mi o wszystkim, co się u tamtego dzieje, donosić — i wyjaśniłem mu, co to znaczy współdział w napadzie i czym za to sąd wynagradza; zbladł i z mety spokorniał. Glista! Jak takiemu ufać? Albo się szczerzy jak wsiowy kundel, albo łasi.

— A teraz zdejmuj te skórznie, swoje odzienie kładź!

— A co Marcelowi powiem?

— Kuzynka ci zabrała i pod klucz wzięła — włączyła się Marta; prawie płakał, gdy się z tych wspaniałości wyluskiwał. Dałem mu parę złotych i wyprawilem, aby tancerza pilnował.

Ale to nie był jeszcze koniec mojego niefartu, bo już milicja za Franka wypadkiem przewąchiwać zaczęła. Ja jeszcze tę polkę z operacją Kitajca miałem, jeszcze utykałem się z profesorem, a u Marty już zdążył tajniak być. Tak się, cholera, pośpieszyli. A najgorzej, że nie wiedziałem, o co im chodzi i jakie podejrzenia mają.

Złe przeczucia potem miałem, no i sprawdziło się; zaraz po pogrzebie powiestkę Marta ze stołecznej komendy otrzymała i jeszcze nigdy jej takiej niespokojnej nie widziałem jak wówczas, gdy mi o tym wezwaniu powiedziała.

— Romek, oni pod szkło mnie biorą — strasznie struta od Mostowskich wróciła; po drobnemu mi sprawozdanie ze swego pobytu u nich zdała. Coś w tym jest, pomyślałem sobie, uważać trzeba.

— Nic nie wiedzą, zwykła formalność — udawałem przed nią, bo po co ją straszyć? Ufałem tej przewrotnej bini, a ona swego pokera poza moimi plecami rozgrywała, ale wtedy tego nie podejrzewałem. — Ostrożność zachować trzeba, ma się rozumieć, lecz specjalnego niebezpieczeństwa nie widzę! — powiadam.

— Ale ja widzę! — i w czarnych kolorach mi swoją dolę maluje, a my mamy się od niej odsunąć, kontakty zawiesić, wszelkie roboty zaniechać, jakbym sam o tym nie wiedział.

— Macają — dodałem, bo z mety wyczułem, do czego ona pije; Frankowa część ją boli i moją deklarację chce sprokować. Eech, ty mądralo! Myślę sobie, wdowa bez środków do życia się znalazła i zmiękczyć mnie chce, jak to ona niby się naraża, bo u Mostowskich była.

— Nie przewidujesz konsekwencji? — przyjrzała mi się podejrzliwie, z jakąś taką nie dopowiedzianą a paskudną intencją.

— Nie zgrywaj jasnowidza! — naskoczyłem na nią, bo wkurzyła mnie ta jej na chama robiona domyślność. — W takiej katastrofie, gdzie zginęło osiemnaście osób, nikt specjalnie nie będzie się rozpadał nad jednym Frankiem, formalnie odbębnią dochodzenie, bo mają gorsze rzeczy na karku. Zresztą sprawa jest jasna jak słońce, nad czym tu dumać: pociąg go przejechał i koniec... — klaruję i tak pocieszam, nie tylko ją, ale i siebie. Ale boję się, że zaczną nam robić koło nogi, a ta cholerna baba swoją płytę gra.

— Głowę za was nadstawiam, więc muszę teraz o tym, za co Franek siedział, wiedzieć ze szczegółami! — pili mnie wlepiając te podejrzliwe oczyska.

— Będziesz wiedziała tyle, co trzeba — uciąłem; nigdy żadnemu z nich nie mówiłem więcej ponad to, co musiał wiedzieć, i dobrze na tym wychodziłem, a i oni byli z tego zadowoleni.

— T e r a z o Franku powinnam wszystko wiedzieć! — trzeba było słyszeć ten ton, jakbym to ja był jej hałujem, a nie odwrotnie. O żesz ty! Nie ja ci będę sprawozdanie dawać, zatrzęśło mną. Impas zmacała i jak wesz do strupa się pcha.

— Zapakujesz jego wszystkie rzeczy.

— Też mi rzeczy! Trochę łachów i... książeczka Pekao z jakąś resztówką.

— Włóżysz to w najlepszą walizkę.

— Chłopakowi chcesz to oddać? — domyśliła się i zaraz walizki pożałowała; dlaczego ma skórzany neseseer tracić. Nic nie mówiłem, czekałem, aż się odszumi; ciekaw byłem, czy się do bonów oszczędnościowych przyzna. I tak bym jej to pozostawił, bo po sprawiedliwości jej się należały, ale tak sam dla siebie chciałem wiedzieć, jaka ona do mnie jest.

— Masz! — przyniosła wreszcie neseseer, ubranie i trochę bielizny oraz kilka książek. — Tutaj — podała mi grubą kopertę — korespondencja o ten jego egzamin, umowa kupna na samochód i inne szpargały... Nie musisz przeglądać — powiedziała, bo kartkowałem jeden z podręczników — wszystkie stronnice przejrzałam, tak same jak łachy. Możesz bez pudła synkowi pamiątki po tatusiu odesłać.



I skąd w niej po tylu latach taka nienawiść do Frankowego chłopaka? Aż dziw.

— Sama odniesiesz, zwrócisz synowi, to przecież naturalne — wzbudzało w niej złość każde napomknienie o tym chłopaku; chyba jej wciąż było łyso za spławienie go, i to komu? Prokuratorowi! Tego Franek nie mógł jej nigdy darować.

Wtedy, jak to zrobiła, ja żadnego wpływu na los chłopca nie miałem; musiałem siebie i resztę dekować, a dom faceta, poszukiwanego listem gończym, jak zarazę omijać. Frankowej ksiuty nie znałem i nawet nie przeczuwałem, ile jest warta i jaki ma talent! On sam także jeszcze jej nie zdążył dobrze poznać, tylko co z nabojski skakierów ją wydłubał i nawet z grubsza w żadne swoje sprawy nie wprowadził.

Z początku, jak ten prokurator Piotra tak ni z tego, ni z owego wziął, to podejrzewałem, że jemu tylko o to chodzi, aby z małego jakieś ciekawe wiadomości wycisnąć. Skąd mogłem wiedzieć, że to taki filantrop!

Od strony chłopca spokojny byłem, bo szczeniak o żadnym z ojcowych kumpli pojęcia nie miał. I takim sposobem tylko Franek beknął. Niewąsko beknął, ale farby nie puścił, bo wierzył mnie: jego kaniota pewniejsza była niż w szwajcarskim banku. A jakby wszyscy poszli garować, to forsa by przepadła i całe ryzyko na nic.

Odmienili go za murami przez tę dychę. Nie poznałem chłopca! Tak na wygląd to nawet dobrze się prezentował, wykarmiony, mordziasty, jakby nie z mamra, tylko z wczasów wracał. Ale błady.

— Kwarcówki se weź — poradziłem mu wtedy, bo po co miał za Piotrowina latać. I mało wiele, ogorzały się zrobił jak szyper albo sportowiec jaki. Ale od środka to już był nie ten,

jakby sparciał! I wspólnego języka z nim nie miałem. Jak to Marta mówi, monotematyczny się zrobił, tylko o zębach i o synu gadał. Zaimponował mu ten mały, kształcony, a ojca kryminała się nie wypierający.

Czort wie, może i zrobaczywiął od środka, a może i nie? Już nigdy tego nie dojdę. Nurtowało mnie i jak czyrak dokuczowało to warunkowe zwolnienie. Dwa lata z wyroku mu zdjęli. Owszem, bywa, niby ten humanitarny system, ale... Może coś takiego zahaczyli, o czym nikt nie wiedział, i Franka na wolność puścili, a on dajmy na to też nic nie podejrzewał; tyle czasu za murami, to i czujności się pozbył, zresztą dwa razy za to samo nie sądzą i on w tym zadufanie miał.

Tak czy inaczej, faraony choćby wrywkowo oko na niego mogli mieć, co też ten świeżo nawrócony porabia, z kim się zadaje.

W każdym razie roboty mu żadnej nie raiłem i ostrożność także Marcie przykazałem. Cholerną krępację przez to mieliśmy, bo ja już do Marty nawet dzwonić nie bardzo mogłem, szczęściem Franka po mieście nosiło. 1 tak kryliśmy się przed nim jak przed najgorszym kapusiem.

— Masz, jeszcze i to dołoż do koperty — dałem jej wyciąg z aktu hipotecznego, który Franek trzymał u mnie, bo w tajemnicy przed Martą całą kombinację ułożył. Teraz ciekaw byłem jej miny. A ona przeczytała ten papier i przez chwilę nic, przeżuwała tę nowinę lecz zaraz:

— Chłopakowi przypadnie ten dom? — bystra jest, ani słowa, orient w lot chwyciła, chociaż w rękę miała nie testament, tylko wyciąg z aktu kupna.

— Zgadłś.

— Dałeś Frankowi pięćset pięćdziesiąt tysięcy — powie działa, jakby się dziwiła.

— Nie dałem, tylko zwróciłem, to były jego pieniądze — sprostowałem.

— Udział za tamto — cedzi i widzę, jak ją furia trzęsie, ale w cuglach się trzyma. I wreszcie wrzask: — Dureń jesteś! Ostatni dureń! To przecież każdego, nie tylko łapai, zastanowi, skąd tyle pieniędzy wziął człowiek, który po dziesięciu latach zza murów wyszedł. Poruszy się teraz glinowo jak szerszenie! A na kim się skupi? Na mnie. Mnie będą podliczać, pod lupą każdy wydany grosz oglądać! O mnie nie pomyślałeś, jak ten numer smażyliście? Eech, ty... tępaku! — poczekałem, aż się wypieni, bo mnie śmieszyła.

— Masz tu pokrycie — powiadam i daję jej zaświadczenie o wygranej. Blankiet z nadrukami i pieczęciami na blachę, jak byk stoi: Franciszek Arpad milion okrągły w totka trafił.

— No tak... — jąka — no tak... — zdechłą ręką odłożyła ten papier, klap na fotel, po kielicha sięga i w płacz.

Niewyraźnie mi się zrobiło, bo na babskie łzy, kurza stopa, nie wiadomo czemu miękki jestem, a do tego nigdy Arpadowej płaczącej nie widziałem, beksiwa nie jest. Gorzały jej nalewam, papierosa daję, nawet chusteczki szukam i tak jakbym ją nowymi oczyma zobaczył: piękna kobieta i niestara, z takiego gatunku, co to długo się w formie utrzyma. Niczego przed nią nie muszę udawać ani wysilać się na innego niż jestem; teraz, kiedy nikt już kosym okiem nie spojrzy, mogłaby być z nas para.

Nie, nie to, żebym w tej chwili przejrzał, chwalić Boga oczy na swoim miejscu mam i w żyłach krew, a nie rybi

szlam, ale jeśli się chce panować nad ludźmi, to nie wolno tknąć ich pieniędzy i ich kobiet!

Tak mi te myśli jak taśma lecą i coraz bezradniejszy się czuję, bo Marta wprawdzie koniak siorbie, ale szłocha.

— Wszystko dla bękarta! — targnęło nią; ona ze złości po tej forsie, co jej koło nosa przeszła, płakała.

— Myślałem, męża szkodujesz — i zniesmaczyło mnie; sam nie jestem specjalnie kłiwy, ale ta jej obojętność to prawie osobiście mnie dotknęła. Nie, nie para ona dla mnie, ta kobieta o sercu jak wiór. Nade mną też by jednej łzy nie ufała!

Niby po śmierci to człowiekowi wszystko jedno, ale póki żyje, paskudnie takie przekonanie o drugim człowieku mieć — odrzuca!

— A mnie to on pożałował? — i popłynęła z niej gorycz; niby przez dziesięć lat z piętnem kryminału chodziła, nijakiego zabezpieczenia jej nie zostawił, a teraz, gdy zdawało się ku lepszemu iść, to on ją gorzej psa miał i także ani zadbał, a ja na niego nie wpłynąłem.

— A co, tobie ręce do dupy przyrosły? — zgniewało mnie takie gadanie; tylko dlatego, że ślub wzięli, to on miał obowiązek szmal w nią ładować, a przecież widział, jak jej się dobrze wiedzie. Suki pazyrne! Tylko by od chłopów cią-gły.

— Nie mogłeś mu wyperswadować albo chociaż mnie powiadomić, co on planuje?

— A powiadomienie co by ci dało?

— Ja dla ciebie się narażam... — zagdakała od rzeczy, po babsku.

— Za to ci płacę!

— Masz, i to oddaj pomiotowi! — wydarła z szuflady

plik bonów i na stół cisnęła. — Dupę mu miodem wysmaruj, może prędzej ci biedy napyta... — i cała litania w tym guście, jak to ten prokuratorowski wychowanek zacznie nad tą forszą główkować i prokuratora się radzić, a ten gotów do przyjaciół Arpada dojść, i takie tam głupoty.

— Bony są dla ciebie.

— Psu kość rzucasz, aby nie warczał.

— Nie taka znowu kiepska kość, sto tysięcy będzie.

— Skrupulatnie go podliczałeś, jakby ci na tym specjalnie zależało — a jakim szpetnym tonem to powiedziała, to trzeba było słyszeć.

Szarpnęło mną, jak to gadzina kąsa, ale jeszcze ścierpiałem. Sytuacja niezwykajna — myślę. W swoim rozumieniu ona ma rację, poczucie krzywdy ją męczy, no i gorycz, taki grosz koło nosa mignął!

— Jeszcze dwieście Frankowych zostało i po sprawiedliwości one są twoje — powiedziałem jej, aby sprawę przeciąć, bo widzę chora z zawiści i za okradzioną się ma. Oczywiście więcej po nim zostało, ale to mnie się należy.

— To za taki nędzny grosz on na dychę poszedł za mury? — szczerknęła, a w oczach nie nakarmiona chciwość. Patrzcie ją, milion to dla niej nędzny grosz.

— Jakby żył, to i tego nędznego grosza byś nie zobaczyła!

— Komuś się ta śmierć opłaciła! — wypluła wreszcie z siebie cały jad i patrzy na mnie czelnie, jakby palcem wskazywała: tobie!

Targnęło mną. Jak ona śmie coś takiego mi w oczy zarzucić; anim się obejrzał, jak rogi jej urosły. Gniew mnie jak gorący wiatr zakręcił, pięści zwarłem, w kieszenie wetknąłem, bo

nie dowierzałem sobie. Chwila i głupstwo jakie nie do naprawienia zrobię.

Myślę, nie szaleję, Łupacz, życia sobie przez tę zatraconą dziwkę nie psuj. Nietrudno bezrozumną furię na takiej słabiźnie wyładować i w końcu twój zysk, a jej strata, bo ona pierwsza kły pokazała; kiedyś sposobnym czasem jej te kły przytępisz, a teraz nie zwlekając Frankowe sprawy kończ.

Kiedy już głosu swojego byłem pewien, powiadam:

— Teraz zadzwonisz i umówisz się z młodym Arpadem — przemożem ją; potulnie już, słowa protestu nie rzekłszy, zatelefonowała do niego.

— ... żeby pani nie fatygować... — ten mały też nie chciał jej oglądać, pocztę jej doradził.

— Wolę osobiście — Marta na to — bo oprócz rzeczy są tu i ważne papiery — wtedy dopiero tamten przystał. Zaraz też się z nim umówiła, aby te dokumenty jak najrychlej na tamten brzeg wyprawić, z mety łapajom wyjaśnią źródło Frankowej fortuny, może wtedy przestaną się wokół tego ryć, uznawszy Arpada za spisana kartę.

Jak kania deszczu wyglądałem dnia, kiedy się wreszcie będę mógł zbyć profesorskiej familii, bo przez nich miałem związane ręce; może właśnie przez tę zwłokę tak z pieca na łeb się to wszystko dalej potoczyło.

Gdy wreszcie ten polowy lazaret zlikwidowałem, mogłem się o odzyskanie pistoletu pokusić, bo balerines zachował się korekt, z pyskiem na glinowo nie poleciał. Teraz już nie zamelduje — byłem prawie pewny — bo upływ czasu znaczny, musiałby się tłumaczyć, dlaczego tak długo się namyślał; nawet małemu, który niby o wszystkim, co tamten robi, wiedział i mnie rzeczowe sprawozdania dawał, Quid o spluwie

ani o umowie ze mną nie wspomniał, a to mnie nawet krzepiło, bo po co w tak poważną sprawę chwieją takiego jak Sander wtajemniczać; kapryśne toto, niepoważne, humorzaste jak marcowa pogoda, a tchórzliwe! W ogólności łąjno!

Tedy nocą do Quida dzwonię z automatu. Przypominam mu się; tak, pamięta, jest gotów. Gdzie i kiedy?

Następnego dnia mu termin o zmierzchu wyznaczam, zawsze to wieczorową porą poręczniej dla mnie, szczególnie w takiej knajpce jak w Pyrach. Ajencyjna — smakowicie tam jeść dają, zwłaszcza drób dobrze przyrządzają, mogliby u nich terminować te knociarze z uspołecznionej gastronomii. Ale nie dla wytwornej kuchni to miejsce wybrałem. Położenie dobre ma, zawsze można się w razie czego bez obciachu zgubić.

Mam prawie pewność, nie zameldował i teraz ze skowrami łapki na mnie w tych Pyrach nie uszykował, ale dla wszystkiego muszę go najpierw zmacać.

— Tylko jak pana poznam? — zatroszczył się balerines.

— Nie pańskie zmartwienie... — i wstawkę robię, jaki on sławny, w telewizji, w kronice filmowej pokazywany. Aż mu głos zaksamitniał, jak to zasunęłem, bo każdy człowiek, choćby i najmądrzejszy, na uznanie łasy jest i najgrubsze pochlebstwo, byle zgrabnie podane, ze smakiem przelknie.

Kitajcovej kazałem się szyk przygotować; blond peruka, przyklejone rzęsy, makijaż, spodzień, buty na platformach, kurteczka z japońskiego tergalu — wamp! Zrywna sztuka, a nie matka dorosłym dzieciom. Wygodna teraz jest ta damska moda, bo co by na siebie kobita nie wkitowała, wszystko ujdzie i jeszcze za awangardę zostanie.

Grubo przed umówioną porą Kitajcową za kółko posadziłem — jedź! Ona po mnie największą smykałkę do kierownicy ma z naszej ferajny. Ja za nią w parę minut później podążam.

Na miejscu zaparkowałem się z ubocza, od wozu Kitajcowej z dala, ale pole obserwacyjne mam jak na widelcu.

Ona już do środka weszła, ja okoliczny teren obejrzałem, cicho, ruchu nie ma, swądu nie czuję.

Quid punktualny jak żyłotka. Już z daleka jego volvo widzę. Zaparkował pod wejściem, jak sprężyna wyskoczył, drzwiczkami prasnął. Futerko na nim cudaczne, kuse a łaciaste, sierścią do wierzchu, głowa goła, włos długi, falisty, z czoła do tyłu szesany jak u jakiego Paderewskiego albo i Mickiewicza.

Czekam; godzinę facet odsiedział, wreszcie Kitajcową się zjawia, sprawozdanie mi daje.

— Tancerz już rachunek płaci, na strasznie przegranego wygląda i jakby zły! — a więc wszystko w ładzie z moim planem, bo przecież nie po to Kitajcową w knajpie zasadziłem, aby z nim w pertraktacje wchodziła, a tylko dla uważania, czy jaki salceson-filutek balerinesa nie obstawia.

Potem po mieście w dwa wozy z Kitajcową za balerinesem ganialiśmy, ale nietrudno go było śledzić, bo ta jego biała bryka znaczna z daleka.

Koło dziesiątej do domu przybił — gra. Od Sandra wiedziałem, że na ten wieczór jakiś ochlaj u Quida się szykuje. Towarzystwo takie więcej artystyczne, dopiero gdzieś po północy przyfaluje, po spektaklach i występach.

Teraz znów Kitajcową na plan, bo trzeba, aby automatem furtkę zwolnił, przecież nie będę się włamywał.

— Kto tam? — w drzwiach staje; przez ogród kęs drogi



do parkanu; ja za żywopłotem na uboczu niewidoczny, tylko kobitę widać.

— Depesza — piszczy Kitajcowa — pokwitować trzeba.

On w sieni znika, brzęczyk mechanizmu słyszę, przeszkoda sforsowana. Raz, dwa i objawiam się w hallu.

— A... to pan? — domyślił się z mety, bo ciemne szyby mi pół twarzy kryją i dach od czapki w pół czoła. — Proszę dalej! — zaimponował mi drań, bo cykorii nie okazał i żadnych grymasów o tę strawioną w Pyrach godzinę. Widać zmonął, bestia, jakiej go próbie poddałem.

— Zbyteczne — powiadam i w profilaktycznej odległości się trzymam, na jego nogi popatruję, bo nie dowierzam mu jako psu, a nuż mi tymi glonami, jak Kitajcowi, haka zasunie.

— Nie mam tego pistoletu — prawi obojętnie, jakby o paczkę zapalek chodziło.

— Jak to, nie mam?! — zatkało mnie. — A gdzie on się podział?

— Pan o tym lepiej ode mnie wie — wycedził z wrednym grymasem. Zdrętwiałem: oddać nie chce albo ścierwo Sander mu spluwę przygrandził.

— To jak pan myśli, po co do pana przyszedłem?

— Może po okup za ten pistolet — znów ten paskudny uśmieszek. I uprzedza: nie da ani grosza, zresztą w domu już nic wartościowego nie trzyma.

— Panie, jakbym ja po szmal przyszedł, a nie było, tobym go z pana wycisnął — gaję — ale ja tylko swoją rzecz chcę odzyskać. Zawsze umowy dotrzymuję i możesz pan brylanty na progu rozsypać, nie tknę. Mam swoje zasady.

— Miło mi z takim dżentelmenem — śmieje mi się w

nos. — Ale słowo, pistolet mi zginął — i ostro do mnie: nie kręci, bandycka spluwa go brzydzi, naprawdę chciał się jej pozbyć i od nas raz na zawsze odczepić, ale kiedy przed wyjazdem do Pyr do schowka zajrzał — pistoletu nie znalazł.

Może wyrzucił? — kombinuję. Bał się to trzymać, przecież z tego pistoletu człowieka trafił; ja się długi czas nie zgłaszałem, kinął gdzie w szambo i po herbacie. Szkoda kopyta, ale niech mi to uczciwie powie i rozstaniemy się. No to łagodnie go pytam, żeby nie przestraszyć i do kłamstw nie skłonić.

— Pan jej nie ma, ja, honorowe słowo, też jej nie mam. Przecież nie włamałem się, aby ją skraść, skoro mogłem po dobroci odzyskać — przetłumaczam — a więc ma ją ktoś trzeci! A nie pana chłopczyka cacko przykarauliła? Niech pan pomyśli tak na chłodno i bez sentymentu, co? — szczerze go namawiam, bo naprawdę paż królowej mi tu podpada.

— Po co miałby go brać? — Quid badawczo we mnie się wlepia.

— Czy ja wiem? Chłopcy w ogólności takie zabawki lubią, ale co pańska chłopczyka lubi, to nie ja, a pan najlepiej wie — specjalnie mu z tą chłopczyką wyjeżdżam, niech wie, jaki wywiad o nim mam. A że na małego szelmę Quida napuszczam, to też nie szkodzi. Uuuch! Flaki, ze szczeniaka wypuszczę, jeśli to jego sprawka.

— Chłopczyka nie interesuje broń — podkreślił z przekąsem. — A ponadto... — i wylicza mi detalicznie, dlaczego nie podejrzewa pasikonika; mały nie ma klucza od jego domu, więc po szufladach pod nieobecność gospodarza bobrować nie może, a pistolet był dobrze ukryty w pokoju Quida. Gdy mały ocknął się z omdlenia, Quid już spluwę schował, aby

broń Boże aniołek znów się nie wystraszył, bo subtelny. A potem tancerz o pistolecie farby nie puścił. I w ogóle Sander tu w grę nie wchodzi; on organicznie nie znosi wszystkiego, co ma związek z przemocą czy brutalnością. Takie to, kurcze oko!, w jego pojęciu dziecię-kwiat!

Eech! Myślę, gdybyś ty, człowieku, prawdę o tej gliździe znał, tobyś taki pewny jego subtelności nie był.

— Wybadaj go pan — radzę, jak komu mądrymu — a ja się w swoim czasie po wiadomość zgłoszę.

— Nie będę go badał! — prawie zakrzyczał, rozdrażniony taki, i dalej: ma dość nachodzenia, mój widok go mierzi, nie po to w taki układ ze mną wszedł, abym mu się na stałe zaprowadził i ingerował w jego sprawy. Nie jest moim gemajnem, jak te wszawce rewolwerowce, i nie będę mu rozkazywał ani się wtrącał. Nie zameldowałem, więc powinienem Bogu dziękować i więcej mu się nie naprzykrzać, bo może cierpliwść stracić.

Dałem mu się wyszumieć, bo przewagę nade mną miał, ja tu teraz prawie za petenta byłem; po ścianach się za ten czas rozglądałem i z daleka tę łąkę ze świeżego gipsu widzę.

— To tutaj ta kula utkwiła? — pytam, a z flegmą; trans mu zerwałem, przymknął się, tylko głową skinął. No to ja kozikiem podtubałem, nawet niegłęboko siedziała. — Nie powinna tu być — powiadam — skoro żadnego wypadku nie było; pan nie strzelał, bo pozwolenia na broń nie ma.

— Teraz już mam — cedzi ten linoskok.

— To niech panu będzie na zdrowie — chmyz jeden, m n i e myśli nastraszyć.

— Żegnam — skanduje i drzwi rozwiera.

— Żegnam — odpowiadam w tym samym duchu, i już od progu: — A tego małego szelmę moi przyuważą i po naszymu z nim pogadają.

— Niech pan tego nie robi! — zachnął się jak użądłony — bo... pożałujecie.

— Nie ma co przygrażać, my nie lękliwi — ja na to spokojnie — najlepsze wyjście z tej fatalnej imprezy to umowę dotrzymać, bo ona dla obu stron korzystna. A pistolet ja odzyskać muszę i dlatego chcę wiedzieć, co się z nim stało.

Nie ma to jak rozsądna gadka; postuchał i zmiękł, przyrzekł z małym porozmawiać, a ja w zamian pasikonika nie tykać.

Do Marty wpadłem wściekły jak sto diabłów, aż się przestraszyła, bo po ostatniej naszej scysji niepewnie się wobec mnie czuła. Mówię pokrótce, co i jak, ale ona akurat do zajęcia musiała śpieszyć, więc sam zostałem, bo tego ladaco nie było. Regularną rewizję w całym domu zrobiłem, omalże pod deski w podłodze nie zaglądałem. Nic.

Dopiero nad ranem przyfalował Sander, przyprawiony solidnie; musiałem się dobrze przyhamować, aby go pod fleki z mety nie wziąć, ale zapanowałem nad odruchem, tylko nad twarzą nie mogłem. On z punktu wszystko po moim wyglądzie zmiarkował — sprawa poważna.

— Coś się stało? — zająknął się, cielęcym spojrzeniem po rozbebeszonym mieszkaniu wodzi; bez słowa doskoczyłem, obszukałem go — nic.

— Gdzie pistolet? — oczu z niego nie spuszczam, a ten jakby nie rozumiał, o czym ja mówię. Wlepił we mnie spojrzenie zarzynanego drobiu i ani be, ani me.

— Jaki pistolet, proszę pana? — duka wreszcie i zadnej

sztuczności w nim nie wyczuwam, żadnego napięcia. Czy takie coś aż tak gładko potrafi łączyć, już nie tylko słowami, ale wręcz całym sobą? Czy to po prostu nie jego robota?

— Durnia ze mnie robisz?! — dość tych ceregieli, myślę, za bardzo się z nim cackaliśmy. Strzeliłem w głowę, poprawiłem, tylko te złote loki zafajtały.

— Oprawca! — zapiszczał i z pazurami mi do oczu, jak dziewczyna; rzuciłem go na tapczan, poduszkę na pysk, aby tych kocich zawodzeń sąsiedzi nie słyszeli, i dolałem jak pan Bóg przykazał.

— Gdzie pistolet? — mówię, a on błądy, jak ryba dyszy, i w płacz; łzy jak groch po policzkach mu lecą, spazmami się zanosi. Zdębiałem, bo żeby dwudziestoletni byk tak się zachowywał? Kurza twarz, myślę, może ten wszarz naprawdę spluwy nie podebrał, a balerines mnie za nos wodzi; tylko po co mu to, szantaż na mnie? Ale chyba rozumie, że jeśli nie zwróci, spokoju mu nie dam.

— Prześtań się mazać — mówię, bo ten wciąż w poduszkę beczy.

— Jak pan mnie traktuje... — zaskuczał — miały być pieniądze i lekkie życie, a zamiast tego... — i w tym stylu; niezawinione guzy zbiera, traktuje go się jak ostatnią szmatę i popychadło, a on swoją godność ma.

— Marcel podejrzenie na mnie rzucił? — ni to pyta, ni się skarży. — Pewnie chciał pana wysondować, czy ten napad ze mną nie ukartowany. Mówiłem, jaki to pokretny gość, ostrzeżałem, nikomu nie dowierza... — i zacinając się mamle, czy mi się co nie wypsnęło, a trzęsie się przy tym jak barani ogon i już nie bardzo wyrozumieć mogę, co go o tę febrę przyprawi: strach przede mną czy myśl o wyspie przed Quidem.

— No dobrze, ale kto ten pistolet wziął? — ciekawi mnie,

czy będzie wrabiał balerinesa, chociaż może naprawdę nie wie, co tamten z bronią zrobił. Obaj zgodnie w jedną dudkę dmą: tancerz, że małego do tajemnicy nie dopuścił, zaś ten padalec z uporem to potwierdza. Umówili się czy co?

— Proszę pana, pojęcia nie mam — jęczy pasikonik, ale balerinesa nie pomawia. Cholera, ręce opadają.

Jeszcze temu gnojkwowi dołożyć? Ale co to da? Boże uchwaj miarę przebrać; potem już nigdy nie będę wiedział, prawdę mówi czy ze strachu łże. Trzeba go będzie inaczej zażyć, a póki co, wiarę dać.

— Robotę stałą musisz mieć — zaczynam z innej beczki — bo taki obibok i wałkoń łatwo podpaść może — już dawno postanowiłem do jakiegoś zajęcia go zagnać. Dotychczas się wilał, Marta zaś nie bardzo sobie z nim radziła, a ja się ujawniać nie chciałem; on jeden z mojej stajni zatrudnienia nie miał, a ja tego na dłużej nie toleruję.

Bezpiecznie jest, jak wszyscy uczciwie pracują. Oficjalna posada szyld daje; także miesięczne dochody, choć najskromniejsze, lecz stałe. Lumpów jak ognia unikam i do żadnej roboty nie biorę; rajzer bez stałego grosza na byle co się złakomi, gotów po bilon do kiosku się włamać albo wystawę dla flaszki wódki stłuc.

Moi muszą podstawę, czyli uczciwą pensję, mieć — bo milicja do takich ciekawości nie ma — a wtedy po luksusy przy moim boku mogą startować.

— Jutro do pośredniaka walisz.

— Tam nic odpowiedniego mi nie dadzą — i już przede mną paniątko się nadyma, jakby przed chwilą w mordę nie wziął.

— A cóż ty umiesz?

— Mam maturę — patrzcie go, inteligent urodzony w niedzielę, woli z nierządu żyć. I mówię mu to wprost.

— Pan to wulgaryzuje — wyniosłe prawi paż królowej i gadkę mi górną wstawia o niejakim starożytnym filozofie Platonie i jego teorii połówek. A tak mu to gładko idzie, jakby z książki czytał.

On, znaczy, taka połówka intelektualnie wyrafinowana, a ja prymityw i prostak. Boki zrywać. Zawile plugastwo i tyle.

— Możesz być sobie nawet ćwiartka, ale do pośredniaka jutro truchtasz! — ten się miga, o zamięłowaniach trajluje, wreszcie o wolności jednostki zasuwa. Nie powiem, wyszczekany jest.

— Znaczy się, stajnia u balerinesa to swoboda jednostki, tak? To ja bym wolał kamienie na szosie tłuc.

— De gustibus — łaciną mnie kontruje. I zaraz: — Marcel mi na poziomie robotę obiecał! — uszu nadstawiam, co to za zajęcie, które paż królowej za odpowiednie dla siebie uznaje.

— Muzyka!

— Na klezmera cię szykuje? — no, myślę, wcale nieźle.

— Co pan! — takim zajęciem pasikonik gardzi — ...Do zespołu estradowego. Gitara elektryczna!

— To ty wykształcenie muzyczne też masz? — dziwię się, bo Marta nic mi o tym nie wspominała.

— Więcej — powiada błazen jeden — mam talent!

Zamknął mnie tym talentem, bo jeśli już ktoś takie wyobrażenie o sobie ma, to i rozsądna gadka nie pomoże. No i co z tego, że go w szkole o tym tam Platonie wyuczylili?

— Matury nie mam — mówię — uzdolnień artystycznych mi brak, ale życie znam. Więc powiem ci: Quid nie załatwi ci takiej roboty, co mogłaby grubszymi hopami

siknąć. A wiesz ty, ciemnego, dlaczego? Bo wtedy ty się na niego wypniesz, a tego on nie chce. Będzie cię trzymał na garnuszkach, choćby i pozłacanym, dopóki mu nie zbrzydnie, i niech ja sparcieję, jeśli nie mam racji.

Pozezował na mnie i nic mi zrazu nie odpowiedział. Chyba trafiłem; tamten go obietnicami mamił, próżność tylko rozniecał, a w sprawie kariery palcem o palec nie stuknął. I kto przyjmie takiego do zespołu? Chyba że ta elektryczna gitara sama by grała.

— Czas pokaże, kto ma rację — dobył wreszcie głosu — ...ale tam mnie przynajmniej nikt nie bije.

Ech, myślę sobie, ciebie żadne bicie już nie wyprostuje ani też żadna dobroć, boś w ogóle bubel.

Niedługo potem, niespodzianie, bez zapowiedzenia, u Marty zjawił się Quid. Elegancki — maniery wielkiego pana. Jestem ten a ten, wyraźnie nazwisko wymienił, a wyglądał, jak mi mówiła, jakby na oklaski czekał.

— Znam pana ze sceny — Arpadowa na to, i kilka przedstawień, w których on główną rolę fikał, wymienia.

Coś tam jeszcze pomądrzyła się na temat techniki przytupów i hołubców w ogólności. Zna się na tym na tyle, że znaleźć się potrafi.

Stopniał jak łożowa świeczka; to jak mu koniak zaproponowała, bez wahania na poczęstunek przystał, bo poczuł się w swojej sferze.

Marta gorzałę serwuje, kibica baletowego zgrywa, ale niepokojna, bo a nuż paż królowej coś na lewo zmalował; rąbnął co cennego albo jakiegoś innego gnoja zrobił.

— Przyjaźnię się z Sandrem — zwierzył się wreszcie balerines.

— No cóż, mógłby trafić gorzej — wzdycha Marta, do rozumienia dając, że wie, o jaką to przyjaźń chodzi.



— Mówił o mnie? — nadstawił ciekawie ucha.

— On mi nic nie mówi! — użaliła się Marta i z szafy ciągnie te frędzlaste skórznie. — Czy to pan mu dał? — z fraunkiem pod oczy mu tka. Quid potwierdza z leciutkim uśmiechem. — Źle pan robi! — namarszczyła się Marta i już teraz surowo: — To zbyt kosztowny prezent!

— Ależ to drobiazg.

— Dla pana może tak, a nie dla niego. Rozpuszcza go pan, a i bez tego to bardzo trudny chłopiec, do pracy nie mogę go nakłonić!

— Nie należy go zmuszać do ładowania węgla.

— Ma być na moim utrzymaniu, tak? Pełnoletni, zdrowy mężczyzna! — zaperzyła cię Marta.

— Tego nie powiedziałem — łagodził Quid, bo miał już przed sobą nie olśnioną wielbicielkę jego talentu, tylko rozwścieczoną kobietę, która z wałkoniem się męczy.

— Nie życzę sobie na przyszłość takich podarunków, bo mogę być przykra! Nie zmuszam go do węgla, ale wymagam, aby zarobił na swoje potrzeby. Proszę to zabrać — szmyrgnęła mu ten Sandrowy strój.

— Sander ma prawo przyjąć prezent...

— Dopóki u mnie mieszka, nie pozwolę na to! — krzyczy Marta.

— Będzie mieszkał u mnie — zapowiedział Quid i bardzo chłodno się pożegnał. W taki sposób Marta wystawiła pasikonika i utwierdziła Quida w opinii o małym. I było to nam na rękę, bo pożytku już z niego nie było.

Nurtowała mnie jednak sprawa pistoletu i wypuściłem za nim Kitajców; nic niepokojącego nie zauważyła, Sander u tancerza się zadekował i prawie z willi nie wychodził, niekiedy tylko zaglądał do takiej kafei, co „Isztar” się nazywa. Nic

ważnego to nie było, słyszałem już o tym miejscu, ale jak robota mi się w tamtej dzielnicy trafiła, zajrzałem dla porządku.

Lokalik nawet niczego, kameralny, przyćmiony — ale samoobsługowy, a ja lubię, aby za moje pieniądze, co sobie życzę, podano mi do stolika.

Kawę sobie wziąłem, w nyży siadłem i coś mi się nie tak wydaje, ale od razu nie połapałem się, w czym rzecz. Aha! myślę, same takie kudłate i happeningowo odziane młodziaki siedzą, nie rozpoznasz, który chłopak, która zaś dziewczyna. Te ubrania takie cudaczne, istne zapustowe przebierance.

Ale coraz więcej ich popatruje na mnie jak sroki, a między sobą świergolą i czuję, że ogólne zainteresowanie budzę.

Prezencję mam nieostatnią, jeszcze i młodej dziewczynie mogę się podobać, chociaż do Małcużyńskiego mi daleko, ale żeby aż tyle naraz upodobanie we mnie znalazło? No to co jest? Smar na nosie mam, rozporek nie dopięty? Dyskretnie się sprawdzam. Wszystko w porządku, a te coraz nachalniej mnie oczyskami świdrują.

Głupio tak człowiekowi jak na scenie siedzieć, więc spiesznie kawę dopijam, bo i tak nic tu ciekawego nie widzę, gdy wtem drzwi prask i kto wchodzi? Pstrąg!

Nie dojrzała mnie w kącie, do bufetu tak jakoś boczkiem potruchtała, wodę mineralną wzięła i rozgląda się, gdzie by tu przysiąść, wtedy mnie dostrzegła. Kiwnąłem na nią. Przysiadła się, ale jakaś sztywna taka. Myślę, pewno się przede mną tej wody wstydzi, a na ciastko czy kawę nie ma. Wiem przecie, że matka Pstrągowi więcej niż pięć złotych na rękę nie da i na wszystko jej wylicza. — Na ciastko nie masz? — badam małą; co, do diabła, myślę, przecież. Marta jej miała pięć

dychy dziennie płacić, więc co jest? Nie płaci czy Pstrąg taką lekką rękę do wydawania ma, a może sknerzy sobie?

— Nnnie, nie mam ochoty na ciastko — duka.

— Kup se kawałek tortu, Pstrąg — dwie dychy wykładam. Rozumiem, na pewno groszem nie śmierdzi.

— Ależ nie, dziękuję! — ona pieniądze odsuwa i płonie jak piwonია; a skrępowana, jakbym jej nieprzyzwoitą propozycję zrobił.

— Mam życzenie tort ci postawić, to nie certol się — powiadam tak po ojcowsku, ale ciekawi mnie, co jej naprawdę jest, bo sztuczna jakaś i nieswoja.

— Odchudzam się, panie Walasiak — uśmiechnęła się jak z musu, banknot odpycha i niby to w roztertargnieniu po salce oczyskami spod rzęs łypie!

— Umówiłaś się z kimś? — już rozumiem ten jej nagły wstręt do mojego tortu. — Mhy! — mruknęła. Nierozmowna. — Spłynę, jak nadejdzie! — obiecuję, chociaż widzę, że wołałaby, abym sobie natychmiast poszedł.

Z Sandrem się zwąchali czy co? — kombinuję. Niby nic wielkiego, ale nie cieszy mnie taka bliska sztama.

A do kafei pakuje się cała wataha, każde w lokach, brelokach, łańcuszkach a bransoletkach; kolorowe jak stado gili, resztę wolnych miejsc obsiedli i ćwierkają — rozhuścili cały lokal, przerzucają się słówkami od stolika do stolika, wszyscy ze wszystkimi się znają; pisk, śmiechy, klangor taki, nawet grającej szafy nie słyszeć.

— Cicho, dziewczyny! — jak nie huknie bufetowa; gruba, biuściasta, a głos, nie przymierzając, jak u Ładysza. Z punktu ucichło; posłuch, myślę, u tych smarkatych ma.

— Ciekawe, po czym ona poznaje? — aż zainteresowało mnie, jak ona ich rozróżnia.

— Tu poza mną to same chłopaki — Pstrąg rozejrzała się po sali.

— A te umalowane?!

— Też, to giełda — uświadamia mnie mała.

Głupio mi się zrobiło, mnie, starego knajaka, ta nieopieczona siksa oświeca. Tyle lat w tym mieście żyję, a pojęcia o istnieniu takiej mety nie miałem. I nareszcie rozumiem, czemu tak mnie lustrowali.

— To już im plac Trzech Krzyży nie starcza? — parszywym tonem gaje.

— Tacy sami ludzie jak i pan! — warknęła mała; patrzcie ją, humanistka się znalazła.

— A co ty tutaj robisz?! — podpytuje ją; ale zanim coś wydukała, patrzę, jakieś dziwadło sunie do nas, na Pstrąga się gapi, a ta „Życiem Literackim” ostentacyjnie się wachluje. Ta dziwożona dojrzała manewry Pstrąga z gazetą i już do nas jak w dym.

— Żanna jestem! — pisnęło toto dyszkantem; oczy siną farbą zmalowane, rzęsy od czernidła ciężkie, brwi wymodelowane w sznureczki, spodzień aksamitny, bluzeczka z żabotem, a widzę przecie, że chłopak.

— To ile chcesz? — pyta ten Żanna, a ja przedmiotu targu nie widzę i obrzydliwie mi się robi, bo on Pstrąga włosy maca. Prawda; Pstrąg ma grzywę jak tarpan.

— Tysiąc dwieście — powiada Pstrąg i nijakiej żenady po niej nie widać. A niech to dunder! — myślę, tyle gadania, jaki to starzy zły wpływ mają na młodych, a kto kogo tutaj gorszy?

Zgroza mnie ogarnęła. Toż to jeszcze na dobre życie nie zaczęło, a już zboczone, i skąd im się to bierze?

— Osiemset — ćwierknął Żanna.

— Osiemset to mi fryzjer dawał — skrzywiła się Pstrąg.

Wtedy dopiero ja, durny, pojąłem! Pstrąg włosy sprzedaje. Ten Żanna włosiny ma rudawe, rzadziutkie i musi perukę umyślił sobie uszyć. Uch, myślę, a kup se w komisie.

— Zjeżdżaj, wyskrobku! — cedzę — już cię nie widzę — spojrzał na mnie spłoszony i jakby wiatr go wymiół. Płochliwa nacja.

— Dlaczego mi pan interes zerwał?! — pieni się Pstrąg i z tej złości ma łzy w oczach. — Z jakiej racji pan się do mnie wtrąca, prosiłam pana? Ojciec się znalazł! Takiego amatora mi pogonić, perukarz to mi tylko sześćset dawał, a z Żanny jak nic tysiąc bym wyciągnęła, a może i tysiąc dwieście... I po cholerę pan tutaj przylazł... — zrywa się wściekła.

— Kupuję twoje włosy — posadziłem ją z powrotem i półtora tysiąca na stół wykładam. — Masz, więcej płacę i bez targów!

Najgorzej to ze szczeniakami, myślę, bo ze swoimi kumplami, choć nie mózgowcy, takich kłopotów nigdy nie miałem. Inna rzecz, trochę to przez Martę; z wrodzonej chciwości grosza dziewczynie nie dawała, a ja skąd mogłem wiedzieć, skoro dla Pstrąga wciąż byłem pan Walasiak, co jej, gdy była mała, lizaki fundował. Nie mogłem jej przecież podpytywać, czy Marta fryszt uczciwie płaci. A niech mnie ręka boska broni, żeby gówniara wiedziała, w jakich interesach swój udział bierze i kto naprawdę tym wszystkim kręci. Już i tak zgryz dostateczny, że przed Sandrem musiałem twarz ujawnić.

— No co się tak na mnie wytrzeszczasz, gorszy ze mnie kupiec niż Żanna?

— A po co panu taki nabytek, panie Walasiak? — oczu ze mnie nie zdejmuj, po pieniądze ręki nie wyciąga.

— Płacę, to bierz, ale bez mojej wiedzy nie masz prawa ich ściąć, pamiętaj! Mój towar teraz na tej głupiej głowie nosisz, to szanuj go.

Nie z sentymentu te jej kłaki ratowałem. Nam był potrzebny ich dziewczynski wdzięk. Niby naiwna, niedoświadczona, zaufanie budząca dziewczyna, a nie wyfiokowana wywłoka, lokalowa zdzira, choćby i młoda.

Cierpliwie poczekałem aż do kolejnego sprawozdania Marty i tak mimochodem pytam ją, co jest z lafą dla Pstrąga, nic o spotkaniu małej w „Isztar” nie wspominając.

— Dwadzieścia złotych przyszła do mnie pożyczyć — kombinacyjnie mówię Marcie — powiada: na wodę sodową nie mam, panie Walasiak. Dlaczego więc jej nie wypłacasz, jak było umówione, nie zasłużyła sobie czy jak? Przecież już i ja nawet widuję, jak chłopak pod bramą wystaje, jak się prowadzają...

— Ciągnie ścierwo do ścierwa — Marta na to i aż gulgo-cze na jego wspomnienie.

— Piękny chłopak — chwale.

— Za piękny i w tym cała bieda, machnęliśmy się z tym pomysłem, właśnie na tę jego urodę poprawki nie biorąc... Pstrąg się zbiesiła, mnie unika, pieniędzy nie chce brać. Nic nie wiem, co się tam kroi, bo ona wody w usta na ich temat nabrała — wreszcie kiszkuje się Marta.

— Eee tam, zaraz miłość... — mówię. — Pstrąg na grosz łasa, nie pierwszy raz w życiu chłopaka zobaczyła; każdego namota, jeśli tylko zechce, seksowna diablica, przejdzie jej. To rteć nie dziewczucha, prędko jej prowadzenie się za rączkę

obrzydnie, bo chłopak groszem nie śmierdzi, a mała za mocniejszym życiem zatęskni, bo już go zakosztowała. Poczekać trzeba! — tak klaruję, ale niespokojny jestem, bo, proszę, wolała grzywę sprzedać, oszpecić się niż od Marty brać.

— Popsuć to trzeba — Marta na to — popsuć, póki czas, bo jak się bliżej zwąchają, to dopiero bieda może być!

— Przecie ciebie nie sprzeda — mówię. — Czarnotowa, póki życia, przysługi ci nie zapomni.

— Czarnotowa to ciemna ryfa, a Agnieszka już dawno przestała jej służyć.

— Ale dobrze wie, że to ty trzydzieści pięć patyków im wytrzepałaś!

Tylko pomysł był Marty, bo szmal to ja z faceta wydusiłem. Obie Czarnoty do dziś pojęcia o tym nie mają.

Kiedy ten gość markową bryką po Agnieszkę zajechał, traf chciał, że Marta go zobaczyła.

— Kiepsko Agnieszka startuje... — powiada mi przy okazji; ona tego faceta z knajpy z widzenia znała, bywalec barowy. A lokalowe dziwki niedobrze o nim mówiły.

No, a jeśli już zawodowe kurwy o gościu, co nie kulawy i na optykę nawet przyjemny w wyglądzie, brzydtko mówią i unikają go jak czarnej ospy, to znaczy paskuda z niego straszna.

Marta właściwie rzecz oceniła i małą wtedy do nas zaplanowała, bo Pstrąg właśnie, ni z tego, ni z owego, zrobiła się taka ładna i każdy chłop do niej rżał, nieważne, stary czy młody; gładko poszło, stara rozwinęła się, bo rozżalona była, nazwisko gościa i adres znała, bo swój zamiar względem tego drania od dawna miała, ale była na niego i za durna, i za słaba.

Rozważyłem wtedy wszystkie za i przeciw — w końcu dla mnie taki numer to małe piwo — raz-dwa wywiad o facecie, czyli chodzenie szeptem i głęboki sondaż... Bekniesz, hyclu, myślę sobie, ani ci się śniło, na czyj gościniec los cię zepchnął, to nie z analfabatką i małolatem będziesz miał do czynienia, i dzwonię wieczorem.

— ...teraz to będzie kosztowało nie pięć, a trzydzieści pięć portretów z kanonikiem — zagajam. A on zagadał o milicji i prask słuchawką. No to za dwa dni z jego świetnego wozu preparat się zrobiło. I znów dzwonię.

— Remontujesz pojazd? To uważaj, abyś tak na gębie nie wyglądał! Jeszcze przez dwie doby kosztuje tylko trzydzieści pięć proboszczy, potem zdrożeje... — on znów o milicji, ale już słuchawki nie rzuca.

— Chcesz odpowiadać za usiłowanie gwałtu? — mówię. — Ale bebechy swoją drogą będziesz miał wypuszczone... Że szantaż? Koń by się obśmiał, kto cię szantażuje, trzynastoletni dzieciak i samotna matka?

On chce pertraktować.

— ...nie ma pertraktacji! Forsa bidnej kobiecie pocztą i spokój! — jeszcze tylko dodałem, że znam parę dziwek, co chętnie przeciw niemu zaświadczą i prokurator będzie miał go jak swego. To go dobiło, złamał się jak zapałka!

— Już jej to raz przypominałam — wzdycha Marta — nie chwyta... Popsuć między młodziakami trzeba — upiera się.

— No to psuj — przyzwalam — pies ich trącał, jeśli mała już moresu nie trzyma.

Marta wymyśliła ten numer z knajpą, tylko nie bardzo była pewna, czy mała się zgodzi. Nie takie toto chytre — poszła. I Arpadowa miała dać o tym cynk do dzielnicowej milicji, że



niby małolatka z cudzoziemcami się zadaje, ale diabeł szyki pomieszał i Marta w ostatniej chwili musiała front zmienić.

— Od tajniaków w knajpie gęsto — szara na gębie była, jak mi o tym sprawozdanie dawała.

— Czyś ty nie przeczulona, kobito, zaraz gęsto?

— Wprawę mam, znam to. Po wpadunku Franka dobry rok pod szkłem mnie trzymali... Bez pudła, mówię, znów sforę za mną puścili... Zwijam chorągiewkę, Łupacz, do więzienia mi się nie śpieszy! Ty rób, co chcesz, ale ohne mich!

Nie zlekceważyłem jej ostrzeżenia. Przykładnie zacząłem żyć: robota-dom i żadnych takich. I tak z dziesięć dni minęło; rozumiem, że to akcja długofalowa, trzeba własny tłuszcz pić, na cudzy szmal się nie łakomić, i to z parę miesięcy albo i z rok.

Aż tu jednego wieczoru, tuż przed zamknięciem, do warsztatu Pstrąg wpakował. Przystanęła, poczekała, bo akurat klient naprawę odbierał, a gdy za nim drzwi zamknąłem, mała te półtoraka mi kładzie.

— Serdecznie dziękuję, panie Walasiak, za pana dobre serce, ale już nie potrzebuję.

— Coś taka przegrana? — pytam, bo mi się jakaś nieswoja wydała; zawsze przecież uśmiechnięta, żywa, jak to się mówi: choć bieda w kamienicy, ale hoc na ulicy, a teraz smutna taka, jakby o dychę postarzała. Pewno z chłopakiem się jednak rozpadło — pomyślałem. Czyżby Marta coś Zamieszła? Ale, do cholery, przecież by mnie powiadomiła!

— Spowaźniałam — powiada — siedemnaście mi stuknęło, panie Walasiak, starzeję się — szprota jedna, co ona o starości wie, śmiać mi się zachciało.

— Bierz pieniądze, mała, umowa nasza stoi i nie zgrywaj się na milionerkę.

— Jakaż to umowa, przecież pan peruki nie potrzebuje.

— Zważniałaś, Agnieszka.

— Półtora tysiąca to nie lizak, panie Walasiak, a i ja już nie dziecko.

— No to jak uważasz, ale jakby co, to wal do mnie, zawsze poratuję.

— Dziękuję i wszystkiego najlepszego, panie Walasiak — i jakby ją wiatr wymiółł, a ja stary obrywus nawet się nie tropnęłem, co ona taka uroczysta.

Kurze oko! Tak to mnie szczęście zaczęło opuszczać.

— Słyszał pan, panie Walasiak, co to się wyrabia? — rano, ledwo warsztat otworzyłem, stróżka do mnie wpada.

— A niby co? — tej to się trzeba strzec, bo chociaż dobrze żyję z tą czarną ospą, to znaczy do ręki jej mówię, niby względem uważania na warsztat po godzinach, to jej nie dowierzam; zamiast schody zamiatać i o czystość dbać, to tylko wystaje i rajcuje, z kim popadnie, a dzielnicowy i łapaje pewno ucho przez nią mają.

— Czarnocianka żyły sobie chlasnęła, miska krwi z niej wyciekła, dopiero ją matka w nocy znalazła.

— A matka gdzie była? — jednak strupłowa pary nie puściła; Czarnotowa także regularną pensję jej płaci, toteż na jej temat nikt z tej francy nic nie wycisnie, nawet milicja.

— We łbie się smarkuli przewracało, a stroje, a książki, a magnetofony — trajkocze — a szkoły, no to i proszę! Biedne matczysko bebechy sobie dla jedynaczki wypruwało, o karierze dla córki marzyło, a teraz masz, na stare lata żadnej podpo-ry... Pogotowie ją zabrało, ale kiepska już była i nic z niej pewno nie będzie.

Nogi ugięły się pode mną; czyżby to Arpadowa tak małą zaszczuła? Ale przecież Pstrąg to taki twardy, mały cwaniak i raptem żyły sobie podcięła?

A jeśli ją odratują? Nic gorszego niż odratowany samobójca, z takiego to czasem mięczak się robi! Jak kto już jedną nogą o tamten brzeg zawadził, to inaczej na ten świat patrzy.

Żeby to się tylko źle nie skończyło! A tak się wszystko ładnie już klarowało i masz, bies ogonem zamieszał; coś się zaczyna cholernie psuć, palec Boży czy co?

— ...dopiero później na to auto zwróciłem uwagę, panie pułkowniku!... Owszem, na parking przed kawiarnią uważanie też mam, ale tylko tak ogólnie, no przecie do pilnowania samochodów się nie zajmowałem... Moja rzecz szatnia, toalety i porządek w lokalu, żeby pajacowania nie było... Awantur u nas nie ma, lokal porządny. Klienci przeważnie zmotoryzowani, względem alkoholu każdy się pilnuje, bo milicja drogowa często gęsto gdzieś w pobliżu lubi się zasadzić, a potem niespodzianie: caps! Kontroluje, bo wiadomo, że u nas nie tylko zjeść, ale i wypić można. Chociaż byle jakiej hary u nas się nie trzyma; gatunkowa, likiery, koniaki, owszem! Ale marża wysoka, więc za lada jaki grosz się nie wypije. A przekąski i dania gorące są w różnych cenach, dla każdej kieszeni coś się przystępnego znajdzie, więc ruch u nas jest duży, szczególnie w soboty i niedziele albo w sezonie letnim... Ale tamtego dnia niewiele było gości. Wiadomo, listopad nie sezon, i mżawka siąpiła, pamiętam, bo w ten wieczór ta katastrofa na przejeździe była. Potem karetki gęsto jeździły i milicja. Nawet lokalu o czasie nie zamkliśmy, że może kto

co gorącego będzie potrzebował, to wstąpi...

— To było na pewno tego wieczoru?

— Tego samego. Jak powiedziałem, pogoda była skisła, w lokalu pustawo, to i wielkiego zajęcia nie miałem... Zmierzchno się już na dobrze...

— Która mogła być godzina?

— Godzina? Nie powiem, jaka mogła być, bom na zegarek nie patrzył, skąd mogłem wiedzieć, że to takie ważne się okaże? Jakbym przeczuwał, tobym spojrział albo i zapisał.

— A więc lokal nie był przepełniony.

— Właśnie, aby parę wozów parkowało i tylko trochę gości było. Przeważnie pary, wie pan, jak to jest. Na tych dwoje też specjalnej uwagi nie zwróciłem, tylko płaszcz wziętem, numerki wydałem i zbyte. Ale po jakiejś chwili gość z sali nawraca, kontrmarkę na ladę rzuci i okrycia pani żąda.

— W kieszeni — powiada — puderniczka, a może szminka albo jeszcze coś innego, już nie pamiętam, ale na pewno o jakiś damski drobiazg chodziło. Wiadomo, zapomniała wyjąć, a teraz potrzebuje, jak to kobita. Niech pan płaszcz nie zdejmuję — prawi — a do kieszeni sięgnie.

— Ja gościom po kieszeniach nie chodzę — zaznaczam — bo i cóż to za obyczaj, panie pułkowniku? Ja swój fach znam, przez kilkanaście lat szatnie kategorii ES prowadziłem, ale mnie wygryźli, panie, wygryźli i na stare lata po podwarszawskich agencjach się tułam, chociaż nie narzekam, bo lokal elegancki, a goście także na poziomie.

— Co mi pan tu dajesz? — zwracam mu uwagę, bo on mi w rękę wciska nie nasz, numerki; nasze kontrmarki są z

plastyku, różnokolorowe, a on mi okrągłą, blaszaną bierkę daje.

— A co? — dziwi się.

— A to, że nie z mojej szatni! Nasze numerki są takie — i demonstruję mu nasz żeton. — Poszukaj pan bez nerw, na pewno znajdziesz — radzę.

Spojrzał na mnie, potem na tę blaszkę; szuka, po kieszeniach się oklepuje — znalazł.

— No widzisz pan — mówię; teraz już się wszystko zgadza, dwa płaszcze na tym wieszaku są, i ten damski mu podaję.

— Przypomina pan sobie, jaki to był płaszcz?

— Tuzinkowy, panie pułkowniku, tuzinkowy! Nic nadzwyczajnego, chyba jakiś ortalion na podpince albo pikowany w kołderkę, ale stuprocentowej pewności to nie mam. Tyle się od tamtej pory odzienia przez moje ręce przewinęło, ale widzisz pan, ja do okryć pamięć mam większą niż do fizjonomii, i tak mi się zdaje, że to był zwyczajny płaszcz.

— Co było dalej?

— Najmocniej pana przepraszam — mówi gość; bo to nie był gburowaty facet, a taki więcej uprzejmy.

— Nie szkodzi — powiadam.

— Panie, a ja przez ten numerek — tamtą blaszką potrząsa — skaranie boskie w „Europeju” miałem i w końcu trzydzieści złotych musiałem zabulić, zanim mi płaszcz z szatni wydali. Przesłuchanie mi sprawili jak w milicji. A jaki, a co w kieszeniach... Ja zaś w żaden żywy sposób tego świństwa wtedy znaleźć nie mogłem, a on, popatrz pan, w kieszeni sobie siedział i teraz jak diabeł z pudełeczka wyskoczył!

— Tak powiedział, że w „Europejskim”? — to było ważne;

wśród nielicznych przedmiotów, znalezionych przy zabitym Franciszku Arpadzie, był właśnie metalowy numerek z szatni przy restauracji hotelu „Europejskiego”.

— Tak powiedział, a i na kontrmarce wyciśnięty był firmowy napis, sam widziałem... No i zaraz my się rozgadali, bo ja, panie pułkowniku, przez jeden sezon także i w „Europejskim” swego czasu szatnię trzymałem. A gość taki rozmowny był i ciekaw wszystkiego; jak się w szatni pracuje, ile da się wyciągnąć... Aż ta gościowna, z którą przyjechał, zniecierpliwiona zajrzała.

— Gdzieżeś przepadł! — zawołała.

— Madame się nudzi — mrugnął do mnie i poszedł na salę.

— Długo zabawili?

— A dosyć, ale dokładnie w godzinach to panu nie powiem.

— Pili alkohol?

— Ja tam nie wiem, bo przecież na salę nie chodzę, w kieliszki gościom nie zaglądam, ale on pewnikiem coś pił, bo potem ona za kierownicę siadła. Sam widziałem, bo za nimi wyszedłem.

— Dlaczego pan wyszedł?

— Jak im płaszcze podałem, to on mi pięćdziesiąt złotych wyłożył! Reszty nie trzeba — powiada. W wesołym nastroju był, jakby nie wiem jaki pomyślny interes ubił. Bo muszę panu rzec, oni na parę męsko-damską, no, co pan wiesz, a ja rozumiem, nie wyglądali. A raczej na takich, co jakby coś do załatwienia mieli i dogadali się... Więc, jak mi taki hojny napiwek odpalił, to ja przed nim elegancko drzwi otworzyłem, tamte od przedśionka też, i aż na dwór za nim wyszedłem; dopiero się zdziwiłem, jak zobaczyłem tę landarę, co

nią ten mój hrabia przyjechał... I stąd mi to wszystko tak w pamięci utkwiło. Panie! ten samochód to tylko do muzeum się nadawał albo i na złom! Aż ciekaw byłem, czy toto w ogóle ruszy... I wtedy sobie pomyślałem: im elegantszy samochód, tym bardziej nieużyty właściciel. Nie pamiętam, żeby który od markowego wozu chociaż dziesiątkę za usługę w szatni dał. Supła się taki na dwa złote i już myśli, jaki z niego wielki pan.

— Numeru wozu pan nie spostrzegł?

— No przecie nie po to wychodziłem za nimi, aby numerować. Na myśl mi nie przyszło, że tak mnie będzie o to milicja maglować. Ale wóz, panie pułkowniku, to taki, co zaraz po wojnie ich demokratkami przezywali, jak się nasze dygnitarze dorobili i zaczęli wreszcie samochodami rozjeżdzać.

— Wóz poprowadziła kobieta?

— Właśnie mówię, ona! Więc wychodzi na to, że on coś wypił.

— Jak wyglądali?

— Bardzo porządnie, on starszy gość, a ona młodsza... Ale tak szczegółowo to nie pomnę.

— Portierzy to fizjonomiści — podbechtywałem jego zawodową ambicję. — Niech pan spokojnie pomyśli, może przypomni pan sobie coś bliższego, jakiś charakterystyczny szczegół.

— Bywalców się zna, proszę pana, bywalców! A ja tych ludzi chyba nigdy przedtem ani już potem nie widziałem. A takich przygodnych gości nie da rady zapamiętać, tyle ludzi przewinie się przez jeden tylko dzień, a dni jak paciorki podobne, wszystko się miesza... Nawet nie pamiętam, czy ona była w berecie, czy w chustce, czy może z odkrytą głową...

— Przecież zatrzymywali się przy panu kilka razy. Najpierw, aby oddać płaszcz.

— No tak, siup! I już okrycia leżą na ladzie, mężczyzna na ogół czeka na kontrmarkę, a często i papierosy z gabloty wybiera, i człowiek już przy nim zajęcie ma, a kobity... nie wiesz pan, jak z nimi jest? Jak kawałek lustra zobaczy, to zaraz się mizdrzy, aby chociaż na chwilę buzię sobie obejrzeć. Czasem tak myślę, że jakby zwierciadeł nie było, to one nie byłyby pewne, czy głowy na miejscu mają.

— Ona zatrzymała się przed lustrem?

— Nie pamiętam, tylko tak ogólnie mówię, jaki baby obyczaj mają... A on? Chyba ogorzały na gębie był i włosy być może siwawe...

— Kiedy go wołała, też się jej pan nie przyjrzał?

— A co się miałem przyglądać? Panie! Ja w łoży, w hallu tylko boczne kinkiety, światła dają tyle co kocie oczy, na sali zaś świece, a po bokach też kinkiety, kameralny nastrój, uważasz pan?... Jak ona w drzwiach sali stanęła i skinęła na niego, to co człowiek mógł dojrzeć, nawet jakby i patrzył... A już jak do wozu wsiadali, to niewiele mogłem zobaczyć, przecież na dziedziniec za nimi nie biegłem i ściemniło się już na dobre... Mówię panu, jakby nie ten wóz i ta pomyłka z numerkiem w szatni, to ja bym ich wcale nie zapamiętał!

To, co powiedział, wystarczyło jednak, aby w hojnym gościu rozpoznać Franciszka Arpada. Ale kim była kobieta? Na oczach szatniarza zasiadła za kierownicą tego samego wozu, którego roztrzaskany wrak ze zmasakrowanym ciałem Arpada znaleźliśmy niedługo potem na nie strzeżonym przejeździe kolejowym.



Z chwilą, gdy stało się oczywiste, że mamy do czynienia z morderstwem, staraliśmy się odtworzyć drogę, którą uciekł sprawca.

Najbliższy przystanek kolejowy, na którym zatrzymywały się tylko podmiejskie pociągi elektryczne, znajdował się osiem kilometrów od miejsca katastrofy. Było najmniej prawdopodobne, aby morderca wybrał tę możliwość. Pomijając niewygodę i dużą stratę czasu, bardzo ryzykowna byłaby dla niego wędrówka skrajem nasypu kolejowego. Mógł przecież spotkać kogoś ze służby leśnej lub kolejowej, a samotny wędrowiec zawsze zwraca uwagę — łatwo go zapamiętać. Nie, on tej drogi nie obrał. Spieszył się, od pośpiechu zależało jego bezpieczeństwo, a osiem kilometrów to mniej więcej półtorej godziny marszu.

Natomiast w odległości około trzech kilometrów od przejazdu — te, trzy kilometry to właśnie boczna droga wśród lasu — przebiega ruchliwa arteria komunikacyjna i tam należało szukać śladów ucieczki zabójcy.

Niemal tuż, za skrzyżowaniem znajdował się przystanek Pekaesu, nie mówiąc już o tym, że sprawca mógł wsiąść do każdego przejeżdżającego wozu. W takim wypadku odnalezienie przygodnego kierowcy, który zabrał go z jakiegoś miejsca na szosie, było niesłychanie trudne, wręcz niemożliwe.

Całe to zadanie powierzyłem służbie wywiadowczej, po czym zaczęły się rozmowy z ludźmi z okolicznych miejscowości, pasażerami i kierowcami autobusów; zajęcia mrówcze, nieefektywne, absorbujące wiele osób. Według rozkładu jazdy zidentyfikowano pekaesy, które kursowały wówczas na tej trasie; wyjaśnienia złożone przez obsługę nie wniosły jednak nic do sprawy. Tego wieczoru wszyscy podróżni byli

jednakowo zmarznięci, przemoczeni i ubłoceni. Nikt nie zapisał się w pamięci czymś szczególnym.

Traciłem nadzieję, czy da się z tego wykrzesać jakąkolwiek wiarygodną informację.

Przy szosie — w strefie objętej działalnością tajnej służby — leżał zajazd-restauracyjka, odwiedzana przeważnie przez zmotoryzowanych gości. Tam to, w trakcie rozmów z personelem, szatniarz przypomniał sobie d w o j e ludzi, którzy w pamiętny deszczowy wieczór przyjechali archaiczną landarą. To była cenna wiadomość. Poszukując tropów uciekającego przestępcy, natknęliśmy się na jego ślad, kiedy dopiero jechał ze swą ofiarą na miejsce zbrodni. I to była kobieta! Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się kobiety w tych okolicznościach.

Marta Arpadowa? — to skojarzenie narzucało się prawie samo przez się. Ale dopiero teraz dotkliwie zdałem sobie sprawę, że dotychczas nic nie wiemy o ludziach z bliskiego kręgu Arpada. Przez ponad pół roku żył wyizolowany; tylko syn i żona, z którą pragnął się rozwieść.

Czy to możliwe, aby człowiek, przez lata mieszkający w tym samym mieście, w ogóle nie miał żadnych znajomości? Stare przyjaźnie przekreślił kryminał, nowe się jeszcze nie zawiązały? Bywa. Ale jeśli on ukrywał swoje związki z innymi ludźmi, to musiał mieć ku temu ważne powody...

Nie miałem wyboru, trzeba było zbadać, czy w przydrożnej restauracji towarzyszyła Arpadowi — w ostatni wieczór jego życia — żona czy też jakaś inna k o b i e t a .

Oficer, któremu zleciłem ten fragment śledztwa, wyjaśnił bez trudu, że Marta Arpadowa od lat siedmiu posiadała prawo jazdy; miała samochód, syrenę, który sprzedała mniej więcej

przed rokiem, natomiast teraz zapisana jest na przydział fiata.

Pasowało to do mojej najświeższej wersji, więc chłopak energicznie krzątał się dalej i jak zwykle w podobnych wypadkach zaproponował okazanie szatniarzowi serwisu zdjęć, wśród których znajdować się miała fotografia Arpadowej.

Bardzo z siebie rad, rozsyłał przede mną na biurku przygotowaną do okazania serię odbitek, bo zadbał, aby wszystkie były tego samego formatu i na identycznym papierze; trzydzieści różnych kobiecych twarzy, różny wiek, różne fryzury, także w chusteczkach i modnych tej jesieni czapeczkach z dzianiny.

Zgarnąłem zdjęcia do teczki i zwróciłem ją oficerowi; spojrzął na mnie nie rozumiejąc, dlaczego marudzę.

— Człowieku, masz babkę za barem od dziewiętej do czwartej rano, a chcesz facetowi, który raz ją widział, pokazywać zdjęcia? Puknij się w głowę! — i coś tam jeszcze narządziłem.

Byłem szorstki i zaraz tego pożałowałem, bo chłopak bardzo się stropił, ale zawsze denerwował mnie brak samodzielnej myśli u pracowników. Szablon i koniec, nic od siebie. Bo nauczyli go w szkole oficerskiej, że zdjęcia podejrzanych okazuje się!

Załatwiłem szatniarzowi trzy dni urlopu i zaprosiłem staro na nocne życie do Warszawy; więc najpierw, dla zmylenia go, o jaki lokal nam chodzi, strip-tease w „Kaukaskiej” i picie tylko przy barze — naturalnie w towarzystwie naszego wywiadowcy — potem „Europejski” i „Kamieniołomy”, następnie dopiero „Agora”.

Jak ona się zachowa, jeśli go pozna? Interesowała mnie jej reakcja. Bo jeżeli w tej przydrożnej restauracji, tamtego

wieczoru, ona była towarzyszką Arpada, to miała takie same szanse, jak i portier, aby zapamiętać jego twarz.

I czy zatrzymanie się w tej knajpce zaplanowała z góry, czy też wynikło ono z przypadku? A numerek z „Europejskiego”, który Arpad przez pomyłkę dawał portierowi, czy o nim wiedziała, a jeśli tak, dlaczego nie zabrała go później, tam na przejeździe?

Arpad, ten rozmowny, wręcz gadatliwy człowiek nie powiedział jej o pomyłce z żetonem?

Szatniarz z zajazdu nie zareagował w ogóle na widok Arpadowej, nie poznał w niej towarzyszki hojnego gościa, chociaż trzy bite godziny spędził w „Agorze”; jedyny efekt był taki, że barmanka ogromnie mu się spodobała, a gdy sobie wypił, prawil jej strzeliste, pełne staroświeckiej galanterii dusery i wywiadowca miał z nim kłopot; stary wrósł w stołek i za nic nie dawał się ruszyć.

— Potem urznął się na dobre i chciał iść w Polskę! — opowiadał wywiadowca przebieg wieczoru w „Agorze”.

Także Arpadowa nie zdradziła się niczym; z jej zachowania nie można było wnioskować, czy portiera widziała kiedykolwiek przedtem.

— Stary jej nie rozpoznał... — poinformowałem Bielskiego o nieudanej próbie identyfikacji. — A i alibi ona ma, tego wieczoru, jak zwykle, stała za barem, widziało ją wiele osób — tak przynajmniej wynikało z informacji służby wywiadowczej.

— Alibi ma od dziewiątej wieczorem, bo wtedy zaczyna pracę — Bielski miał odmienne zdanie — a o tej porze było już po katastrofie. Natomiast nic nie wiadomo, co robiła przedtem. To nie jest żadne alibi! Trzeba ją wyliczyć z czasu

za cały dzień! — nie miał zaufania do wiadomości służby wywiadowczej. Uważał, że trzeba Arpadową oficjalnie przesłuchać. — Nie ma co marnować czasu i energii na wątpliwe eksperymenty operacyjne!

— Do szatniarza trafiliśmy jednak dzięki takim eksperymentom — ratowałem dobre imię naszych wywiadowców. — Nie możemy przecież postępować z Arpadową jak z osobą podejrzaną o popełnienie morderstwa. Próby rozpoznania przez szatniarza nie dały rezultatów, a przyzna pan, że przesłuchanie jej jako świadka mija się z celem!

— Mija... — przygaś Bielski. — I nawet niezbyt wiarygodny wydaje mi się taki wspólny wyjazd we dwoje, skoro stosunki między nimi były chłodne, niemal wrogie.

— To ona tak twierdzi.

— Mówił o tym także Piotr... Ojciec wyzalał się przed nim — dodał Bielski.

— Może ta para chciała tylko stworzyć pozory rozdźwięku, lecz w jakim celu? — przypominałem sobie uwagę szatniarza; Arpad i jego towarzyszka sprawili na nim wrażenie ludzi, którzy załatwili jakiś interes. Jakież to mógł być interes lub choćby pretekst?

Nadal pewne było tylko jedno: na miejsce katastrofy zawiozła Arpada k o b i e t a ! I prawdopodobnie w zajeździe podała mu środek nasenny.

— Do diabła, chyba nie dlatego, że chciał ją opuścić! — nie rozumiałem motywów zabójstwa. — Wyrok bandy? Jeśli nawet z jakichś względów Arpad stał się niewygodny czy groźny dla kamratów, to mało wiarygodne, aby wykonała to jego żona... Z jednej strony niechęć do rozwodu i nagle na zimno wykalkulowane zabójstwo? Brak logicznego uzasadnienia.

— Motyw toby się znalazł, tylko dowodów nie ma — Bielski nie podzielał mego poglądu. — Po prostu nie ma się o co zaczepić! I podobnie jak dziesięć lat temu, nic nie wiemy o Arpadowej i jej środowisku, a o Arpadzie także nic — podkreślił z naciskiem; było to już wyraźnie mnie dedykowane prokuratorskie niezadowolenie z przygotowawczych prac milicji.

Zaledwie w kilka dni po informacjach uzyskanych przez wywiadowców w restauracji, Piotr Arpad wezwany został do notariatu, gdzie zapoznano go z testamentem ojca. Co do mnie, nie miałem żadnych wątpliwości, że Franciszek Arpad kupił dom za pieniądze uzyskane z grabieży; cóż za bezczelność! W sześć miesięcy po wyjściu z więzienia wyłożyć, jak gdyby nigdy nic, przeszło pół miliona złotych.

Piotr, przysłany przez Bielskiego, przyszedł do mnie następnego dnia z samego rana, po tym, jak spadło na niego to dziedzictwo.

— Co mam z tym robić, panie pułkowniku? — zapytał mieniąc się na twarzy; skrępowany, ponury, traktował zapis jak osobistą zniewagę.

— Nic, zanim nie sprawdzę pochodzenia pieniędzy.

No i miałem nosa przewidując, że Arpad, zanim kupił wилę, zaopatrzył się w odpowiednie gwarancje; wśród rzeczy pozostałych po ojcu i przekazanych chłopcu przez Martę Arpadową znalazło się, między innymi, zaświadczenie kolektury totalizatora sportowego, stwierdzające, że Franciszek Arpad był szczęśliwym posiadaczem kuponu, na który padła wygrana w wysokości miliona złotych.

— Co o tym sądzić? — zastanawiał się Bielski, gdy już kryminalistka obwąchała ten papierek i zaręczyła za jego autentyczność; potwierdził to także bank, który wypłacił gotówkę.

— Nie wierzę w tę wygraną.

— Sprawdził pan, pułkowniku, datę ciągnięcia? — Bielski jeszcze się ludzi, że może Arpad wygrał te pieniądze: trudno mu było pogodzić się z myślą, że ten przywrócony społeczeństwu bandyta w gruncie rzeczy nic się nie zmienił.

— Sprawdziłem. Tego dnia rzeczywiście padł milion i został wypłacony, ale ten dokument to zwykły kant. Owszem, dobrze przygotowany i bezbłędnie przeprowadzony. Mając to zaświadczenie mógł bezkarnie dysponować swoim milionem, choćbyśmy wiedzieli, że pieniądze nie pochodzą z wygranej.

— Kupon na okaziciela? — domyślił się Bielski.

— W ubiegłym tygodniu kurs był trzy od sta... — tak się kształtowała ostatnio prowizja za odstąpienie kuponu na specyficznej giełdzie, mającej swoich naganiaczy, koników, maklerów.

Co czwartek w dzień wypłaty wygranych każdy posiadacz szczęśliwego kuponu na okaziciela, bo tylko takie losy są przedmiotem handlu, może uzyskać dodatkowo od trzech do pięciu procent wygranej sumy. Nabywcami są ludzie usiłujący zalegalizować pieniądze zdobyte w sposób nieuczciwy albo uchylający się od płacenia podatków. Zdarza się, że człowiek potrzebujący podkładki ma nóż na gardle, wtedy płaci każdą sumę.

Bielski był wyraźnie zgorzony, nie tyle szczegółami operacji, co moim beznamiętnym tonem; zaraz wpadnie w święty trans — pomyślałem, przypominając sobie jego częste: dlaczego milicja to toleruje? On nazbyt ufał w skuteczność represji karnej.

Jednak tym razem zniósł to mężnie i obyło się bez komentarza, bo zafrapowała go pewna możliwość.

— Należy odnaleźć człowieka, który odprzedał swój kupon Arpadowi — nie powiem, na świetnych pomysłach Bielskiemu nie zbywało.

— Nie przewiduję rezultatów.

— Dlaczego pan z góry przesądza, pułkowniku, trzeba spróbować — zachęcał mnie Bielski; stanowczo celował w pomysły, tyle że to ja musiałem je realizować.

— Nikt się nie przyzna do takiej zamiany, jeśli nawet pamięta nazwisko nabywcy. Próżny trud, a ja naprawdę nie mam bezrobotnych wywiadowców.

Lecz Bielski nie zdążył przywiązać się do swego projektu — chociaż czasami potrafił się uprzeć — bo na szczęście nowe wydarzenia ożywiły śledztwo.

Zaczęło się od telefonu do kliniki.

— Proszę panią Teresę, siostrę oddziałową! — odezwał się w słuchawce męski głos.

— Przy telefonie, słucham.

— To pani wydawała narzędzia doktor Joannie Borowicz?

— Tak, ja... kto mówi?

— Nieważne. Proszę słuchać, bo drugi raz nie powtórzę! A najlepiej wziąć ołówek i zapisać!

— Ale kto mówi?!

— Nie przerywać, słuchać! Wiadomość o profesorze i jego córce!

— Tak, słucham, notuję! — siostra pomyślała, że jest to pierwsza próba nawiązania pertraktacji o okup; od chwili zaginięcia profesora i jego córki upłynęło dwa tygodnie, a dotychczas ani od nich, ani od porywaczy nie było znaku życia.

— Natychmiast wysłać samochód na osiemdziesiąty kilometr szosy Warszawa-Ostrów Mazowiecka. Znajduje się



tam osada Nagoszewo, proszę zapisać: Nagoszewo! Za osadą należy skrócić drogą leśną w prawo. Dla orientacji, drogowskaz po prawej stronie szosy, przy rozwidleniu, ochlapany został czerwoną minią. Z drogi leśnej, w odległości około dwustu metrów od szosy, skręca w lewo przecinka, tam znajdziecie wszystkich troje: profesora, jego córkę i gospodynię. Jechać należy natychmiast, słyszy mnie pani? N a t y c h - m i a s t !

— Tak... — połączenie zostało przerwane.

Dochodziła dwunasta w nocy, na oddziale trwał ostry dyżur; pielęgniarka powiadomiła lekarza dyżurnego.

— Nad czym się siostra zastanawia? — fuknęła lekarz. — Proszę dzwonić do milicji! — doktor nakręcił numer pogotowia komendy stołecznej i oddał jej słuchawkę. Siostra wymieniła nazwisko inspektora, który przesłuchiwał ją po zniknięciu profesora, i zażądała skomunikowania z nim.

— ...jest wiadomość o doktorze Borowiczu... nie będę rozmawiać z nikim innym, tylko z inspektorem — upierała się pielęgniarka.

Dyżurna obudziła kapitana. W dwadzieścia minut później był w szpitalu.

— Jedziemy, siostro! — już podawał jej palto. — Samochód mam na dole!

— A jeśli to jakiś maniak? — pielęgniarka obawiała się fałszywego alarmu; przypomniały jej się przesłuchania, długie, męczące. Atmosfera nieufności, kiedy opowiadała o wydarzeniach tego wieczoru, gdy ostatni raz widziała Joannę Borowicz.

— Nie pierwszy i nie ostatni, a sprawdzić muszę! — kapitan zbiegał po schodach, ledwo mogła za nim nadążyć.

Na podjeździe czekał mercedes, a oprócz kierowcy jeszcze jeden funkcjonariusz. Wszyscy po cywilnemu. Ruszyli spod kliniki jak do pożaru.

— Jeśli to jakaś pułapka?— pielęgniarka przestraszyła się ciemności, lasu w nocy; nagle tych trzech mężczyzn wydało jej się nader szczupłą ochroną przed nieznanym, czyhającym na nich gdzieś na leśnej przecince.

Nikt jej nie odpowiedział: — Baza... baza... — kapitan rozmawiał przez radiotelefon, na kolanach trzymał mapę, przekazywał dyżurnemu treść informacji otrzymanej przez pielęgniarkę od anonimowego mężczyzny.

— Tu baza... przyjąłem, posyłam za wami grupę operacyjną i karetkę pogotowia... pozostań na odbiorze... — zaszemrało w mikrofonie; w mercedesie zaległa cisza.

Upłynęła godzina od chwili opuszczenia kliniki, gdy samochód minął Nagoszewo. Wóz zwolnił, teraz inspektor i kierowca uważnie obserwowali pobocza szosy.

— Jest drogowskaz, zgadza się, skręcamy w prawo — podręcznym reflektorem, zasilanym przez prądnicę samochodu, kapitan przez odsuniętą boczną szybę oświetlał skraj wysokopiennego lasu; noc była ciemna, chmurna, sypała drobną, śnieżną kaszka.

Jechali coraz wolniej, bo niewiele było widać na drodze; przez odłonięte okno wdzierał się lodowaty wiatr, zaczynał śnieg.

— Jest przecinka! — mercedes gwałtownie zahamował; wywiadowca zarepetował pistolet, obaj z kapitanem wygramolili się z wozu i Weszli na rozkistą od jesiennej szarugi leśną drogę.

— Pan pozostaje? — pielęgniarka przeniosła się na siedzenie obok szofera i zrobiło jej się nieco raźniej, gdy poczuła blisko jego ramię. — Ma pan broń? — wyraźnie wołałyby,

aby był uzbrojony po zęby.

— Proszę się nie bać — uśmiechem dodał jej otuchy, odchylił poję kożucha, w słabym świetle zegarów deski rozdzielczej zobaczyła pistolet w otwartej kaburze, umocowanej na specjalnych szelkach.

Kierowca wprowadził wóz w gąszcz zagajnika, potem wyłączył silnik i zgasił reflektory — zaległa cisza, dobiegał tylko szum wiatru.

Kapitan z wywiadowcą brnęli przecinką potykając się o wyrwy i korzenie, trzaskał pod stopą cienki lód na kałużach, chlupotała błotnista woda..

Nagle droga skończyła się, przed nimi była łagodna skarpa, na jej zboczu w światłach latarek dostrzegli trzy, jedno przy drugim, rozciągnięte ciała.

W pierwszej chwili wydali się kapitanowi martwi; przypadł do nich, chwycił za ręce, były skostniałe, ale z łatwością wyczuwał puls. Leżeli jak kłody, owinięci starym śpiworem; widocznie sprawcy chcieli ochronić ich od chłodu, lecz gdyby tak poleżeli dłużej bez pomocy, na ściętej przymrozkiem ziemi, groziła im co najmniej ciężka choroba.

Bezwładnych i nieświadomych, co się wokół nich dzieje, przeniesiono do karetki pogotowia, która wraz z grupą operacyjną przybyła w ślad za mercedesem, i w dwie godziny później byli już w warszawskiej klinice; w ich krwi stwierdzono znaczne stężenie alkoholu zmieszanego ze środkiem nasennym.

— Pijaństwo sięgnęło mi do pięt, jak mawiał Rabelais — uśmiechnął się profesor, gdy nazajutrz obudził się ze snu. Kobiety także przyszły do siebie i jeszcze tego samego dnia — mimo perswazji lekarzy — cała trójka opuściła szpital; a na wieczór zamówił się do nich kapitan.

— Proszę opowiadać... — inspektor na razie tylko słuchał. Niech mówią swobodnie o wszystkim, co utkwіło w pamięci; nie krępować ich pytaniami, niczego nie sugerować. Relacje rejestrowała taśma.

Od razu pojawiły się rozbieżności; troje ludzi, trzy różne opowieści o zdarzeniach przeżywanych przecież wspólnie, nieledwie na jednym planie i w tym samym czasie.

Dwóch porywaczy, trzeciego mężczyznę zobaczyli dopiero tam na miejscu, czwarty ranny i kobieta — ona przyszła dopiero nad ranem i już pozostała: szef, Wiewiórka, Spokojny i Binia, ranny Kitajec, marka wozu warszawa — co do tego wszyscy są zgodni.

Poszły w ruch kartoteki kryminalnej recydywy — nie natrafiono na takie pseudonimy; szukano także Bini, chociaż w grypsersze to po prostu oznacza kobietę.

Całą trójkę — oczywiście każdego oddzielnie — obłożono albumami notowanych przestępców, lecz żadne z nich nie wskazało nikogo z ludzi prezentowanych na fotografiach.

W ich relacjach było tak wiele sprzeczności, że nawet nie udawało się nam ułożenie portretów sprawców.

Kapitan jest cierpliwy, choć kipi z bezsilnej pasji; wprawdzie porwani odnaleźli się cali i zdrowi, ale cierpi zawodowa ambicja. No bo jak to jest? W środku milionowego miasta gang uprowadza troje ludzi i trzyma ich nie wiadomo gdzie ponad czternaście dni. A potem zawiadamia szpital — proszę bardzo, możecie już odebrać swojego słynnego profesora, nie jest nam więcej potrzebny... I kapitan przysięga sobie, że dostanie tamtych, żeby miał na to strawić parę lat życia.

Mimo wszystko plan wielogodzinnych rozmów jest olbrzymi; informacje trzeba tylko usystematyzować, a wyłoni się z nich obraz ludzi i miejsca, gdzie lekarze przeżyli ponad dwa tygodnie.

Kapitan opracowuje ankietę, którą wypełnia każda z trzech osób:

1. **Droga z Żoliborza do domu porywaczy;** czas — środek lokomocji.

2. **Kryjówka porywaczy,** usytuowanie, rozkład pomieszczeń, urządzenie wnętrza.

3. **Portrety bandytów:** wiek, wygląd zewnętrzny, język, sposób bycia, treść rozmów.

4. **Ranny:** znaki szczególne na ciele rannego, przebyte choroby lub operacje, charakterystyka postrzału, kiedy, z jakiej broni.

W rezultacie inspektor otrzymuje materiał, z którego wyławia elementy posiadające wartość dla odnalezienia i identyfikacji sprawców.

**Trasa Żoliborz - kryjówka:** czas jazdy trzydzieści-pięćdziesiąt minut, szybkość od osiemdziesięciu do stu kilometrów na godzinę.

Uwaga Joanny: droga z Żoliborza do meliny trwała znacznie dłużej niż stamtąd do kliniki; być może wówczas szef umyślnie kluczył, aby ich zdeorientować, natomiast do szpitala i z powrotem jechał najkrótszą drogą, zdeterminowany diagnozą profesora o stanie Kitajca.

**Samochód:** warszawa, kolor beż, numer rejestracyjny... na dachu świetlna winieta-taxi, wewnątrz brak licznika.

**Kryjówka:** dom w zadrzewionym ogrodzie, nie otynkowany, budynek z cegły.

**Wnętrze mieszkania:** kwadratowy przedpokój-hall, schody na piętro, łazienka, kuchnia, WC, pokój, gdzie

leżał ranny, około piętnastu metrów, naprzeciwko większy pokój, około dwudziestu metrów; tu stał telewizor produkcji niemieckiej, płaszczyzna jednej ściany zabudowana aż po sufit rodzajem szafy wnękowej z odsłoniętymi i zasuwanymi półkami, tamże barek. Na odkrytych półkach bibeloty, kryształ, porcelana. Zupełny brak książek.

Wszystko to dotyczy parteru, na mansardzie żadne z nich nie było.

**Kuchnia:** (obserwacje gosposi) lodówka marki „Silesia”, mały robot kuchenny, sokowirówka „Malina” z pękniętą obudową, porcelanowy rosenthalowski serwis na dwanaście osób, duże zapasy żywności, delikatesy w puszkach.

**Portrety porywaczy:** herszt, wiek około pięćdziesięciu lat, wzrost średni, proporcjonalnie zbudowany, silny. Sam przeniósł rannego z tapczanu na stół. Włosy ścięte krótko, gęste, ciemne:

Uwaga Joanny i gospodyni: szpeci go kaczkowaty chód i wyraźnie krzywe nogi:

Joanna widziała go bez szkieł w czasie pobytu w klinice; twarz szczupła, pociągła, dwie głębokie bruzdy od nasady nosa. Oczy? — nieruchome jak ze szkła, straszne, niemal martwe oczy. W pamięci utrwalił się jej tylko ich wyraz. Jej zdaniem, takie oczy może mieć chyba morderca, samobójca albo człowiek bezwzględny, zdecydowany na wszystko.

Kiedy ostrzegał ją przed nierozważnym zachowaniem w szpitalu, w nieprzyjemnym grymasie odsłonił zęby, bardzo białe, zdrowe jak u młodego psa.

Zachowanie: mieszanina prostackiej galanterii i agresywnej buty. Starał się jednak uchodzić za człowieka kulturalnego.

Natomiast język to konglomerat gazetowego żargonu i warszawskiego slangu.

**S p o k o j n y**: mały, suchy, lat około czterdziestu, łysiejący blondyn. Milczek.

Uwaga gospozi: ponury gbur, złośliwy pokurcz, wulgarny, nie liczący się ze słowami. Rynsztok w gębie.

**W i e w i ó r k a**: także niewysoki, żyłasty chudzielec, wiek około czterdziestki, rudawy.

Uwaga gospozi: łakomy, wesoły łasuch, uczynny.

— Obżora — wspominała go z gniewnym sentymentem — spod ręki wyjadał, ledwo się człowiek odwrócił. A spust miał, Matko Boska! Gdzie on to podziewał? Pewnikiem ma solitera, bo nic po nim nie było widać.

Spokojnego i Wiewiórkę szef starał się trzymać na dalszym planie, przeważnie w kuchni, lub wyznaczał im warty nocą.

**R a n n y**, **p r z e z w i s k o K i t a j e c**: około pięćdziesiątki, wzrost średni, budowy atletycznej, krępy. Blizna po operacji ślepej kiszki. Postrzał brzucha, kula przeszła ukosem naruszając przeponę i jelito. Od chwili postrzału do interwencji chirurgicznej upłynęło około półtorej godziny. Postrzał prawdopodobnie z broni krótkiej.

**B i n i a**: wiek około czterdziestki, nieforemna, jakby celowo zniekształcona figura. Ograniczająca się do słów koniecznych. Przez cały czas nosiła jasną perukę. Zaopatrywała dom w prowianty — prowadziła wóz.

Numer wozu zapamiętany przez profesora okazał się fałszywy, nie figurował w spisie wydziału komunikacji. Mimo to profesor, Joanna i gosposia musieli przyjąć defiladę pewnej grupy kierowców taksówek i ich zmienników. Żadnych rezultatów.

Najdotkliwiej w pamięci całej trójki utkwił ostatni dzień pobytu w domu porywaczy. Wtedy gdy profesor oznajmił, że Kitajec może się już obejść bez jego pomocy, a opatrunki z powodzeniem będzie zmieniała Binia, którą zresztą niemal od pierwszego dnia przyuczał do tej funkcji.

— Od tej chwili już nic nas nie chroniło — powiedział profesor — przestaliśmy być im potrzebni, byliśmy zdani na ich łaskę i niełaskę... Szef przez cały czas pragnął uchodzić za człowieka cywilizowanego, teraz koniecznie życzył sobie, abym wziął honorarium. Nie odmówiłem, zażądałem nie tylko za operację, ale także diety za czternaście dni pracy dwóch wysoko kwalifikowanych lekarzy, w warunkach szczególnie ciężkich. Zapłacił mi łącznie piętnaście tysięcy złotych.

— Oczywiście, nie odstawię was do domu, bo tam roi się pewno od salcesonów — zastrzegł szef i lojalnie uprzedził profesora, że zostaną porzuceni w lesie, w mało uczęszczanym miejscu.

— Kazał mi wybrać środki oszołamiające — profesor zdecydował się na środek nasenny, silny, ale nieszkodliwy w zestawieniu z alkoholem. Herszt osobiście mu go dostarczył.

— Nie odpłacę panu draństwem za uratowanie życia kumplowi — powiedział szef; przyrzekł, że natychmiast po ulokowaniu ich w lesie zawiadomi klinikę. Wtedy profesor podał mu nazwisko swego asystenta, kilku lekarzy i między innymi pielęgniarki oddziałowej.

— Dotrzymał słowa — przyznał kapitan. — Ale wtedy pan mu uwierzył?

— Nie miałem wyboru — uśmiechnął się profesor. — Wieczorem wlałem po szklance koniaku w moje kobiety, sam wychyliłem dwie... To wszystko.



Profesor i Joanna mówili zwięźle, ważąc niemal każde słowo, rzeczowo, natomiast gospodyni pomstowała, rozwodziła się szeroko i barwnie nad zapamiętanymi szczegółami.

— ...niewola egipska, panie kapitanie, po całych dniach jak Madej któryś nad karkiem wisiał, nos we wszystko wtykał, a ta klempa, to nastroszone czupiradło, to tylko jak kosz w kącie siedziała, gęby do człowieka nie otworzyła... Ale Bóg ich skarże, bo przez nich ślubowanie zламаłam...

— Jakie?

— Gorzały, tfu! człowiek sobie język ich paskudną mową do cna oszpecił, to znaczy alkoholu przysięgałam do ust nie brać, bom w kółku eucharystycznym.

— Stan wyższej konieczności, to się nie liczy — uznał kapitan.

— Profesor mówił to samo, jak mi kazał tę kajsę, tfu! na psa urok, ten bandycki koniak pić, ale czy spowiednik uzna? — na ten temat kapitan z profesjonalnej ostrożności nie wypowiedział się.

— Ale! — piasnęła w ręce już bardzo zaprzyjaźniona z kapitanem gospodyni, bo słuchacz był z niego wdzięczny. — Ten obwieś Wiewiórka, co najczęściej wartę przy mnie miał, bo jak już panu mówiłam, obzora z niego taka jak ten Gargantuja, no, ten książkowy łakomiec... Więc ten Wiewiórka co i raz łasował z półmisków, skaranie boskie z nim miałam, po łapach waliłam, ale nieraz mi garnir popsuł, to mówię: gałganie jeden, łapy umyj, oddzielnie ci dam, ale co to ja chciałam?... Aha! To ten Wiewiórka tego zabitego w katastrofie musi zna, no tego, co go w samochodzie lokomotywa na amen zgmiotła, w gazetach pisali, Franciszek mu na imię, Panie, świeć...

Po spisaniu tych nowych szczegółów kapitan przyprowadził do mnie gospodynię. Na razie wszedł sam, pozostawiając ją w sekretariacie.

— Jest coś interesującego dla pana, w mojej sprawie! — zaczął tajemniczo.

Od kilku dni huczało w komendzie o odnalezieniu Borowiczów, lecz nie spodziewałem się związku między tamtym dochodzeniem a śledztwem, które prowadziłem.

— Profesora porwano, aby wyreperował rannego... — poinformował mnie kapitan. — Jednak tamtej nocy, gdy go postrzelono, nie wpłynął żaden meldunek o użyciu broni.

— Domyślałem się, dlaczego uprowadzono lekarzy, nie mogli odwieźć rannego do szpitala, ale streszczaj się, bo nie mam czasu! — nawalał mi dysk, a w takich chwilach bywałem szczególnie zgryźliwy.

— Wyłowiłem pewien z pozoru drobny fakt — przygaś! — zresztą niech pan sam oceni — i wypuścił na mnie gospodynię Borowiczów, a ta, gdy tylko weszła za próg, zagrała jak katarynka.

— W pierwszy dzień niewoli grzanki zrobiłam na śniadanie, uszykowałam dla wszystkich, profesorowi i Joasi zanioślam do pokoju, gdzie ten huncwot leżał, a pan już gazety przeglądał, co je na jego życzenie ten najstarszy Madej, ta pokraka krzywonoga, potem już każdego dnia przynosił... To se jeden dziennik wzięłam, bo lubię wiedzieć, co się na świecie dzieje, a najporęczniejszy przy śniadaniu poczytać, zresztą od tego jest ranna gazeta, potem ma się „Ekspres”, nie?... Ale nim sama siadłam, to tym zbójom też śniadanie musiałam wydać. Nie nosiłam im nigdzie, jeszcze by czego, na stole w kuchni im nakrywałam, i to nie z żadnego strachu, nich pan

sobie nie myśli, tylko nie lubię, jak mi się chłopstwo po izbie kręci, po garnkach łązi... To ten Wiewiórka, póki co, łaps mi gazetę spod ręki.

— Co ja widzę — powiadam — ślabizować umiesz? — Ale on tym razem nawet się nie odszczeknął, bo na pierwszej stronie ten komunikat o katastrofie figurował, wlepił się w niego i jak nie zawrzaśnie: — szefie! Franka szlag trafił... — A ten starszy Madej, nie wiekiem, panie pułkowniku, tylko między tą hołotą, wydarł mu gazetę, o stół prasnął, słowa przy tym nie wymówił, tylko tak strasznie spojrzął na tego Wiewiórkę, aż tamten zamarł... Niebojąca jestem, bo bez woli bożej włos z głowy człowiekowi nie spadnie, ale aż mnie w dołku zemdliło, tak strasznie ten szef spojrzął, i myślę, mało wiele, zaraz tego Wiewiórkę w typę strzeli, ale nie, tylko: — jedz! — warknął i tak się do niego przy tym wyraził, brzydko wyraził, mówiąc elegancko, powiedział mu: — jedz, ty penisie rybi!

Podziękowałem gosposi i wyprawiłem ją do sekretariatu.

— Bardzo cenna informacja, kapitanie! — zelektryzowała mnie ta wiadomość; zapomniałem o bolącym kręgosłupie. — Proszę o akta, wszystko, co pan ma!

Kapitan stał milczący, nachmurzony, przyglądał mi się niemal wrogo.

— Chcę nadal prowadzić to śledztwo, panie pułkowniku — nie dodał nic więcej i nie ruszył się z miejsca.

Pewno już pożałował, że w ogóle do mnie przyszedł, i był wściekły sądząc, że odbiorę mu śledztwo, a to była sprawa, jaka trafia się oficerowi śledczemu czasem raz w całej karierze; taka sprawa to los na loterii, można nic nie wygrać albo

wygrać bardzo wiele, a wtedy wychodzi się z szarej inspektorskiej masy, zyskuje nazwisko, samodzielność, a często i awans.

W naszej służbie, podobnie jak w innych, bywają wyrobicy i zdarzają się talenty. Ale trudno pokazać pazur ślęcząc nad drobnymi włamaniami czy banalnymi kradzieżami, trzeba trafić taką życiową szansę, jak ta właśnie.

— Będzie je pan prowadził, kapitanie! Nie możemy jednak pracować oddzielnie, niewykluczone, że mamy tego samego przeciwnika.

— Zrozumiałe — poweselał mój ambitny kolega i już bez niechęci zapoznał mnie z materiałami swego dochodzenia.

Razem usiedliśmy nad aktami śledztwa, które dziesięć lat temu toczyło się przeciwko Arpadowi. Rysopisy bandytów, podane wówczas przez starszego strażnika i kierowcę — kasjer prawie nic nie umiał powiedzieć — były bardzo skąpe. Zawierały o wiele mniej szczegółów niż te, które przekazał nam Borowicz i jego kobiety. W tych warunkach konfrontacja portretów sprawców była niesłychanie trudna, tym bardziej że oba opracowania rozdzielało dziesięć lat!

Kolor włosów, sylwetki? — te informacje przy porównaniu z tamtymi sprzed lat nie miały teraz wartości; podczas napadu na konwój napastnicy nosili czapki. A gdyby nawet nie? Czas jest nieubłagany, skutecznie zmienia wygląd człowieka, jednak krzywych nóg nawet czas nie prostuje.

Odszukałem bez trudu strażnika i kierowcę — pracowali nadal w Międzyzlesiu; kasjer Gadomski był na rencie, tamten wypadek na zawsze zrujnował mu zdrowie.

— Nigdy nie zapomnę brutalnego kurdupla z małpią

szczęką! — tyle po latach zdołał sobie przypomnieć starszy strażnik; dotyczyło to bandyty przebranego w milicyjny mundur.

Krzywe nogi? — Nie, żaden z nich wówczas nic takiego nie spostrzegł.

— Kurdupel z małpią szczęką to to chamisko Spokojny, a kawaleryjskie nogi ma starszy Madej, i żaden z niego konus, tylko średni! — nie zgadzała się z opinią tamtego gospościa. — Chłop u chłopa takiego mankamentu jak krzywa łydka to nawet nie zauważy, panie pułkowniku, co do męskiej prezentacji niech pan kobit słucha. Ja panu o tych nogach mówię i Joasia mówi, a profesor też nie zapamiętał!

Miała rację, Borowicz w ogóle nie zwrócił uwagi na kształt łydek herszta.

A jednak szef wypuścił ich żywych! Czy profesor zdawał sobie sprawę, że ocierają się o śmierć po tym, gdy Wiewiórka zdradził się przed gospodynią, iż znał zabitego w katastrofie?

Może herszt zlekceważył spostrzegawczość tej kobiety, wprawdzie panoszącej się, gderliwej, rozpuszczonej i tyranizującej otoczenie, ale jego zdaniem prymitywnej, uwięzionej w rondlach, lodówkach, sokowirówkach. Przez trzy godziny kapitan słuchał sagi o eskałopkach, sosach, pieczeniach, winegretach i szaszłykach, zanim z owej gastronomicznej Niagary wyłowił cenną informację.

Wrywkowo przesłuchałem tę taśmę, opowieść-rzekę o niewątpliwie znakomitej kuchni, ale nie wiem, czy zdobyłbym się na cierpliwość kapitana, chociaż lubię dobre rzeczy na talerzu.

Jedno było pewne; banda żyła i działała tu gdzieś niemal

pod bokiem w Warszawie lub w pobliżu miasta, ja zaś wiedziałem o niej tylko tyle, że jej krzywonogi szef mieszka w dobrze urządzonej domu, jada na porcelanie Rosenthal i pija przednie koniaki.

— Jest coś zupełnie nowego, Karol — zadzwoniłem do Bielskiego; mimo dzielącej nas różnicy wieku i usposobienia, wprzęgnięci w jedno jarzmo, przestaliśmy sobie pułkownikować i prokuratorzyć. Tak było prościej, a i nabraliśmy do siebie wzajemnie przekonania. Mnie przestało drażnić to, co nazywałem w nim: mały lord, a jego przestało uwierać, co zwykł określać jako koszary. I zgodnie ciągnęliśmy ten furgon, który co i raz nam grzązł.

Wtedy ja kłamię, a on taktownie milcząc odpalał jednego papierosa od drugiego lub bawił się wiecznym piórem, co mu się zdarzało, gdy był wściekły.

Przyszedł zaraz po moim telefonie.

— Przeczytaj to... — podsunąłem mu akta sprawy Borowiczów. Bez słowa wziął teczkę i zapadł się w skórzany klub, ciężką i olbrzymią jak barka, lecz bardzo wygodną landarę, relikwiarz czasów odległych, niemal przedhistorycznych, gdy ja byłem bardzo młody, a umeblowanie komendy tchnęło powojenną fantazją; jakież sprzęty wówczas nam służyły! Ogrodowe krzesła, obite pluszem kanapy, stylowe sekretarzyki i stoły na krzyżakach, była nawet findesieciowa berżera.

Z biegiem lat wszystko się zuniformizowało, a kwatermistrzostwo przydzielało nam mebelki stosownie do zasad hierarchii służbowej: inspektorzy — biurka kryte laminatem, starsi inspektorzy — jasny jesion i tak dalej... Na moim szczelbu przysługiwał orzech lub mahoń, komplet nawet stylizowany, wyściełane krzesła i fotele. Ale broniłem jak lew

tego starego i brzydkiego giganta, nie pasującego do reszty wnętrza, przed zakusami kwatermistrza, podejmowanymi każdorazowo przy dorocznych inwentaryzacjach.

Nie rozumiał mego sentymentu do tej szkaradnej zawalidrogi, ale w końcu dał spokój, uznając, że mam nieszkodliwego fioła. I tak dotrwamy już razem do końca, ja, szacowny i zasłużony dla PRL emeryt, trafię na słońeczko w Łazienkach, a on? Pewno na cmentarzysko starych, nikomu niepotrzebnych gratów. A swoją drogą ciekaw jestem, komu teraz, według rozdzielnika kwatermistrzostwa, przysługiwałaby berżera?

— Niewiarygodne! — Bielski odsunął akta. — Troje ludzi nie potrafi sensownie nakreślić ani jednego rysopisu? Przecież żyli wśród tamtych przez wiele dni.

— Zwróć uwagę na to, co wyjątkowo zgodnie twierdzą wszyscy troje. Poza pierwszym wieczorem przez cały czas porywacze charakteryzowali się.

— Porcelana Rosenthal i Franek... Najciekawsze są spostrzeżenia gospodyni.

— Uważnie przeczytałeś relacje profesora i Joanny?

— Są zwięzłe, rzeczowe.

— Otóż to! Za zwięzłe i za rzeczowe. Tak mówią ludzie wdrożeni do pewnej dyscypliny myślowej, ich słowo ma często wagę życia, niemal podświadomie eliminują wszystko, co ich zdaniem jest błahe, wręcz przeciwnie niż ich gospodyni. To, co ona mówi, jest wierne prawie jak stenogram, żadnej syntezy czy skrótu i dzięki temu, nagadawszy kilka rolek taśmy, uroniła mimochodem porcelanę i Franka.

— Czyli należy skłonić ich do gadania.

— Tak, jeśli tylko się uda.

Bielski zadziałał od ręki; zadzwonił do profesora Borowicza i wyszło z tego zaproszenie do nich na wieczór. Pomyślałem, że może nieco nadużywamy uprzejmości tego człowieka, no ale skoro Mały Lord zgodził się bez wahania, to chyba zaproszenie nie było zdawkowe.

Pojechałem do nich tym chętniej, bo ciekaw byłem tego niezwykłego faceta, który, mając lufę pistoletu na karku, powiada do jedynej córki: Joasiu, potrzebuję instrumentariuszki! I ciekaw byłem dziewczyny, która w takiej sytuacji ani nie mdleje, ani nie dostaje spazmów.

Nie ujrzałem spiżowego Spartanina ani młodej Spartaniki, a dwoje bezpośrednich i bardzo miłych ludzi; profesor ruchliwy jak rтęc, córka może nie najpiękniejsza, ale bardzo interesująca osóбка.

Bielski rozwinął swoje walory towarzyskie i z punktu podbił oboje, a szczególnie młodą lekarkę. Zresztą, spostrzegłem to już niejednokrotnie, Karol podobał się kobietom, z łatwością budził zainteresowanie, o które z pozoru się nie starał i jakby wcale nie dbał. Nieraz też zastanawiałem się, dlaczego się nie ożenił? Może przez tę łatwość w obcowaniu z kobietami rozmienił się na drobne przygody? Prawdopodobnie przywykł do niczym nie skrępowanej swobody i zbliżeń bez zobowiązań; intrygowała mnie ta sfera życia mego nowego przyjaciela, rzecz jasna, nigdy go o to nie zapytałem, a on także nie zwierzał mi się na ten temat — z natury był skryty.

Gdy kończyliśmy kolację, Bielskiego pochłonęła jego namiętność: żagle! O żaglach mógł gadać nieskończenie, był jeszcze gorszy niż wędkarze czy myśliwi. A tu nieoczekiwanie trafił na podobną maniaczkę; usłyszałem o nadzwyczajnych rejsach, nie odkrytych jeziorach i rzekach, rzucali



terminami, z których niewiele rozumiałem: gafel, sztag, wanta, knagowanie fału, foka, szot grota i w ogóle mordewind...

Gdy Joanna, z obłudą w oczach, jednym ruchem dłoni odgarnęła zastawę z połowy stołu i na to, z taką prostotą wygoszparowane, miejsce zwałała płachty map szlaków słodkowodnych i morskich, profesor wziął pod pachę świeżo napoczętą butelkę i pociągnął mnie do sąsiedniego pokoju.

— Każdy ma prawo do swego fioła, panie pułkowniku — wyflumaczył tamtych.

Oczywiście, Bielski ma żagle, a ja piłkę nożną, i drogą skojarzenia przyszedł mi na myśl niedawny mecz Polska-Anglia.

— Ominął pana mecz stulecia przez tych obwiesiów — pożałowałem profesora.

— Oglądałem go komfortowo, lepiej niż u siebie, bo mój aparat miewa niespodziewane kaprysy, a starszy Madej, jak przezwała herszta moja gospodyni, starał się zapewnić nam maksimum wygody... I trzeba pecha, że dosłownie na kwadrans przed transmisją meczu pudło oślepiło i oniemiało. Wściekłem się i zacząłem szpetnie kłąć, co w Madeju budziło nie mniejszy respekt niż moje umiejętności zawodowe.

— Niech się profesor nie żołądkuje — uspokoił mnie Madej — na pewno obejrzy profesor mecz! — wybiegł gdzieś w głąb domu, oczywiście na ten czas pojawiła się przy drzwiach twarz Wiewiórki czy tego drugiego, nie rozróżniałem ich, i za chwilę wrócił z teczką pełną jakichś telewizyjnych kłopotów. W mgnieniu oka rozłożył telewizor na kawaleczki.

— Niech pan odłączy sznur — ostrzegłem; zląkłem się, aby go prąd nie poraził.

— Głupstwo — napuszył się i majstrował dalej.

— Panie pułkowniku, w dziesięć minut mieliśmy znakomity odbiór, chociaż aparat był rozbebeszony i coś mu tam z tyłu wystawało, nie znam się bliżej na tym... Utalentowany oprych!

Zanim się spostrzegłem, dochodziła druga, stanowczo nadużywaliśmy gościnności profesora. Podziękowałem mu i zacząłem się zbierać. Zajrzałem do sąsiedniego pokoju, Mocny Boże, oni byli znów przy osprzęcie jakiejś kolejnej krypy.

— Karol! Jest nieprzyzwoicie późno.

— Rzeczywiście — obudził się Bielski; te cholerne żaglówki nosiły go przez cały wieczór po wodach morskich i śródlądowych, w każdym bądź razie odniosły szalenie daleko od sprawy, dla której tu przyszliśmy.

— Załatwimy to jutro — obiecała Joanna — proszę do mnie zadzwonić — zwracała się do Bielskiego, chociaż mnie także obdarowała uśmiechem, takim dla starych, zręcznych mamutów. — Jutro będzie także dzień — nauczyła mnie.

Owszem, było wiele dni; Bielski potrafił się z nią umawiać przez mój telefon, a ona, gdy nie zastawała go w prokuraturze, dzwoniła do mnie i bezczelnie domagała się, abym go niezwłocznie odszukał. Przy czym nie chodziło już ani o sprzęt żeglarski, ani o informacje w wiadomej sprawie, bo to, co mogła, przekazała Bielskiemu zaraz nazajutrz po tamtej kolacji u nich. Zapamiętała jeden przedmiot, a właściwie drobiazg, bardzo piękny i dlatego rażąco inny na tle prostackiego bogactwa wnętrza domu; figurkę nagiej indyjskiej tancerki w finezyjnej pozie z Kamasutry, wyrzeźbioną w drzewie tekowym..

Nie był to produkt pamiątkarskiej sztampy, taśmowy suwenir, tyle że orientalny, lecz małe arcydzieło, zabłąkane wśród panoszącej się tandety na oszklonych półkach meblowskiej ścianki.

Herszt dostrzegł zainteresowanie Joanny.

— Ładna, nie? Zapłaciłem za nią dwa tysiące złotych, ale nie żałuję, bo to elegancka rzecz!

Powoli, szczegół po szczególe, uzupełnialiśmy portrety członków bandy; coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jest to ta sama grupa, która dziesięć lat temu napadła na konwój. Niewykluczone, że od tamtej pory ktoś się wykruszył lub przybył ktoś nowy, lecz szef i podstawowa kadra pozostali w nie zmienionym składzie; było coś w technice działania, co wiązało ze sobą oba wypadki: podstęp, błyskawiczna akcja.

Dotychczasowej charakterystyce bandytów przybyły, cechy, Jakich nie zmienia czas: kwadratowa, wydatna szczeka, krzywe nogi, kwalifikacje herszta: jest albo uzdolnionym amatorem, lub ma zawód teleradiomechanika!

To była bodaj najcenniejsza informacja, bo wyodrębniła konkretną grupę zawodową, wśród której należało go szukać.

Zanim tymi wiadomościami odświeżyłem zdezaktualizowany komunikat poszukiwawczy — od lat dziesięciu żółknący w szufladach milicyjnych jednostek — projekt nowego listu gończego otrzymali wszyscy pracownicy mojego zespołu; może pominąłem coś istotnego, niech skorygują lub dodadzą swoje uwagi.

— W domu Arpadowej, od frontu, mieści się warsztat naprawy telewizorów! — wpadł do mnie jak bomba kapitan, kierujący grupą wywiadowców, oddaną do mojej dyspozycji;

poruszyło go skonfrontowanie spostrzeżeń jego służby ze wzmianką o teleradiomechaniku, umieszczoną w brulionie listu gończego.

Zatkało mnie, chociaż wydało mi się, że wiadomość nie jest nowa, chyba byłem już o tym informowany.

— ...prowadzi go Roman Walasiak. Wspominałem o nim zaraz po roztoczeniu obserwacji nad Arpadową — podkreślił kapitan, wielce z siebie rad.

A więc nie wydawało mi się, słyszałem. Wszystko to prawda, tylko że o firmie Walasiaka wspominał mi wtedy w podobny sposób jak o sklepie spożywczym i jeszcze jakimś zakładzie usługowym, mieszczącym się w tej samej kamienicy. Zwykle rozpoznanie terenu. Wówczas warsztat Walasiaka był dla nas podobnie mało interesujący, jak ten sklep czy tamten drugi zakład.

— Jest także wzmianka o nim w jednym z naszych raportów — bestia pastwił się nade mną; zanim do mnie przyszedł, z pewnością dokładnie przejrzał wszystkie notatki swojej brygady.

— Ale pułkownik nie czytał, co? — przypiął się jak kleszcz; gdzieżby przepuścił taką okazję.

— Czytał, czytał, utonąłbym w papierach!

— Proszę! — wielkodusznie podsunął mi kartkę maszynopisu.

...Arpadową zaniosła radio do naprawy... — przeczytałem między innymi.

— Dopiero teraz ten szczegół nabiera znaczenia, kapitanie.

— Ale to m o j a służba go wyłowiła!

— W kominie zapisać... — czułem się jak dudek; cholera, najciemniej pod latarnią. Może to wszystko kłębi się na jednym podwórku, a ja uganiałem się diabli wiedzieć gdzie!

Szukałem kontaktów barmanki w „Agorze”, a banda być może siedzi pod nosem, zadekowana w warsztacie usługowym. Świetny parawan dla wszelkiego rodzaju spotkań. Wystarczy wziąć radio pod pachę, nic bardziej naturalnego.

— Ilu pracowników zatrudnia Walasiak?

— Nie interesowałem się. O kształcie jego nóg także nie mi nie wiadomo — zarechotał, jakby było z czego.

— Gdzie on mieszka?

— Wiem tylko, że nie przy warsztacie.

— Zajmij się nim natychmiast! Adres, pracownicy, środowisko, fotografie, wszystko, co się tylko da.

O trzeciej nad ranem leniwie bije tętno miasta, Warszawa dosypia umykającą noc; pora roznosiciele mleka, przed blokami dźwięczą butelki wyjmowane z pojemników, z rzadka przemknie nocny autobus, na postojach sznury taksówek z drzemiącymi kierowcami.

Niebawem ruszą tramwaje, ożyją ciągi komunikacyjne, podmiejskie koleje dowiozą do stolicy pierwszych pasażerów. Miasto rozpocznie następny pracowity dzień.

Przedraną ciszę placu Zawiszy nagle rozdziera chrzest gniecionej blachy i kruszącego się szkła. Pogięta maska perłowego mercedesa wbiła, się i uwięzła w rozdartym kufrze garbatej warszawy.

Taksówkarz, szofer uszkodzonego samochodu, chwytą odruchowo ciężki francuski klucz, wyskakuje z wozu, a widok wyrządzonych szkód jeszcze bardziej rozpala jego wściekłość.

— Coś narobił, baranie! — pieni się nieelegancko.

Z wytwornego mercedesa niepewnie gramoli się równie wytworny pan.

— Nic się panu nie stało? — niepokoi się grzecznie, puszczając mimo uszu epitety, których nie szczędzi mu taksówkarz.

Z taksówki usiłuje wydostać się pasażer; szarpie klamkę, ale tylne drzwiczki z obu stron wozu zaklinowały się na mur, bo przyprasował je wklęsnięty siłą uderzenia kufer samochodu. Facet miota się gorączkowo, z paniką szuka wyjścia z tej pułapki i wreszcie przeciska się ponad oparciem na przednie siedzenie, zamierzając jak najszybciej opuścić rozbity wóz. Dopada go taksówkarz.

— Panie, jak Boga Kocham! — przytrzymuje pasażera — jesteś pan świadek...

— Nie będę siedział w tej trumnie — odrzucił kierowcę i rusza przed siebie z wielkim pośpiechem.

— Panie, bądź pan człowiek — apeluje kierowca — musisz pan zaświadczyć... — coś tam mówi o odszkodowaniu.

Pasażer, potężny mężczyzna, jeszcze niecierpliwiej odsuwa szofera; dosadnie określa, gdzie ma jego odszkodowanie, ale wytworny właściciel mercedesa także pragnie, aby pozostał z nimi bezstronny świadek, szczególnie uwiera go ten klucz w rękach taksówkarza.

— Bardzo pana proszę —, zabiega drogę pasażerowi i chwyta go za rękaw.

— Odknaj się! — syczy na dobre rozszluszczony pasażer i gwałtownie strząsa jego dłoń. — Łby porozbijam! — ryczy nagle do zagradzających mu drogę mężczyzn i wyszarpuje z kieszeni metalicznie połyskujący przedmiot.

Na widok wymierzonej w niego lufy pistoletu wytworny daje nura za pudło swego wozu, zaś rozjuszony szofer,

zanim jeszcze zdążył się przestraszyć, wali francuskim kluczem po uzbrojonej dłoni.

Broń z głośnym plaśnięciem pada na asfalt, tamten pochyla się, aby ją chwycić, ale kierowca uderza go kantem klucza w głowę; pasażer nie dosięgnąwszy pistoletu pada z głośnym przekleństwem na ziemię, lecz podrywa się niemal natychmiast i bykiem — jakby przed chwilą nie dostał po ciemieniu — atakuje szofera w splot słoneczny. Teraz taksówkarz rozciąga się na jezdni, tamten zaś łapie broń i biegnie w stronę Raszyńskiej.

— Napad, bandyta, łapcie bandytę! — desperacko krzyczy wytworny, przykucnięty za samochodem; wołanie grzmi echem po wciąż pustym placu, gdzieś otwiera się okno, ktoś nakręca telefon pogotowia milicji, ktoś inny z jedenastego piętra wciąż widzi w perspektywie ulicy uciekającego mężczyznę.

Od strony dworca kolejowego, zwabiony krzykiem — bo właściciel mercedesa wciąż wzywa pomocy — nadbiega milicjant.

— Tam w Raszyńską, z pistoletem... — dyszy wytworny. Milicjant zdąża we wskazanym kierunku. Przez podręczną radiostację, którą ma zawieszoną na ramieniu, wywołuje najbliższy radiowóz.

Zbiega odnajdują w altanie na ogródkach działkowych, w enklawie między ulicami Żwirki i Wigury a Rostafińskiego. Udaje rozspanego, gdy wyciągają go z altanki. Nie ma przy sobie pistoletu ani żadnych dokumentów. Nie odpowiada na pytania, po prostu udaje wariata. Bełkoce, śmieje się bezmyślnie. Chwył prosty i może nawet byłby skuteczny, gdyby nie taksówkarz i właściciel mercedesa.

— Rozwaliłem mu łapę! — taksówkarz jak berło dzierży swój klucz francuski; schwytny ma głęboko zraniony nadgarstek. — I łeb mu uszkodziłem, tylko kapelusz go uratował!

Ujęty nie ma nakrycia głowy, nie reaguje na to, co mówią do niego, nadal bełkoce, co chwila nerwowy tik skurczą i rozkurcza mu policzek.

— Artycha — kiwa głową kierowca. — To trzeba mieć rzadkie szczęście, panie władzo, wpaść w kraksę, zamiast zwyczajnego pasażera mieć w wozie bandziora, a do pomocy zamiast faceta z jajami — pogardliwy gest w stronę wytwornego — trafić na takiego śmierdziela, szczającego w majtki ze strachu. Eech, życie.

— Wypraszam sobie — prostuje się z godnością wytworny.

— ...mógłby mnie zarznąć, a on by siedział za samochodem — wypłuka resztki goryczy kierowca; ujęty chichocze. — Jak cię zaprawię, to zaraz przemówisz! — taksówkarz potrząsa kluczem, aż tamten z kwikiem przywiera do milicjanta.

— Odłóż pan to narzędzie — strofuje go milicjant.

Tymczasem całą trasę, którą uciekał pasażer warszawy, ulice: Raszyńską, Żwirki i Wigury, teren wokół stadionu „Skra” i ogródki działkowe przeczesuje milicja.

Na Raszyńskiej, w pojemniku na śmieci przy prywatnej posesji, milicjanci odnajdują pistolet TT, w magazynku brakuje tylko jednego naboju. Ale zatrzymany nadal nie reaguje na pytania, gapi się bezmyślnie na broń, udaje idiotę.

— Em, hau, hau! — bełkoce ucieszony, z wykręcaną regularnym skurczem twarzą, na widok psa tropiącego, obwąchującego mu rękę i ubranie.



Oficera kierującego akcją opadają wątpliwości. Może rzeczywiście właściwy sprawca uciekł, a oni wyciągnęli z działek niedorozwiniętego włóczęgę? Czy taksówkarz nie zasugerował się pokaleczoną ręką tego nieszczęśnika?

Pies, nerwowy, wysmukły doberman, uosobienie ruchu i wdzięku, podejmuje ślad; trochę tylko zastanawia się na Żwirki i Wigury, gdzie już ruszyła wczesna komunikacja, ale od stadionu „Skry” biegnie pewnie z nosem wciąż blisko ziemi.

Jego perfekcyjny węch wyławia wskazany mu zapach nawet z woni spalin; trop jest świeży, woni ujętego mężczyzny nie zdążyły zagłuszyć jeszcze żadne inne.

Doberman przysiadł obok węgła jakiegoś domku na działce, ale nie jest to altana, w której krył się zbieg, i wydaje przeciągły, triumfalny zew.

We wskazanym przez niego miejscu, w płytkiej jamce, pośpiesznie przysypanej grudą i zamaskowanej uschłymi kłęczkami maliniaku, przewodnik znajduje wyświechtany od użycia, ściągnięty rzemykiem irchowy kapciuch, skórzany portfel, wymięty kapelusz, ciemne szkła i... stojący zegar, wspaniałe złożone starocie, pełne girland z liści akantu, z tarczą podtrzymywaną przez uskrzydłone lwy. Jeden z tych zegarów, jakimi w epoce Cesarstwa zdobiono kominki i konsole o marmurowych blatach.

— Florian Koziorny — w komendzie kapitan Stawicki, starszy inspektor do walki z bandytyzmem, ogląda dowód osobisty zatrzymanego, wyjęty z portfela porzuconego pod badyłami maliniaku.

Wypełnia kartę do centralnej kartoteki, aby sprawdzić, czy Florian Koziorny figuruje w ewidencji przestępców i osób poszukiwanych, ale zanim otrzyma stamtąd odpowiedź, sięga do na ogół niezawodnego źródła informacji, jakim jest dzielnicowy.

Sierżant ze Szczęśliwie, gdzie mieszka Koziorny, przyjeżdża natychmiast i wita go jak starego znajomego.

— Rympałek, tylko nie rób z siebie wariata! — radzi Koziornemu; przezwisko podopiecznego sierżanta pochodzi od gwarowej nazwy łomu; krótki, metalowy pręt, zakończony trzpieniem w kształcie łapki z trzema pazurkami, jest ulubionym i uniwersalnym narzędziem Koziornego. Rympałek stosuje go do wyłamywania zawiasów, obrywania skobli, ukręcania kłódek, podważania ram okiennych lub futryn, a także w celu poskrabiania opornych a nierozważnych osób, które na grzeczną prośbę Koziornego: — Wspomóż inwalidę z powstania, litościwa osobo... — usiłują wykręcić się od świadczeń.

— Trzeba zajrzeć do jego szwagra na Siekierki — radzi dzielnicowy. Rympałek chodzi często w parze z mężem swojej siostry.

— Jak raz człowiek pobłądzi, to pan dzielnicowy zaraz mu drzewo genealogiczne odrysuje — na widok sierżanta Koziorny natychmiast odzyskał mowę, a z jego twarzy zmiozło nerwowy tik.

— Teraz błądził z pistoletem — kapitan odsyła broń do zakładu kryminalistyki.

— To długo się nie zobaczymy, Rympałek — prorokuje dzielnicowy.

— Czy strzelałem, czy komuś groziłem? A pan sam wie najlepiej, panie sierżancie, że ja z kopytem nigdy nie chodzę.

— To już nie ja cię będę rozliczał — żegna się z nim sierżant, bo kapitan odprawia Rympałka pod opiekę profosa aresztu.

Kiedy zostają sami z dzielnicowym, sierżant wyczerpująco charakteryzuje swego podopiecznego. Trzy wyroki za

włamania z rozbojem, ostatni pięć lat. Pół roku temu opuścił więzienie. Psychopata, kilkakrotnie zadawał sobie rany, krajał się żyłką, połykał drut, trzonek od łyżki. Potrafi przyznać się do przestępstw, których nie popełnił, i wbrew oczywistym dowodom do upadłego zaprzeczać faktom. Kryje kumpli. Słabo pisze, ale kodeks karny i przepisy więzienne zna na pamięć. Znakomitość zakładów Warszawa-Jeden, Strzelec Opolskich i Rawicza.

Taksówkarz podebrał Rympałka spod dworca autobusowego Marymont. Ale z tamtego rejonu — ani z Bielana, ani z Żoliborza — nie wpłynęło żadne zawiadomienie o przestępstwie.

— Jest łup, nie ma poszkodowanego — frasuje się inspektor; zdarza się, bywa, że ludzie wolą stracić niż zameldować milicji.

Dopiero około dziesiątej rano odzywa się bielańska komenda.

— Zgłosił się do nas Waław Herwel, z zawodu choreograf. Został terroryzowany we własnym mieszkaniu...

— Zaraz dawaj go do Mostowskich!

Waław Herwel — szczupły, elegancki mężczyzna — nie wygląda na swoje pięćdziesiąt osiem lat; taką sylwetkę zachowują do późnej starości sportowcy, akrobaci i tancerze.

Kiedy w pokoju kapitana Stawickiego wylicza zrabowane mu przedmioty, na pierwszym miejscu wymienia zegar — oryginalny empire — i w tej chwili, jak gdyby potwierdzając jego słowa, z szafy z depozytami rozbrzmiewają takt menueta, wygrywane przez pozytywkę zegara. Wskazówki odmierzyły właśnie godzinę jedenastą.

— To mój zegar! — rozpromienia się właściciel i z rozterką spogląda na kapitana. Namyśla się, z lekkim skrępowaniem wylicza walory i pieniądze, zabrane przez rabusia, a są to wartości znaczne.

Kapitan zna tę powściągliwość, ale nie zadaje żadnych kłopotliwych pytań, więc bez zacięć i wstrząsów kończą konfrontację spisu zrabowanych przedmiotów. Wszystko się zgadza. Rympałek nie zdążył niczego ukryć, a poszkodowany mężnie niczego się nie wyparł.

— O której był napad?

— Mogła być druga, opracowywałem właśnie zapis choreograficzny... — inspektor dowiaduje się przy okazji, że taniec ma swój alfabet, coś jak nuty, i każdy, kto się na tym zna, bez trudności odtworzy z zapisu najbardziej wyrafinowany układ taneczny.

Uprzejmie słuchając tego bardzo specjalistycznego wywodu, zastanawia się, dlaczego Herwel tak długo zwlekał z zameldowaniem.

— W jaki sposób napastnik wszedł?

— Sam mu otworzyłem — wzdycha Herwel. — Podszył się pod listonosza!

— Listonosz o drugiej w nocy?

— Może się zdarzyć, chociaż wydaje się niezwykle.

Na pytanie: kto tam? Usłyszał: — depesza zagraniczna! I charakterystyczne pukanie do drzwi. Jego listonosz, a także doręczyciel depesz, jakie niejednokrotnie otrzymywał w różnych, często bardzo późnych porach, nie korzystają z dzwonka. Oznajmiamy się stukając w drzwi końcem ołówka.

— Mam liczne kontakty ze scenami europejskimi — bez przechwałek, ale i bez fałszywej skromności wyjaśnia kapitanowi Herwel — teraz opracowuję choreografię do „Ognistego

Ptaka” Strawińskiego dla opery w Kopenhadze. Miałem wyjechać w tych dniach i właśnie oczekiwałem od nich depe-  
szy...

Ktoś więc poinformował Koziornego i to ułatwiło mu wejście; listonosz? A może ktoś z przyjaciół? — inspektor uznał tę okoliczność za bardzo istotny szczegół dla śledztwa.

— ...sterroryzował mnie pistoletem, kazał oddać cenne przedmioty... Gdy tylko wszedł, wyłączył telefon, a potem po prostu go rozbił... Dlaczego akurat zegar? Nie sądzę, aby znał jego rzeczywistą wartość. Właśnie zagrała pozytywka i wtedy dopiero zwrócił na niego uwagę. Spodobał mu się.

— Dlaczego tak późno złożył pan zameldowanie?

— Bandyta zagroził mi, abym wcześniej nie ważył się wychodzić. Więc bałem się wyjść.

Nie będąc widzianym — przez specjalny ekran — Herwel ogląda kilku mężczyzn podobnie do siebie ubranych; wśród nich znajduje się także Florian Koziorny. Wszyscy są w kapeluszach z szerokimi skrzydłami, wszystkim pół twarzy przysłaniają kwadratowe przydymione szkła.

Choreograf waha się długo, ale w końcu wskazuje Rym-  
pałka.

A Rympałek spokojnie wszystkiemu zaprzecza; nic przy nim nie znaleziono, spał na działkach, bo takie miał życzenie. Jego wina, że pistolety walają się po śmietnikach, a wartościowe przedmioty po ogródkach? Że był tam ego dowód osobisty? On sam się temu bardzo dziwi! Gość z Bielan go poznał? — Sugestia. Taksówkarz? — łobuz! Na medal dla odważnych chce zasłużyć. Pies? Psy go nie lubią od urodzenia.

— Odciski palców na pistolecie i facjandzie są? Nie ma i

być nie może — Rympałek jest pewny siebie. Odcisków palców naturalnie nie ma, bo Koziorny operował w rękawiczkach. — To niech mnie pan kapitan nie wrabia! Moje dosiery pan ma? No to powinien pan wiedzieć, ja nigdy z gnatem nie chodzę, nie moja technika, nie moja etyka! Po co mi coś takiego?

Jeszcze tego samego dnia odezwał się zakład kryminalistyki w sprawie tetenki.

— Ten pistolet jest w ewidencji — ekspert broni palnej telefonicznie dyktuje dane z metryczki rewolweru.

Kapitan notuje: rok 1963, napad na konwój z pieniędzmi zakładów przemysłowych w Międzyzlesiu. Broń służbowa zrabowana kasjerowi Janowi Gadomskiemu. Akta sprawy w centralnym archiwum pod numerem...

— Akta wypożyczył szef grupy specjalnej, pułkownik Zarębowicz — z kolei informuje kapitana Stawickiego referent archiwum, znajdując zamiast akt kartę zastępczą z podpisem pułkownika.

Rympałek zaczyna się bardzo niepokoić, bo najpierw profos zmienia mu ni z tego, ni z owego celę. Dotychczas przebywał z jakimś magazynierem zatrzymanym za nadużycia, którego wyczerpująco zapoznawał z więziennym życiem. Teraz nie ma do kogo ust otworzyć, siedzi sam — istna sierota.

— Za co, panie profos? — zali się, uznawszy to za karę, ale profos osobiście przynosi mu kolację i każe nie marudzić, Bo ma polecenie zaraz dostarczyć go na górę.

Przemierzając korytarze pałacu Mostowskich Rympałek czuje się coraz gorzej, bo profos mijają znane mu piętro, wiedzie do zupełnie innego skrzydła i wreszcie otwiera zupełnie nie znane mu drzwi.

— Zmienili śledczego? — pyta na dobre strwożony

Rympałek, bowiem zmiana oficera prowadzącego sprawę nigdy nie wróży nic dobrego. Koziorny pyta tak, aby chociaż usłyszeć własny głos, bo prędzej pniak by przemówił niż profos z komendy miasta.

W obszernym gabinecie z drzwiami w dźwiękochłonnych poduchach, z baterią telefonów, za olbrzymim ciemnym biurkiem tkwi niemłody facet ze szlifami pułkownika. To już całkiem kiepsko! — podpowiada Rympałkowi jego doświadczenie.

Obok pułkownika cywil, w nim Rympałek jakimś szóstym zmysłem odgaduje prokuratora. Owszem, jest i jego kapitan, o którym myśli teraz niemal z czułością, siedzi przy cywilu, ani spojrzy na zatrzymanego, a Rympałek nic z jego twarzy nie może wyczytać. Próbuje tedy wysondować coś z papierów na biurku.

Przed pułkownikiem chudziutka, zamknięta teczuszka, ale po lewej stronie, rany boskie! Całkiem zdycha Rympałkowy duch, po lewej stronie: ...raz... dwa... sześć spaśnych tomów, zwalonych jeden na drugi, a z jednego sterczą jakieś pozółkłe strzępki.

Stare akta — domyśla się z ciężkim sercem Rympałek; siadając na zapraszający gest pułkownika, gorączkowo obmyśla taktykę postępowania.

— Jeśli masz ochotę na histerię, szajbę albo atak padaczki, to się nie krępuj — uprzedza go pułkownik, a Rympałkowi jakoś nagle odechciewa się wypróbowanych numerów z klasycznego repertuaru.

— Nie... tylko tak myślę, czym zasłużyłem na taki zaszczyt — osowiały wskazuje na dystynkcje. Zarębowicza, prześlizguje się spojrzeniem po zamkowej kurtce Bielskiego.

— Skąd masz ten pistolet?

— Za przeproszeniem, panie pułkowniku, chcecie mi coś dopasować? — Rympałek dziobie palcem w stronę tych postrzępionych akt.

— Odpowiadaj na pytania.

— Ja się muszę namyślić — Koziorny łypie spoде łba, pułkownik wgniała przycisk na biurku, w drzwiach staje mundurowy.

— Profos, odprowadzić podejrzanego!

— Panie pułkowniku, chwileczkę! Ja już się namyśliłem... — Koziorny nie chce denerwować tego wysokiego oficera i milczącego prokuratora, który jakby myśląc o czymś zupełnie innym, bawi się wiecznym piórem.

To pióro wręcz boli, hipnotyzuje Rympałka. Przedmiot cholernie nieprzyjemny, wręcz obrzydliwy, w prokuratorским ręku jest groźniejszy od maczugi. Ma moc pozbawiania wolności na długie, długie tygodnie, nie tylko jego, Rympałka. Szwagier i siostra, kumpel z Siekierek i kumpel ze Szczęśliwie mogą spłynąć do aresztów u Mostowskich wraz z atramentem z tego pióra, a zatem nie drażnić prokuratora, bo jak się wkurzy! Koniecznie trzeba coś powiedzieć, ale coś, co nie ujawniając prawdy zabrzmiałoby przekonująco.

— Ja ten pistolet trafiłem na bazarze... — zaczyna i milknie zniechęcony, bo rozumie, że nie wypadło to oryginalnie.

— To fatalnie trafiłeś — współczuje pułkownik. — Ktoś ci podrzucił zgniłe jajo. To broń z napadu na konwój z pieniędzmi, plus ciężkie zranienie konwojenta, chcesz za to odpowiadać?

Rympałek milczy, w myśli sumuje odpowiednie paragrafy kodeksu karnego, dodaje lata — dużo, strasznie dużo, a może być jeszcze gorsza kwalifikacja.



— O szczył skubany! — wybucha nagle — nic mi o tym nie mówił.

— A co ci mówił?

— Kopyto z demobilu.

— Naciął cię... kto to jest?

— Młody, blondyniasty, nadał robotę i pożyczył żelazo, i obym tak babskiej słabości dostał, jeśli gips wstawiam... Ale moim kumplem nigdy nie był, a skok my z nim zaplanowali pierwszy raz.

— To dlaczego brałeś wszystko na siebie?

— Swoją honor mam, ja nie kapuję — napuszył się Koziołny. — Nieuczciwie mnie podszedł, panie pułkowniku, ja z tamtą sprawą nie mam nic wspólnego... Nie będę się jak palant nadstawiał, bo cholera wi, gdzie jeszcze tego gnata i do czego użyto, nie jestem żaden Chrystus, żeby w kuper brać za całe miasto.

— Gdzieś go poznał?

— I tak pan nie uwierzy, w „Magnolii”. Ale ja panu lepiej powiem, panie pułkowniku, on był na mecie i drzwi mi otwierał... — owszem, Rympałek udawał listonosza, stukał ołówkiem, bo tak go wspólnik poinstruował, ale drzwi naprawdę otworzył mu nie gospodarz, a właśnie wspólnik. Zresztą tak się z tamtym umówili, bo cały pomysł był tamtego.

— Teraz to tylko Bogu dziękuję, że nikogo ze swoich na waletowanie, czyli mówiąc elegancko, na czujkę nie brałem... A jeszcze i to panu powiem, ten chmyz obiecywał, że żadnego zameldowania do milicji nie będzie... Uczciwe słowo, szwagier ani siostra, ani żaden kumpel w tej robocie nie był i niesprawiedliwość by się stała, jakby ich pan prokurator do garowania podpisał.

— A ty mu we wszystko uwierzyłeś?

— No! Bo powiada: specyfika towarzysko-środowiskowa, układy w wyższych sferach. Gość będzie wołał stracić, niż w swoje sprawy emo wpuścić. Bywa, no nie?

— Naiwniak z ciebie, Koziorny, stary cwaniak, a tak się dałeś podejść.

— Ale tam... Pan mnie nie zrozumiał dobrze. No, ten mały to takie pieścідło, pojmuje pan?

— Jak on się nazywa?

— Skarż mnie Bóg, nie wiem, Mustang kazał się wabić.

— Rympatek, ten gość z Bielana o żadnym Mustangu nie wspominał.

— Ja go nie wymyśliłem, niech mnie tyfus plamisty porazi! Jak pan tego faceta pociśnię, tak jak mnie, to się dopiero okaże, kto tu komety panu zasuwa.

— A gdzie Mustang mieszka?

— Nie wiem, nie podał swego adresu. Miał po swoją dółę i pistolet do mnie na Szczęśliwice się zgłosić.

Ponownie zapytany Waclaw Herwel podtrzymał to, co powiedział poprzednio. Podczas napadu w domu był sam.

— Wierzy pan bandycie? — denerwuje się Herwel.

— W tym wypadku tak! Ten młody człowiek współdziałał z tamtym — podkreśla pułkownik.

— Wykluczone, to porządny chłopiec... — Herwel milknie i wreszcie przyznaje. Owszem, był u niego znajomy. Bandyta tak go uderzył, że aż zemdlał.

— Dlaczego pan to ukrywał?

— Sander mnie prosił, abym go nie mieszał w śledztwo.

— Skąd go pan zna?

— To bliski znajomy pana Kwidaszewskiego — Quida. Tego tancerza. — W zasadzie tylko ze względu na Quida

wymanewrował chłopca. — Pracujemy z nim i znamy się od lat, Marcel to bardzo porządny człowiek. A te... skłonności to jego prywatna sprawa, co by na ten temat nie sądziła milicja.

— Porozumiewał się pan z Quidem? — pułkownik myśli, że to jest powód, dla którego choreograf tak późno zameldował o rozboju.

— Nie! Przystałem na prośbę Sandra, ale powtarzam, li tylko ze względu na Quida, aby nie nicowano publicznie jego prywatnych spraw.

— A Sander odradzał panu zameldowanie w ogóle? — bada Zarębowicz.

— Tak — niechętnie przyznaje Herwel.

— Jednak na to się pan nie zgodził?

— Oczywiście, nie! Z jakiej racji brutalny rabuś miałby ujść bezkarnie, chociaż nie sądziłem, że tak szybko zostanie ujęty... Z pewnością interesuje pana, panie pułkowniku, z jakiego powodu był u mnie ten mały.

— Nie, właśnie to mnie nie interesuje.

— Ale to niedomówienie stawia mnie w fałszywym świetle, a ja sobie tego nie życzę!

— W fałszywym świetle postawiło pana zatajenie obecności tego młodego człowieka w czasie napadu. Abstrahując od prawnych konsekwencji tego faktu, złożył pan fałszywe zeznania.

— Ja nie gustuję w tego rodzaju przyjaźniach — denerwuje się Herwel; daje do zrozumienia, że to jest druga przyczyzna, dla której nie wspominał o obecności Sandra. Nie chciał być posądzony o zażyłość z młodym chłopcem.

Sandra wywiadowcy odnajdują w śródmiejskiej kawiarni w momencie, gdy bezskutecznie usiłuje przekonać do swych

talentów wokalnych pewnego znanego impresaria; w tym samym czasie prowadzony jest już szeroki wywiad dotyczący ludzi, z którymi utrzymuje kontakty towarzyskie.

Sander pochodzi z Tłuszcza, mieszka tam zresztą jego matka i siostra — chłopiec chowany bez ojca od czternastego roku życia nastręczał kłopoty wychowawcze, uczył się kiepsko, chociaż nie brakowało mu zdolności. W dziesiątej klasie porzucił szkołę i jego jedynym zajęciem stały się częste wypadki do Warszawy. Coraz rzadziej powracał do domu, a od dwóch lat nie zajął już do rodziny.

W Warszawie nigdzie nie był zameldowany, nawet tymczasowo. Trudno teraz trafić do miejsc jego pobytu. W zasadzie nie miał stałego adresu, pomieszkiwał gdzie się dało.

— To jakieś nieporozumienie — przekonuje Zarębowicza w czasie pierwszego przesłuchania; zgrywa się na skrzywdzonego, ale bardzo się boi i w żaden sposób nie potrafi tego ukryć.

Po konfrontacji z Rympałkiem przestaje pleść o fatalnym zbiegu okoliczności i przyznaje się do zмовy w napadzie na Herwela; ale powodowała nim... zemsta, a nie chęć rabunku. Choreograf nie chciał rzekomo zaprotegować go do zespołu muzycznego, chociaż mógł... Napuścił Koziornego nie dla pieniędzy, jest ponad to. Rympałek miał tylko Herwela postraszyć, ale ten ciemny prymityw, kiedy już się znalazł w mieszkaniu, sterroryzował ich obydwóch i rabował.

— A skąd miałeś rewolwer? — pyta pułkownik; tego pytania Sander boi się najbardziej. Znowu się wiję, jęczy i wreszcie uderza w płacz. Łzy jak groch toczą mi się po

policzkach, trudno uwierzyć, że to ten sam chłopak.

— To... pistolet Quida — duka wreszcie, a jego ton jest pełen niedomówień.

— Podarował ci pistolet?

— Nnnie... wziąłem bez jego wiedzy — z trudem zdobywa się na to wyznanie i więcej nie mówi nic. Powiedział już wszystko: zbłądził, zawinił, odcierpi za znowę z Rympałkiem. Strasznie tego żałuje i w ogóle ma wyrzuty sumienia. Teraz patrzy pułkownikowi prosto w oczy, uosobienie szczerości.

Sander kłamie, kłamie jak je, jak oddycha — Zarębowicz nie ufa żadnym jego zapewnieniom — kłamstwo jest jakąś częścią jego istoty, no bo jakże inaczej wytłumaczyć stek niedorzeczności, o których sam wie, że są niewiarygodne.

Ale Quida Sander zna — to jedno jest pewne. Lecz czy pistolet także należy do tancerza, tego pułkownik zupełnie nie jest pewny.

Jeśli jednak w tym wypadku mały nicpoń wyjątkowo mówi prawdę, to skąd u słynnego tancerza pistolet zrabowany dziesięć lat temu kasjerowi Janowi Gadomskiemu?

Zarębowicz, zanim rozmówi się z Quidem, chce wiedzieć, z kim ma do czynienia, od tego także będzie zależał sposób postępowania z tancerzem. Służba wywiadowcza otrzymuje pilne zlecenie.

— ...listopad, sześćdziesiąty trzeci rok... — Zarębowicz wymienia dzień napadu na konwój — muszę wiedzieć, chociaż w przybliżeniu, co Kwidaszewski wtedy robił... Wiem — uprzedza zastrzeżenia kapitana — sprawa trudna, jednak spróbować trzeba.

Ale ten wywiad wbrew pozorom okazuje się łatwy; Quid przez cały sześćdziesiąty trzeci rok był za granicą, zaangażowany przez nowojorską scenę.

Zarębowicz może zatem wykluczyć jego udział w napadzie w Międzylesiu; teraz wyjaśnia pochodzenie pistoletu. Z samego rana, nie ma jeszcze siódmej, przyjeżdża z kapitanem Stawickim do domu tancerza. Stawicki bez żadnych wyjaśnień prosi Quida do kuchni i każe mu tam pozostać; przy drzwiach staje sierżant.

Quid nie wie i nawet nie słyszy, co się dzieje w dalszej części mieszkania, bo kuchnię od hallu oddziela korytarz.

Teraz wprowadzają Sandra; ukradkiem, jak złodziej, rogląda się po hallu, wyraźnie wypatruje gospodarza; jest przekonany, że przyprowadzono go tutaj na konfrontację z Quidem, aż się kurczy w oczekiwaniu spotkania, którego chciałby uniknąć.

— Pokaż, skąd wzięłeś pistolet — żąda Zarębowicz.

Sander pewnie rusza przed siebie, wchodzi do mniejszego pokoju na lewo, obok okna sekretarzyka.

— Mów, jak to robiłeś — Stawicki włącza magnetofon; nie ulega wątpliwości, że Sander zna rozkład mieszkania, zna nawet szuflady sekretarzyka, ale należy to udokumentować, aby mały kłamca nie zaparł się przy najbliższej okazji.

— Pistolet wzięłem z szuflady... — duka Sander — z tej górnej... wtedy tak samo klucz był schowany w pudełku z kartami do gry...

To wszystko; Sander z ulgą wsiada do samochodu, którym odwożą go do komendy.

Teraz Stawicki przyprowadza z kuchni Quida; Zarębowicz kładzie przed nim dobrze mu znaną tetenkę.

— To pański pistolet? — Quid milczy; gorączkowo zastanawia się, gdzie milicja odnalazła broń. Sander czy tamci? Od dwóch miesięcy, od chwili gdy pistolet znikł z szuflady, zadawał sobie to pytanie. I nagle zdaje sobie sprawę, że przez cały ten czas sam się okłamywał, świadomie okłamywał, bo gdy tylko stwierdził zaginięcie broni, od razu podejrzewał Sandra, a nie tamtych. Więc dlaczego nie zrobił nic, aby odzyskać zgubę? Nie potrafił sobie na to jednoznacznie odpowiedzieć.

Co za beztroška! — wyrzuca sobie poniewczasie lekko-myślność, czując utkwione spojrzenia Zarębowicza i kapitana. Musi coś im odpowiedzieć, ale co? Jeśli to nie Sander, jeśli to jednak nie Sander?

— Więc skąd pan ma ten pistolet?

Quid nadal milczy; nie może zebrać myśli, chciałby wiedzieć tylko jedno. Czy milicja wie o tamtych?

A jeśli ich złapali, to czy ten gangster dotrzymał tajemnicy? Nie, nie dotrzymał, bo nie ma już z tego żadnej korzyści.

Zarębowicz więcej nie nalega, zabierają Quida do komendy; pułkownik nawet woli, aby przy przesłuchaniu był Bielski i aby odbyło się ono z dopełnieniem wszelkich formalności.

— To pamiątka po przyjacielu... — niepewnie odpowiada prokuratorowi Quid, w pełni zdając sobie sprawę, że nie powinien kręcić; jeśli coś może mu jeszcze pomóc, to prawdopodobność, ale wbrew temu przeświadczeniu nie może się zdecydować na powiedzenie prawdy.

— Tę broń zabrano w czasie napadu — skanduje Bielski — niechże pan będzie rozsądny.

— Tylko się broniłem! — wybucha nagle Quid; a więc tak, tamci zostali schwytani i oskarżyli go o zastrzelenie ich kolegi. — ...nie miałem broni, to ich pistolet... niechcący

trąciłem spust, nie rozumiem, jak to się stało... a potem już wszystko skomplikowało się... — bezładnie usiłuje usprawiedliwić swoje postępowanie tamtego pamiętnego wieczoru; zajęty sobą nie dostrzega konsternacji prokuratora i pułkownika.

Wyznanie tancerza zaskakuje ich; nie bardzo rozumieją, o jakim napadzie on mówi.

— Proszę się opanować, powoli wszystko wyjaśnimy — perswaduje Bielski — tylko spokojnie, po kolei!

— Zabiłem człowieka!... Katastrofa i tyle krwi... potem oni i znów krew... — Quid niczego już nie ukrywa, opowiada, co wydarzyło się wtedy, po jego powrocie z Paryża; usiłuje wytłumaczyć, dlaczego wypuścił rabusiów, chociaż nikt nie robi mu z tego powodu zarzutów; pragnie zagadać późniejsze pertraktacje i tę ugodę, nieledwie sojusz z gangsterami, budzący zastrzeżenia, i to nie tylko natury moralnej.

Zarębowicz nie moralizuje, nie pochwalając rozumie jednak pobudki, jakimi kierował się ten z gruntu niezły, lecz słaby człowiek, ulegając niedobremu Kompromisowi. Teraz rozlicza się sam z sobą, szuka usprawiedliwienia. Spóźniony żal, nie prowadzące do niczego refleksje, te wszystkie: gdyby...

Ilu już podobnych temu nieszczęśnikowi; uczciwych w istocie ludzi, siedzieli przy tym biurku żałując i „gdybiąc”... Wpadają w tarapaty albo robią drobne świństwa, potem je wikłają, płaczą, świństwa się sumują, rosną, a oni z jakąś masochistyczną konsekwencją splatają na siebie sieć, z której trafiają już wprost tutaj.

Wtedy zaczyna się odwrót i gwałtowna chęć rekompensaty. Tak, z tej strony biurka ludzie nie prezentują się najlepiej.



— Czy może pan opisać ich wygląd? — przerywa monolog Quida.

— Byli w maskach. Sylwetki? Jeden krępy, średniego wzrostu, drugi chyba niższy.

— Sander zemdłał... — powtarza Quid; Zarębowicz rejestruje, że napad na Herwela zaaranżowano według identycznego scenariusza jak najście na tancerza. Kto tym małym kieruje, bo przecież nie Rympałek!

— Jak pan poznał Sandra?

— Kiedyś po spektaklu przyszedł do mojej garderoby... — zaprezentował się Quidowi jako młody entuzjasta sztuki baletowej, był pełen nabożnego podziwu dla jego kunsztu.

— Gdzie on przedtem mieszkał?

— Na Żelaznej... — tancerz wymienia adres Marty Arpadowej. Prokurator z pułkownikiem znów wymieniają spojrzenia i tym razem Quid to dostrzega; ale nie zastanawia się, co tak poruszyło tamtych.

— Może pan odejść — zwalnia go Bielski — uprzedzam jednak, że na tym sprawa się nie skończy — Quid z ulgą przyjmuje oświadczenie prokuratora, spodziewał się aresztowania.

Zaraz po jego wyjściu Zarębowicz sięga po teczkę służby wywiadowczej; szuka wzmianki o Sandrze. Nie znajduje ani jednego słowa. Klnie i robi piekło. Oczywiście później wszystko skrupia się na dzielnicowym.

— Jak to jest, facet mieszka, nie melduje się, a dzielnicowy nic o tym nie wie?

— Uspokój się, przecież on ma nie jeden dom w swoim rejonie — wstawia się za sierżantem Bielski.

Pułkownik sumuje fakty; dwudziesty dziewiąty listopada, godzina ósma pięćdziesiąt dwie — katastrofa na przejeździe,

w tym samym czasie ginie Arpad. Około drugiej — napad na Quida, tancerz strzela do jednego z rabusiów. Trzecia nad ranem — porwanie profesora. Kolejność wydarzeń układa się w logiczny ciąg przyczyn i skutków.

— Gdzie jest nasz orzeł od wywiadu? — Zarębowicz woła sekretarkę; zaraz też pojawia się kapitan, któremu podlega ją wywiadowcy.

— Zdjęcia Walasiaka!

— Jeszcze nie mam.

— Już cztery dni się przymierzasz.

— Trzy, tylko trzy, pułkowniku — koryguje kapitan.

— Można czortu łeb ukręcić!

— Możliwe, ale na rozpracowanie kilku osób za mało...

Nas ciągle się goni jak do pożaru, a my pracujemy w delikatnej materii...

— Słyszałem to już kiedyś, co masz?

— Dotychczas wykorzystano wszystkie oficjalne źródła informacji, to, co nie zmusza do bezpośredniego kontaktu z podejrzanymi.

— Nie cytuj instrukcji, konkretnie!

— Wydział finansowy...

— Walasiak nie zalega z podatkami, co? — natrzęsa się zniecierpliwiony Zarębowicz.

— Rzeczywiście nie zalega... Zatrudnia jednego pracownika, jego rysopis podał mi inspektor wydziału finansowego. Mały, szczupły, rudawy... Wydział komunikacji: ma prawo jazdy pierwszej kategorii, kiedyś był zawodowym kierowcą, teraz ma zarejestrowaną beżową, garbatą warszawę. Adres zamieszkania: Podkowa Leśna. Dom z czerwonej nie otynkowanej cegły, duży, zadrzewiony ogród... Ten dom to bliźniak. Obie części stanowią własność n i e p o d z i e l n ą

Walasiaka i jego sąsiada. Nie łączą ich żadne związki pokrewieństwa. Sąsiad jest żonaty, ma także wóz, także warszawę. Z zawodu szewc, pracuje na miejscu, sam sobie panem... Jest jeszcze i c z w a r t y , to chyba ten z wydatną szczęką. Udało nam się zrobić mu zdjęcie, odbitki będą wieczorem... Ma riksę motorową, przywozi i odwozi z warsztatu Walasiaka telewizory oraz inny ciężki sprzęt, pracuje na własny rachunek.

Zarębowicz powściąga zniecierpliwienie, nic nie może zarzucić kapitanowi; ta robota pochłania czas.

— Wiesz, co powiedział Kwidaszewski? Sander mieszkał przedtem u Arpadowej, co ty na to?

Kapitan milczy, cóż może powiedzieć. Nie wszystko da się zauważyć. Przecież nie mogą wystawać pod drzwiami, nie mogą nawet kręcić się na podwórku, w małej przestrzeni, gdzie każdy obcy zaraz jest zarejestrowany przez dziesiątki oczu. Ale o tym pułkownik wie tak samo dobrze, jak i on. Niestety rzecz nie do odrobienia. Sander siedzi i teraz zależy już tylko, co zechce sam powiedzieć lub co powiedzą o nim inni.

— Jeszcze dziś zrobisz zdjęcia Walasiakowi i reszcie kompanii.

— Rozkaz, odmeldowuję się!

Nazajutrz pułkownik dysponuje kompletem zdjęć wszystkich interesujących osób. Wyraźne, dużego formatu fotosy, twarze z profilu i en face, także całe sylwetki w różnych ujęciach.

Profesor, Joanna i gospościa rozpoznają wśród nich porywaczy; Quid waha się, myli, wreszcie zupełnie się gubi wśród sterty fotografii, nie potrafi wskazać nikogo.

— Zwijamy całe towarzystwo! — decyduje Zarębowicz.

Bielski trochę kręci głową na ten pośpiech, ale Zarębowicz teraz nie może już zwlekać; banda lada moment dowie się o zatrzymaniu Sandra i jeśli nawet nie zdecyduje się na jakiś desperacki krok, to zyska szansę przygotowania się do obrony, pozbędzie się ewentualnych dowodów, zatrze ślady.

Wczesnym rankiem Roman Walasiak, znany najbliższym jako Łupacz, i cała jego świta jak najgorzej rozpoczynają dzień; u wszystkich o jednej porze zjawia się milicja.

Zatrzymanie herszta oraz Kitajca i jego żony Zarębowicz powierza ambitnemu kapitanowi, który swego czasu bał się, aby mu nie odebrano śledztwa.

Środki ostrożności, jakie podjął kapitan, okazują się niepotrzebne. Walasiak nie ucieka się do żadnych gwałtownych działań; zachowuje się jak przeciętny człowiek wyrwany ze snu, może tylko nieco bardziej zdenerwowany i nieco bardziej urażony bezceremonialnością funkcjonariuszy.

— Nieporozumienie — mruczy i milknie spostrzegając podpis Bielskiego na nakazie rewizji; nie wiadomo dlaczego podpis prokuratora, który oskarżał jego kamrata, budzi w nim większy niepokój, niż gdyby to był każdy inny.

Milicja już się metodycznie krząta, inspektor bada bibeloty rozstawione na półkach; Walasiak wodzi za nim oczyma, czujny na każdy jego gest, nie może zorientować się, czego tamten szuka.

Jest! Naga tancerka wyrzeźbiona w drzewie tekowym, fi-nezyjna i wytworna, tańczy swe jedyne pas z Kamasutry.

Kapitan wydobywa ją zza szyby, ustawia na dłoni.

— Kosztowała pana dwa tysiące — spogląda na Walasiaka.

— I jeszcze będzie ciężko kosztować... — sili się na żart herszt; zrozumiał, dlaczego właśnie ten posądek tak szczególnie zajął kapitana. — To już wiecie... — dodaje i bez strachu oswaja się z myślą o bliskiej konfrontacji z profesorem.

Łudzi się, że wiedzą tylko o porwaniu; ile za to może być? Chyba z pięć lat! Ale nie uczynił tego z chęci zysku i dobrze ich traktował, to tylko ograniczenie wolności osobistej, wolności osobistej, wolności osobistej... — telepie się obsesyjnie ta jedna jedyna myśl, nie może wyjść poza nią.

Przemysłne skrytki ulokowane w piwnicy — w nich broń, pieniądze, bardzo dużo pieniędzy, waluta, kosztowności — nie oparły się dociekliwości służby kryminalnej.

Tyle bogactwa! — żałuje Walasiak i rozumie, że nie to jest najgorsze; znaleźli d o w o d y, a zatem nie skończy się na zarzucie porwania, zaczną od Adama i Ewy. Teraz wierzy już tylko w solidarność współników, ale i ta wiara rychło będzie mu odebrana.

Jednak w tej chwili zdobywa się na fason; niech wiedzą, że mają do czynienia z rasowym urką.

— Nosił wilk... — uśmiecha się i podaje inspektorowi złożone ręce.

Potem zaczynają się przesłuchania... przesłuchania... przesłuchania... Łupacz walczy o każdy szczegół, o każdy najdrobniejszy nawet fakt, jeśli tylko potrafi go wytłumaczyć na swoją korzyść.

Kapituluje, kiedy Zarębowicz w obecności prokuratora zapoznaje go z całością zgromadzonych materiałów, lecz nie przyznaje się do zabójstwa Arpada.

— ... nie zabiłem kumpla! Nie jestem taki zimny drań... Z tamtym kasjerem to było kto kogo i ja byłem szybszy W przeciwnym wypadku on by mi flaki wypuścił. Nie zamierzałem go zabić, i dlatego żyje! Mogłem go dobić, jeśli tylko bym chciał, zawsze świadek, nie? A nie zrobiłem tego... I jeszcze panu powiem, na państwowy grosz tylko jeden raz wtedy się ułakomiłem, a potem na kazionne to nawet nie spojrzałem, mogłyby sobie na progu leżeć, też bym nie tknął... I przez te wszystkie lata uczciwie żyłem, jak się to mówi, w pocie czoła na ten swój chleb powszedni pracowałem... A potem przez to małe ścierwo Sandra do balerinesa poszedłem, i to byłoby wszystko... Pan mnie co i raz w rządę z innymi facetami przed tą lustrzanką w ścianie ustawia i jak w zoologu pokazuje. Pewnie pan chce wszystkie nie wykryte napady, jakie były w mieście, mnie przyfastrygować. Fata morgana, panie pułkowniku, ja wam statystyk nie podwyższałem...

Tego to już się Zarębowicz domyśla; niektóre rozboje bandy Walasiaka nigdy nie zostaną ujawnione, poszkodowani woleli skreślić straty z rachunku niż zwrócić się do milicji.

— ... groźny bandyta? Jakież tam ze mnie bandyta, pożałuj się Boże, błędny rycerz, że tak powiem, jestem, no ten tam, co z wiatrakami rozrabiał, jakże mu?... Jechał go sęk zresztą. Ja, panu sam z siebie, nieprzymuszenie, jeszcze jeden swój postępek ujawnię, ale taśmę niech pan zatrzyma. Skromny jestem, rozgłosu nie lubię, tylko chcę, żeby pan wiedział, co ze mnie za człowiek, bo nie wszystko jest w tych pańskich papierach, co się pan nimi obłożył...

O małą Czarnociankę pan mnie pytał, to pan wie, kto to jest. Agnieszka jej... Jak ją taki ananas chciał pokrzywdzić, a jeszcze nieletnia była, a starą Czarnotową pogonił i milicją

postraszył, kiedy ta poszła o odszkodowanie się upomnieć...  
O zesz ty! Zatrzęsło mną, kiju rybi, takie sieroty gnębić?

Krótko mówiąc, tłuszcz z niego zdjąłem i kazałem mu go Czarnotowej pocztą posłać. Bezinteresownie to zrobiłem, od niego złotówki ponad to nie wycisnąłem, a że z mojej przyczyny taka forsa im kapła, kobity po dziś dzień nie wiedzą... Niech pan przyciśnie tego ananasa i zapyta, za co płacił, komu płacił i z jakiego powodu. Prędeż się własnym językiem udławi, niż się panu wypowiada. A mnie nie rozpozna z tej prostej przyczyny, że mnie nigdy nie widział, a jakby widział, też ma swój parszywy interes, aby nie poznać...

Walasiak chętnie podrzuca takie wiadomości, które gmatwają śledztwo, pochłaniają czas, bo wszystko przecież trzeba sprawdzić; zaproszony przez milicję „specjalista od młodzieży” jest chory ze strachu, ale wypiera się do upadłego i nie rozpoznaje nikogo podczas konfrontacji.

Sprawa upada, chociaż Zarębowicz jest przekonany, że w tym wypadku herszt powiedział prawdę.

— No i co? — triumfuje Walasiak — wyszło na moje... Ale jak słyszałem, to z innymi jeleniami Czarnotowa sama sobie radziła — wypuszcza zatrutą strzałę i bada efekt tej informacji na twarzy Zarębowicza. Zarębowicz świetnie rozumie, dlaczego został poczęstowany tamtą historyjką.

— Kanalia szczuje małą... — zżyma się Bielski, przestuchując taśmę.

— Jego taktyka. Niech śledztwo obrośnie w tysiące drobiazgów, łatwiej wtedy rozvodnić własne sprawy. — Zarębowicz klnie i zleca przesłuchanie matki Agnieszki.

— Stara jest fatalna — zasępia się Bielski i myśli o Piotrze, który codziennie forsował wszystkie szpitalne przeszkody.

Wieczorami przeskakiwał przez parkan kliniki na Lindleya, potem przez kotłownię przedostawał się do pawilonu, gdzie leżała Agnieszka. Przywdziewał biały kitel, później zorganizował lekarskie słuchawki i bezczelnie udawał medyka.

Gdy odkryto mistyfikację, pojawiał się w pizamie i trepach, z zabandażowaną po oczy głową. Wszystkie te rekwizyty przechowywał u palacza, któremu wywdzięczał się za pomoc calvadosem, jaki specjalnie na ten cel produkował jego kolega studiujący chemię.

Bielski wiedział o tych praktykach, lecz tak jak kiedyś, gdy Piotr był mały, udawał ślepego i głuchego; wiedział, że żadne perswazyje nie powstrzymają chłopca.

— Jak się ma ta twoja desperatka? — zagadnął pewnego dnia, gdy Agnieszka przychodziła już do zdrowia i chłopak zaprzestał swych nielegalnych odwiedzin, a chodził do szpitala oficjalnie, w dni wizyt.

— Dobrze. Latem zabieram ją na Mazury — chłopiec, wydarty kiedyś klanowi Walasiaków, płacił teraz swój dług odbierając im dziewczynę. Tak myślał Bielski, lecz nie ludził się, że tamci oszczędzą ją w śledztwie. I teraz szczególnie dotkliwie czuł cały ciężar sprawowanej funkcji, żałował, że przyjął sprawę, chociaż mógł się z niej wycofać.

Pęka solidarność współników, gdy rozliczają ich z czasu poprzedzającego katastrofę na przejeździe i śmierć Franciszka Arpada, a rozliczają dokładnie, niemal co do minuty. Teraz każdy stara się oczyścić z podejrzeń, nie troszcząc się o pozostałych; nad mordercą zawisła groźba najwyższego wymiaru kary, a tego nikt nie chce dzielić ze sprawcą.

Jednak nie ma sprzeczności między zeznaniami herszta



i pozostałych mężczyzn, gdy zdają rachunek z tamtego wieczoru; w pewnej mierze wspiera ich oświadczenie szatniarza z przydrożnej restauracji, który w ów wieczór widział pasażera archaicznego chevroleta z k o b i e t ą !

W czasie gdy Arpad ze swą towarzyszką opuszczali restaurację przy szosie, szef i jego kompani nie mogli być w pobliżu nie strzeżonego przejazdu, ponad pięćdziesiąt kilometrów od Dworca Gdańskiego, gdzie oczekiwali na przybycie Quida paryskim ekspresem.

Atmosfera zageęszcza się wokół dwóch kobiet; Kitajcowa w ogóle nie jest w stanie potwierdzić, że ten wieczór spędziła w domu.

— ... ależ, panie prokuratorze, ja pojęcia nie miałam o istnieniu, takiego przejazdu — broniła się rozpaczliwie. — Nigdy nawet nie byłam w tamtych stronach, ale Marcia to przecież tam gdzieś w okolicy kozuch stałowała...

Arpadowa nie zaprzecza, bez oporów przyznaje się do tego kozucha; podaje nazwisko i adres kuśnierza. Proszę bardzo, łatwo się przekonać, kiedy ostatnio tam była, dotychczas zresztą nie zdążyła zamówienia odebrać. Czym tam jeździła? Naturalnie wozem. Zawiózł ją K i t a j e c !

Kuśnierz potwierdza jej zeznanie. Tak, ta pani była raz u miary tego i tego dnia — daty przymiarek i odbioru ma skrupulatnie zanotowane w terminarzu i odnosi się to do wszystkich bez wyjątku klientek — a potem nie pokazała się więcej. Może chora, myślał, a może zrezygnowała odżałowawszy, zadatek.

Nie, to z całą pewnością nie było w dniu, w którym wydarzyła się katastrofa kolejowa. Termin zapisany jest wiernie, nie ma mowy o nieściśłości, milicja może mu ufać!

Rozpaczliwa obrona Bini Kitajcowej ujawniła jeden nie znany dotychczas, a ważki fakt: Arpadowa знаła ten przejazd!

Teraz zupełnie rozsypuje się jej alibi i już nawet nie jest takie pewne, o której stawiała się w pracy tamtego dnia.

O zatrzymaniu barmanki przez milicję wiedzą wszyscy pracownicy lokalu; twierdzą zgodnie, że Arpadowa była w ogóle osobą nadzwyczaj punktualną, nigdy się nie spóźniła, ale o której godzinie przyszła wtedy, nikt nie potrafi dokładnie odpowiedzieć.

— ... jak toto wszystko portkami trzęsie — nagle przerwała ich ostrożne dukanie babcia klozetowa. — Ja się tam nie boję, i tak mnie nikt przed rentą nie ruszy! Krzywdę kobiecie zrobiliście pakując ją bez dania racji za kraty, to ja panu powiem! — zagrzmiała na Zarębowicza. — Za co ją po arestach ciągacie, za to, że przez lata krzyż pański z tym swoim chłopem miała, tak? Już ja tam najlepiej wiem, co ta bidula przecierpiła, bo nieraz się do mnie wyplakiwała...

— Wstydu nie macie, pieska wasza nędza! — sponiewierała kolegów. — Jak jeszcze tak trochę pułkownik z nimi pogada, to już całkiem nie będą pewni, czy ona na czas przyszła, aby tylko po pana pułkownika myśli było... A ja świadczę się Bogiem, ona na czas przyszła!... Płaszcz taki schlapany miała z tej pluchy, to do mnie zbiegła i powiada: Pani Malwino złociutka, błoto aż na, kołnierzu mam! Oczywiście tak tylko zażartowała, bo skąd, na kołnierzu błota nie było. Niech pani do pralni odda — powiada. — Czemu nie. Stroje służbowe w mojej pieczy i ja o ich czystość staranie mam, to i płaszcz przy okazji dałam do prania, jedna fatyga...

— Oddała go pani do pralni?!

— No przecież mówię, oddałam, co to, przestępstwo? Tylko jej jeszcze kluczyka nie zwróciłam, co w kieszeni znalazłam, bo zapomniałam na śmierć... No, co pan tak patrzy jak na raroga, po cudzych kieszeniach ja nie bobruję, ale jak odzienie do pralni niosę, to zawsze przedtem przejrzę, nasze ludzie takie roztargnione, różne rzeczy zapominają... No i ja jej zapomniałam oddać, a potem to mnie kamienie nerkowe w szpitalu złożyły i głowy do niczego nie miałam ani pamięci... A teraz przychodzę i co słyszę? Panią Martę milicja zamkła!

Zapomniany kluczyk od starego chevroleta przechował się w szufladce stolika, przy którym pani Malwina spędzała wieczory dozorując toalety w restauracji „Agora”.

Będę oskarżał Martę Arpadową o zabójstwo męża i spowodowanie niebezpieczeństwa powszechnego. Sąd wysłucha opinii rzeczoznawców i wyważy, w jakiej mierze odpowiada ona za skutki katastrofy.

Czy Arpadową przyzna się do zabójstwa na rozprawie? Sprawa ma charakter poszlakowy, a w czasie śledztwa barkanka kilkakrotnie zmieniała zeznania i tylko w pierwszej rozmowie ze mną była zupełnie szczerą.

Pieniądze!

Wiedziała o części łupu przypadającej jej mężowi i przechowywanej przez szefa. Wiedziała także — wprawdzie nie od Arpada ani tym bardziej od herszta — że ta część to dwa miliony złotych; wysokość sumy zarobowanej fabrycznemu konwojowi podawała prasa — było to ponad osiem milionów.

Przez dziesięć lat marzyła o tych pieniądzach. „Zdobyć je, użyć, urządzić się.

Dwa lata po uwiezieniu Arpada zgłosił się do niej Walsiak i wtedy nawiązała z nim współpracę, gorliwie — oczywiście nie bezinteresownie — działała na rzecz gangu. Starła się, co jej się w pewnej mierze udało, stać się Łupaczowi niezbędną; bo to był nie tylko człowiek, który dawał jej zarobić, ale także bankier, strażnik owych dwóch milionów.

Po powrocie męża z więzienia, zaraz w pierwszych dniach, zorientowała się, że z tych dwóch milionów nie zobaczy nawet złotówki; poczuła się skrzywdzona, oszukana, wręcz ograbiona. Była świadkiem zabiegów i starań Arpada o zalegalizowanie pieniędzy i choć jej się nie, zwierzał, to przecież wiele podsłuchiwała i wiele dostrzegła, bo działa się to wszystko pod wspólnym dachem w pokoju z kuchnią.

Myśl pozbycia się męża powstała wówczas, gdy zorientowała się w jego pośpiesznych zabiegach o kupno domu. A więc odebrał już pieniądze od szefa!

Kalkulacja była prosta: jeśli nawet reszta sumy pozostała u szefa, to i tak należna Arpadowi część przypadnie jej. Bo Łupacz wśród swoich kompanów miał niezachwianą opinię herszta sprawiedliwie dzielącego łup. A zatem w razie śmierci Arpada jej odda udział męża. Przecież przez osiem lat była jego prawą ręką.

Arpad proponował jej sto tysięcy złotych za udzielenie zgody na rozwód. Nie chciała o tym słyszeć, a później, gdy prawie w szczegółach dopracowała swój mglisty z początku zamysł, pozornie się zgodziła.

Wydawało jej się, że wymyśliła sposób na zbrodnię doskonałą. Któż — według jej oceny — będzie się przejmował

kryminalistą, którego przypadkiem zmiażdżył pociąg?

Ale śmierć Arpada pociągnęła za sobą katastrofę i śmierć osiemnastu osób; tego nie przewidziała, tego nikt nie mógł przewidzieć.

Znała ten przejazd, znała tamtą trasę, bo w pobliżu znajdowała się osada, gdzie swego czasu zamówiła sobie kozuch. Właśnie do tej osady prowadziła szutrowa droga przecinająca nie strzeżony przejazd.

Arpad mimo wszystko starał się być uprzejmy względem niej, świadczył jej drobne grzeczności, tedy bez oporów przystał na jej prośbę, aby zawieźć ją do kuśnierza.

Dlaczego wybrała właśnie ten pociąg?

Była w najdrobniejszym szczególe wtajemniczona w plan napadu na tancerza — żaden z pozostałych nie znał go tak, jak ona i szef — ona instruowała i kierowała postępowaniem Sandra, więc także wszystko wiedziała o trasie pociągu, godzinie jego przybycia i godzinie, w której jej kompani wpuszczeni przez Sandra wejdą do willi Quida.

Wybór tego właśnie pociągu miał bezpośredni związek z napadem na tancerza; wszyscy wraz z Sandrem i przede wszystkim szefem trwali w gotowości na mieście; to dawało jej swobodę działania, uwalniało od ewentualnej kontroli Walasiaka.

Arpad nie miał pojęcia o przygotowanym napadzie, bo szef wystrzegał się go i w żadne swoje plany nie wtajemniczał.

W przydrożnej restauracji podała mu w koniaku, do którego sama go namówiła — nie było to trudne, bo Arpad bardzo lubił wypić, a nie bardzo miał z kim, dawni kompani

go unikali, a syna się wstydził — silny środek nasenny; przepisał go jej lekarz, kiedy skarżyła się na uporczywą bezsenność.

Arpad wypił trzy setki koniaku, a potem minęła blisko godzina, zanim zasnął. Ona tymczasem udając, że zmyliła drogę, kluczyła po okolicy. Pozostawiła go na torach na kilka minut przed nadjechaniem pociągu i tak jak przypuszczałem, odruchowo zamknęła wóz i schowała kluczyk do kieszeni; nie pamiętała tej czynności i nigdy jej sobie nie przypomniała.

Potem pobrnęła tą trzykilometrową drogą, uszła jeszcze z kilometr szosą i zatrzymała przejeżdżający samochód. Był to prywatny wóz, który odnaleźliśmy poprzez apele w prasie, już po aresztowaniu bandy.

Facet prowadzący auto zachował się szarmancko, odwiózł ją tam, gdzie poprosiła. Wysiadła w zupełnie innej części miasta, z dala od Żelaznej i z dala od „Agory”. Taksówką pojechała do knajpy. Była ubłocona i przemoknięta, więc powierzyła płaszcz pani Malwinie. Nie przyszło jej na myśl, aby przedtem zbadać kieszenie.

Przy Arpadzie, gdy już usnął, znalazła sto tysięcy w bonach pekao, owe sto tysięcy i tak jej przyrzeczone za zgodę na rozwód. A w żelaznej kasetce Arpada w domu, gdy ją rozbiła, poza papierami nie znalazła nic, ani złotówki. Dopiero od Walasiaka dowiedziała się, że Arpad na dwa dni przed śmiercią kupił dom, który zapisał na imię syna; szef pozostawił jej bony i dołożył jeszcze dwieście tysięcy, a resztę, pozostałą część łupu należną Arpadowi, zatrzymał dla siebie.

Więc zamknęliśmy nareszcie drugi i ostatni rozdział sprawy zaczętej ponad dziesięć lat temu; lecz nie miałem tego

poczucia swobody, jakiego zawsze doznawałem po zakończeniu śledztwa. No tak, uwierał mnie niepewny los Agnieszki, z takim trudem ocalonej od śmierci. I chociaż życzyłem im jak najlepiej, tym dwojgu młodym, ocalonym po wielekroć, nic nie mogłem zrobić, aby małą oszczędzić przed prawem.

Wprawdzie dochodzenie wobec Czarnotowej — wyłącznie ze sprawy Walasiaka i innych — na razie upadło wobec braku poszkodowanych, ale przecież nie zostało umorzone. Wystarczy, aby je podjął jakikolwiek oficer służby kryminalnej, a skruszy bez trudu tę prymitywną, zastrachaną kobietę.

I zależało to tylko od milicji, konkretnie od Zarębowicza; mógł bowiem wznowić to dochodzenie, a mógł też zrezygnować i wnieść o umorzenie. Nie zdobyłem się jednak na żadne sugestie.

— Co postanowiłeś w sprawie dziewczyny? — przeciąłem te niedomówienia.

— Nic. Formalnego zameldowania milicja nie otrzymała — zamruczał.

— Prokuratura także nie.

— To niech dziewczucha zrobi wreszcie maturę — rozstrzygnął Zarębowicz.